

Lee Goldberg

Na podstawie serialu telewizyjnego Andy'ego Breckmana

# Detektyw Monk i kosmos

## Monk i kościste ręce losu

Niewiele brakowało, a niedawno pozbawiłabym kogoś życia. Chodziło o faceta, z którym się przez kilka tygodni spotykałam. Dzięki Bogu nie posunęliśmy się w tym czasie dalej niż namiętny pocałunek, choć nawet on nie należał do wielkich przyjemności. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że moczę język w butelce listeryny. (Pamiętajcie, panowie: nadmierna ilość odświeżacza do ust jest równie zła jak jego zupełny brak.)

Facet nazywał się Skuter. Już to powinno było być dla mnie pierwszym ostrzeżeniem, że z tej znajomości nic nie będzie. Początkowo jednak przekonywałam siebie, że przezwisko jest nawet sympatyczne, bo odzwierciedla jego chłopięcy urok. Wówczas nie zdawałam sobie jeszcze sprawy, że raczej odzwierciedla jego niechęć do zajmowania się sprawami, które nie koncentrują się na nim.

Ale nie dlatego miałam ochotę skrócić kark Skuterowi. Wiązało się to z finałem naszego związku. Zerwał ze mną, ponieważ, cytuję: „Potrzebujesz dla siebie zbyt wiele”.

Ja? Potrzebuję dla siebie zbyt wiele? Zabawne.

Zawsze uważałam się za kobietę silną i niezależną. Dziewięćdziesiąt procent czasu spędzam na zajmowaniu się innymi. Mówiąc „innymi”, mam na

myśli moją córkę Julie i mojego pracodawcę Adriana Mońka, sławnego detektywa.

Julie to prawdziwy urwipoleć, jak każde dwunastoletnie dziecko, ale aniol w porównaniu z Monkiem, który ma tak silne zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, że tworzą one drugi, równoległy do naszego, wielki wszechświat.

Kiedyś na przykład zauważył w swoim mieszkaniu pajęczynę. Natychmiast kazał mi ewakuować mieszkańców budynku i wprowadzić kwarantannę, dopóki nie dotrze na miejsce ekipa interwencyjna z Centrum Kontroli Chorób.

Wcale nie żartuję. Szczera prawda.

To był dla mnie zwykły dzień, może poza tym, że bez morderstwa. Tym razem nie mówię o własnych zbrodniczych zapędach, lecz o prawdziwych zabójstwach. Monk pracuje jako specjalny konsultant Departamentu Policji San Francisco, a ja mu w tej pracy pomagam, co zdecydowanie wykracza poza zwyczajne obowiązki asystentki.

Jak więc Skuter może mówić, że „potrzebuję dla siebie zbyt wiele”?

Wcale nie potrzebuję wiele dla siebie. To raczej ludzie, którzy mają wielkie potrzeby, szukają we mnie oparcia w ich ciągłym zaspokajaniu.

Jestem opoką.

Musicie jednak wiedzieć, że bycie opoką to potwornie ciężka robota. Wcale nie jest tak, że brakuje mi obaw, niespełnionych marzeń czy własnych problemów.

Od czasu, kiedy mój mąż, Mitch, został zestrzelony nad Kosowem, nie mam nikogo, kto by się mną z opiekował. Brakuje mi własnej Natalie. Nie

wolno mi się załamywać — nie znajdę wokół nikogo, kto postawiłby mnie z powrotem na nogi.

Ale oczywiście potykam się od czasu do czasu i zwykle wtedy siebie nienawidzę.

Choćby parę dni temu, kiedy zniecka dopadł mnie okropny szloch. To się stało u Mońka w mieszkaniu, na jego oczach. Czytałam artykuł w „San Francisco Chronicle” na temat renowacji w Mili Valley starego wiejskiego domu w stylu Craftsmana, o jakim zawsze z Mi tchem marzyliśmy, i po prostu załapałam się łzami.

Boże, ale się głupio czułam.

Monk zaczął rozpylać wokół mnie lizol. Nie bardzo wiedziałam, czy w ten sposób chce mi pomóc, czy raczej ochronić siebie przed zarazkami, jakie mogłabym rozsiewać.

Już chciałam mu powiedzieć, że żaden lizol nie ukoj bólu, jakiego doznaję, ale uświadomiłam sobie, że mało kto wie o tym tak dobrze jak właśnie Monk. Jego żona, Trudy, padła ofiarą morderstwa, którego Monk nie potrafił rozwikłać. Wydaje mi się, że właśnie dlatego tak wytrwale próbuje zaprowadzić w świecie absolutny porządek. Ten wysiłek pomaga mu zastąpić porządek, którego nie potrafi znaleźć w swoim świecie bólu, straty i tęsknoty.

Tak w każdym razie sobie myślę.

Nie chciałam, aby Monk czy moja córka widzieli mnie kiedykolwiek w takiej chwili słabości, kiedy poddaję się smutkowi i łzom, bo właśnie dla nich musiałam być silna. Miałam być ich podporą i jeśli nie mogli na mnie liczyć, sama zaczynałam się bać, co może im się przytrafić.

Więc co mogłam zrobić? Dokąd pójść?

Jeśli nie mogłam się czasem wyplakać na czyimś ramieniu, zwłaszcza po jednej czy dwóch lampkach wina, to załamywałam się i...

Och, Boże! Nagle do mnie dotarło, właśnie teraz, w samochodzie, w drodze do Mońka: o czym właściwie rozmawiałam ze Skuterem podczas naszych randek?

O sobie. O wszystkich swoich problemach, wszystkich potrzebach i wszystkich trudnościach, jakie mnie spotykają w życiu.

Wyplakiwałam mu się. Nie było ze mną zabawy. Nie było we mnie życia. Nie byłam sexy. Potrzebowałam dla siebie zbyt wiele.

W porządku. Potrzebowałam dla siebie zbyt wiele. Zastrzelcie mnie i wrzucie moje ciało do ciemnego jaru.

Gdyby dzisiajszego ranka Skuter był ze mną w samochodzie, powiedziałabym mu tak: „Racja, może czasem za dużo ci jęczę, ale romans polega również na tym, by znaleźć w nim kogoś, kto potrzebuje ciebie równie mocno jak ty jego”.

Powiedziałabym, że gdyby okazał mi trochę zrozumienia i trochę własnych potrzeb, to może odkrylibyśmy coś prawdziwie magicznego i cudownego. Być może odkrylibyśmy, że jesteśmy sobie potrzebni, a potrzebować kogoś, kogoś, kto potrzebuje również ciebie, cóż, to może być naprawdę wspaniałe.

Twoja strata, Skuter. Tak, powinnam była mu to powiedzieć, kiedy mi oświadczył, że potrzebuję dla siebie zbyt wiele.

Ale nic mu nie powiedziałam. Bardzo mądrze, hm? Po prostu odwróciłam się do niego plecami, weszłam do swojego domu i zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem.

Dlaczego zawsze tak jest, że idealna odpowiedź przychodzi do głowy dopiero wtedy, gdy dawno już minął odpowiedni moment na jej udzielenie?

Niestety, moja spóźniona idealna odpowiedź dla Skutera również nie rozwiązała problemu. Wciąż męczyły mnie myśli o moich potrzebach. Spojrzałam na swoje życie z innej strony i wcale mi się nie spodobało to, co zobaczyłam.

Jedynymi ludźmi, jakich znałam, poza nauczycielami córki i rodzicami jej przyjaciół, byli policjanci, zrozpaczeni krewni ofiar, osoby podejrzane o morderstwo i zabójcy. Marny krąg kandydatów na randki, i może właśnie dlatego tak desperacko uchwyciłam się Skutera, agenta ubezpieczeniowego, którego poznałam pewnego dnia przy kawie w Starbucksie, jadąc rano do Mońka.

Zresztą Monk miał jeszcze gorzej. On praktycznie nie spotykał się z nikim. Całe jego życie towarzyskie stanowiłam ja, co sprawiało w konsekwencji, że należał do mnie, czy mi się to podobało czy nie.

Potrzebowałam więcej przyjaciół i więcej wydarzeń niezwiązanych z Monkiem czy Julie.

Gdy parkowałam przed kamienicą Mońka na Pine Street, gotowa byłam wyrzucić życie do góry nogami. Zbyt długo żyłam w swoim wąskim świątku. Musiałam coś zmienić.

I był to najlepszy moment.

Córka wyjechała z klasą na tygodniowy biwak pod Sacramento, co oznaczało, że po raz pierwszy od wielu lat miałam dla siebie cały tydzień. Postanowiłam wykorzystać wolny czas. Doszłam do wniosku, że jeśli będę miała trochę szczęścia i w najbliższych dniach nikt nie padnie ofiarą morderstwa to będę mogła nawet wziąć parę dni wolnego.

Weszłam do mieszkania Mońka bez pukania. Dookoła panowała ciemność. Żaluzje były spuszczone. Nie świeciła najmniejsza lampka. Usłyszałam ciche pojękiwanie.

- Panie Monk? — zapytałam z drżeniem w głosie.

Jęczenie natychmiast skoczyło oktawę wyżej.

Przeszłam cicho do salonu i zobaczyłam Mońka siedzącego na podłodze, opartego plecami o ścianę, z kolanami przyciągniętymi do piersi. Wyglądał jak półtora nieszczęścia. Poważnie się wystraszyłam.

- Co się stało? - zapytałam.

- Nic — odpowiedział ledwie słyszalnym szeptem.

Usiadłam obok niego na podłodze. Poczułam na plecach chłód ściany.

- To dlaczego siedzi pan w ciemności i pojękuje?

Wzruszył ramionami.

- Zawsze to robię, gdy walą się moje marzenia, a nadzieja na prawdziwe szczęście zostaje zduszona na śmierć przez kościste ręce losu.

- To zdarza się tak często, że wykształcił pan w sobie typową reakcję?

- Na wszystko mam typowe reakcje - odparł Monk. — Sporządziłem ich alfabetyczną listę oznakowaną kolorami. Nie widziałaś jej?

- Jakoś nie pamiętam, aby akurat ta lista znalazła się w pakiecie informacyjnym, gdy zaczynałam u pana pracę.

- Jestem ciekaw, jakie inne priorytetowe listy uszły twojej uwagi — powiedział z wyrzutem Monk. — Będę musiał je spisać.

- Pan chce zrobić listę list - zauważyłam.

- Sama widzisz. Całe moje życie się sypie. Nie mam nic.

- Jestem przy panu, panie Monk. Ma pan mnie. -

Położyłam mu rękę na kolanie i lekko je ścisnęłam dla dodania otuchy. — Co się stało?

- To oczywiste.
- Nie dla mnie - odparłam.
- Chyba żartujesz.
- Nie, nie żartuję. Naprawdę nie mam pojęcia, o

czym pan mówi.

Monk skinął głową w kierunku kanapy.

- Masz to przecież przed oczami.

Spojrzałam.

Kanapa była ustawiona dokładnie na środku przeciwległej ściany. Nad nią wisiały cztery fotografie Trudy, żony Mońka, wszystkie identycznej wielkości i oprawione w identyczne ramki. Wiedziałam, że codziennie rano Monk prostuje zdjęcia i wyrównuje je względem siebie za pomocą poziomnicy i linijki.

Stał tam również podłużny stolik do kawy, lekko na ukos w stosunku do kanapy. Był to jedyny przedmiot w mieszkaniu, który nie był wyśrodkowany względem wszystkich innych. Ale nie to było dla Mońka problemem. Stół był tak ustawiony celowo. Monk wyjaśnił mi kiedyś, że Trudy miała w zwyczaju odsuwać go w ten sposób, by oprzeć na nim nogi, a on kładł wówczas głowę na jej kolanach. Monk zostawił stół w takim położeniu specjalnie dla Trudy. Kiedy przychodziłam rano do pracy, czasem widziałam na dawnym miejscu Trudy poduszkę z odcisniętym śladem głowy Mońka.

- Wciąż nie widzę, gdzie tu problem - powiedziałam.

- Jesteś ślepa?

- Może byłoby mi łatwiej, gdyby się paliło jakieś światło - stwierdziłam lekko już poirytowa-



na. — Byłoby jeszcze lepiej, gdyby mi pan po prostu powiedział.

- Plama.

Wbiłam w niego wzrok.

- Zadręcza się pan z powodu jednej plamy?

- To plama po kawie. Nie daje się zmyć z wykładziny.

Podniosłam żaluzje, aby wpuścić do wnętrza trochę światła.

Monk skrzywił się boleśnie.

- Zostaw — powiedział. — Cały świat zobaczy mój wstyd.

Spojrzałam na wykładzinę dywanową, spodziewając się zobaczyć sodomę i gomorę. Ale dywan był czyściuteńki.

- Gdzie ta plama? - zapytałam.

- Między kanapą a stolikiem - odpowiedział Monk. - Trudno jej nie zauważyć.

Podeszłam do kanapy. Usiadłam na brzegu i uważnie się przyjrzałam podłodze.

- Wciąż nic nie widzę — westchnęłam.

- Weź szkło powiększające, leży na stoliku — poradził Monk.

- Jeśli widać ją wyłącznie przez szkło powiększające, to po co cały ambaras?

- To, czego nie widać, może nawet zabić - odparł.

- Plama po kawie nie zabija.

- Nie - mruknął z niezadowolaniem. - Najwyżej niszczy wolę życia.

- To niech pan przesunie stół o parę milimetrów, żeby ją zakryć. U siebie w domu wszystkie plamy zakrywam dywanikami lub meblami.

- Będę wiedział, że jest. Będę ją czuł. Będę słyszał, jak pulsuje.

- To tylko plama - zauważyłam. - Nie żywa istota. Nie ma pulsu.

- Jedyne, co mi pozostaje, to wymiana wykładziny - powiedział. — Znowu.

- Już raz pan wymieniał wykładzinę?

Parę lat temu w moim domu eksplodował granat ręczny, a mimo to nie wymieniłam wykładziny. Kupiłam po prostu większy dywan i przykryłam nim wypalone miejsca.

- Raz. - Nastąpiła chwila milczenia. - Może dwa razy.

- Dwa razy? - zapytałam.

- Trzy - dodał cicho. - Musisz zadzwonić do firmy, która sprzedaje wykładziny. Numer jest zakodowany w pamięci telefonu. Znają już rodzaj i kolor. Trzymają dla mnie w sklepie, zapasową rolkę w razie nagłej potrzeby.

- To dlatego jest pan smutny - wreszcie zrozumiałam. - Ponieważ trzeci raz, z powodu plamki niewidocznej gołym okiem, musi pan wydać parę tysięcy dolarów na zmianę wykładziny dywanowej w salonie.

- Czwarty.

- Czwarty?

- Najwyżej piąty.

Spojrzałam na niego zdumiona.

- Jak to jest, że nigdy nie jest pan w stanie dać mi podwyżki, ale na wymianę wykładziny zawsze znajdzie pan fundusze? Pięć razy!

Otworzył usta, by coś powiedzieć, ale nie dopuściłam go do głosu, mierząc mu palcem w nos.

- Jeśli powie pan, że s z e ś ć, n a j w y ż e j siedem razy, to na dywanie pojawią się plamy krwi i nie będzie to moja krew.

Natychmiast zamknął usta.

Potrafię przymknąć oczy na większość jego dziwactw poza tymi, które mnie słono kosztują. Zarabiam wystarczająco mało bez marnotrawienia moich przyszłych podwyżek na bezsensowne wydatki. Ale wiedziałam, że sprawa wykładziny to bitwa, której nie jestem w stanie wygrać.

- Niech sam pan zadzwoni do firmy z wykładzinami, panie Monk — powiedziałam. -  
Doprawdy, nie stać mnie na to.

Wstał, przeszedł do kuchni i zatelefonował. Tymczasem ja usiadłam na podłodze. Czułam się równie zgnębiona jak on, ale z zupełnie odmiennych powodów. Patrzyłam w przyszłość pełną nędzy i rozpaczy, bo Monk nie potrafił żyć z plamą, której normalna istota ludzka nie dostrzegała nawet pod mikroskopem elektronowym.

Monk wrócił do salonu.

- Mogą przyjechać już jutro.  
- Świetnie — powiedziałam.  
- Jest także zła wiadomość - dodał. - Na dwa dni będę musiał się wyprowadzić.  
- Gdzie pan przenocuje? — zapytałam.

Monk spojrzał na mnie. Ja spojrzałam na niego. Próbował patrzeć na mnie błagalnym wzrokiem, więc wyglądał, jakby usiłował powstrzymać czknięcie albo przełknąć piłeczkę golfową.

- Nie może się pan zatrzymać gdzieś indziej? - zapytałam z nadzieją.

Gościłam już raz u siebie Mońka i nie powiem, aby była to przygoda, do której było mi tęskno, a z pewnością nie w jednym z tych rzadkich tygodni, kiedy jestem sama w domu. Monk wykończy każdy romans, jaki mógłby mi się w tym czasie przydarzyć.

Nie wchodzi przy nim w grę żadne przyjemności, choćby jedzenie lodów prosto z pudełka.

- To tylko dwie noce — powiedział. - Najwyżej trzy.

- Trzy?

- Na pewno nie więcej niż cztery.

Już miałam zacząć mu tłumaczyć, dlaczego jest to koszmarny pomysł i dlaczego nigdy go nie zrealizujemy, kiedy raptem odezwał się mój telefon komórkowy. Dzwonił porucznik Randy Disher.

- Porucznik Randy Disher, Departament Policji San Francisco - przedstawił się poważnym tonem.

Zawsze to robił, choć doskonale wiedział, że nawet gdyby wyświetlacz telefonu nie pokazał mi, kto telefonuje, bez trudu rozpoznałabym jego głos. Randy po prostu lubił słyszeć, jak się w taki sposób przedstawia. Myślę, że zaczynał tak rozmowę nawet wtedy, gdy dzwonił do matki. Kiedy się spotykali, zapewne migał jej przed oczami odznaką policyjną.

Powód tego, że dzwoni do mnie porucznik Randy Disher, mógł być tylko jeden.

- Gdzie jest ciało? - zapytałam, wzdychając ciężko.

Disher podał mi adres.

## Monk i brama piekieł

Jeśli nie mieszkasz w jaskini lub nie jesteś Adrianem Monkiem, to nie tylko widziałeś restaurację Burgerville, ale z pewnością sto razy w niej jadłeś. Równie trudno jej uniknąć jak życia, śmierci i wysokiego cholesterolu.

O ile nie sposób zaprzeczyć, że posiłki w Burgerville są niezdrowe i pozbawione wyobraźni, o tyle trzeba przyznać, że restauracje tej sieci, budowane w fantazyjnym kształcie hamburgera, stały się nieodłączną częścią amerykańskiej popkultury.

Zawsze sobie wyobrażałam, że krajowa siedziba korporacji to największy hamburger świata, otoczony szeregiem mniejszych budynków w kształcie frytek, shake'ów i napojów gazowanych. Tymczasem z wielkim rozczarowaniem zobaczyłam, że biura Burgerville mieszczą się w niewyróżniającym się pięciopiętrowym biurowcu, ukrytym w cieniu okazalszych drapaczy chmur dzielnicy finansowej.

Kiedy przeszłam przez wejściowe drzwi obrotowe, w wyłożonym boazerią holu zobaczyłam kapitana Lelanda Stottlemeyera. Opierał się o kontuar recepcji w kształcie rogała i rozmawiał z siedzącym za nim, grubym, umundurowanym strażnikiem. Obaj się uśmiechali i robili wrażenie bardzo rozluźnionych gawędzeniem, więc błyskotliwie wy-

wnioskowałam, że zapewne nie widzą się po raz pierwszy.

Miło było zobaczyć uśmiech na twarzy Stottlemeyera. Wydawałoby się, że bolesciwa mina to obowiązkowy element jego służbowej prezencji; choć trzeba przyznać, że w miesiącach poprzedzających rozwód, a także następnych, zasepiona mina nie zniknęła z jego twarzy także po godzinach pracy. Dopiero w ostatnich tygodniach, kiedy zelżał stres w jego życiu osobistym i kapitan przywykł do tego, że jest sam, zaczął okazywać trochę pogody ducha.

Leland Stottlemeyer miał grubo ponad czterdzieści lat i sumiaste wąsy, które stawały się coraz bujniejsze, w miarę jak powiększały się zakola na jego czole. Jeśli łysina będzie dalej postępować, za kilka lat wąsy kapitana staną się tak gęste, że biedak będzie oddychał wyłącznie przez usta.

Stottlemeyer odwrócił się do mnie i wskazał kciukiem strażnika, który wyglądał na jego rówieśnika, choć był co najmniej dwa razy grubszy. Pomyślałam sobie, że strażnik bez opamiętania wykorzystuje pracownicze zniżki w restauracjach Burgerville.

- Natalie, pozwól, że ci przedstawię Archiego Applebauma - powiedział Stottlemeyer. - Dziś jest tu strażnikiem, ale w starych dobrych czasach patrolował zaułki Tenderloin.

- Razem z Lelandem kończyliśmy akademię - powiedział Archie, wyciągając do mnie pulchną rękę, którą uścisnęłam. - On piął się po szczeblach kariery, a ja, cóż, przez bóle pleców wypadłam z gry.

- Kto raz był policjantem, ten zostaje nim na całe życie — stwierdził kapitan. — Dowiodłeś tego,

świetnie zabezpieczając ślady przed naszym przyjazdem.

- Och, po prostu zawierzyłem zdrowemu rozsądkowi.

- Co drugi wezwany gliniarz zostawiłby bez nadziejny bałagan - stwierdził kapitan. - Ale ty, widać, wciąż się znasz na rzeczy.

- Tyle tylko, że na piersi noszę plastikową odznakę, jaką się kupuje dzieciom do zabawy. Aż dziw, że nie uzbroili mnie w pistolet na kapiszony.

- Może nie masz srebrnej odznaki, ale założę się, że wypłatę i świadczenia masz o niebo wyższe od moich.

- Oddałbym to wszystko, byle wrócić na patrol - westchnął Archie.

- Rozumiem. — Stottlemeyer pokiwał głową i odwrócił się do mnie. - Gdzie Monk?

- Musiałam zaparkować równolegle — odpowiedziałam tonem, który miał wszystko wyjaśniać.

Usłyszałam głuchy jęk. Z wyjątkiem poprzedniej asystentki Mońka Sharony Fleming kapitan był jedyną osobą, która znakomicie rozumiała moją codzienną udrękę.

Archie zerkał to na mnie, to na kapitana, próbując odgadnąć, o co chodzi.

- Czy czegoś nie rozumiem? - zapytał w końcu.

- Pamiętasz takiego policjanta Adriana Mońka? - zapytał Stottlemeyer.

- Tego, który wlepił mandaty stu osobom w kolejce do kasy biletowej w kinie, za to, że nie chciały się ustawić według wzrostu?

- Nie innego - odpowiedział Stottlemeyer. - To najlepszy detektyw, jakiego znam. Ale w tej chwili stoi przed budynkiem i mierzy odległości między

samochodem Natalie, a samochodami zaparkowanymi z przodu i z tyłu.

- Po co? — zdziwił się Archie.

- Musi być pewny, że zaparkowałam dokładnie w środku pomiędzy nimi — wyjaśniłam. - Potem sprawdzi resztę samochodów po obu stronach ulic.

- Jeśli nie będą stały idealnie na środku, będzie się domagał, żebyśmy odnaleźli kierowców i kazali im poprzestawiać samochody - dodał Stottlemeyer. - Jeśli nie uda się znaleźć kierowców, zażąda odholowania pojazdów.

- Chyba żartujesz.

- Mój Boże, chciałbym - stwierdził Stottlemeyer.

- Co zrobisz? - zapytał Archie.

- Zastrzelę albo jego, albo siebie. Jeszcze nie zdecydowałem.

Kapitan wyszedł z budynku, a ja poszłam za nim.

Monk kucnął między moim jeepem cherokee i zaparkowanym przed nim samochodem. Kiedy nas zobaczył, wstał i uważnie przyjrzał się miarce.

- Musisz przesunąć samochód o półtora centymetra do przodu, Natalie - orzekł. - Ale poszło ci lepiej od innych parkujących tu kierowców, którzy w żywe oczy kpią sobie z prawa. Nie ma ani jednego samochodu, który nie stałby o dobrych dziesięć centymetrów od środka miejsca parkingowego.

- Nie ma ani jednego przepisu w kodeksie drogowym, który przy okazji parkowania równoległego zobowiązywałby kierowców do ustawiania auta idealnie w środku miejsca parkingowego - zauważył Stottlemeyer.

- To proste prawa natury. Jak grawitacja.

- Obawiam się, że to nie moja jurysdykcja - stwierdził kapitan.



- Jesteś stróżem prawa czy nie?  
- Jestem.  
- Zatem spoczywa na tobie urzędowy obowiązek jego egzekwowania - stwierdził Monk. — Nie możesz tak po prostu przebierać, że to prawo sobie wyegzekwujesz, a tamtego nie. To pierwszy krok do totalnej anarchii.

- Myślałam, że pierwszym krokiem do anarchii jest wymieszanie orzechów w jednej misce.

- Jest wiele pierwszych kroków - odpowiedział Monk.

Stottlemeyer westchnął zrezygnowany.

- Masz słuszość. Wezwę policjanta, żeby się tym zajął. — Stottlemeyer kiwnął na jednego z mundurowych. - Tymczasem ty przydasz się nam na piątym piętrze.

- Wolałbym czwarte. - Monk niezgrabnie poruszył ramionami. — Ewentualnie szóste.

- Ciało znajduje się na piątym.

- Ciało można przenieść - zasugerował Monk.

- Nie. Nie można. — Obok Stottlemeyera stanął przywołany policjant. — Naruszysz w ten sposób integralność miejsca przestępstwa.

- W przeciwnym razie miejsce przestępstwa naruszy moją integralność.

- Nie byłbyś człowiekiem, gdyby tak się nie stało. - Kapitan odwrócił się do policjanta i wskazał mu ręką rząd zaparkowanych samochodów. - Te pojazdy łamią naturalne prawa wszechświata. Postępujcie zgodnie z regulaminem.

Policjant otworzył szeroko oczy. Stottlemeyer odwrócił się do nieszczęśnika plecami i poprowadził Mońka do budynku.

Przeszliśmy z kapitanem przez obrotowe drzwi,

ale w holu raptem stanęliśmy. W tej samej chwili spostrzeżliśmy, że Mońka z nami nie ma. Obejrzeliliśmy się i zobaczyliśmy, że stoi na zewnątrz w bezruchu, jak sparaliżowany, ze wzrokiem wbitym w obrotowe drzwi.

- To obrotowe drzwi, Monk - powiedział Stottlemeyer. — Wystarczy je pchnąć i zaczną się obracać.

- Nie mogę - odpowiedział Monk.

Obok drzwi obrotowych znajdowały się zwykle, przeszklone drzwi. Wskazałam je palcem.

- Może pan wejść drugimi drzwiami, panie Monk - zaproponowałam.

- Są zamknięte — poinformował Archie zza swojego rogalowego kontuaru. - Żeby je otworzyć, trzeba przeciągnąć kartą magnetyczną przez czytnik obok klamki.

- To niech pan to zrobi - poprosiłam.

- Nie może - wtrącił Stottlemeyer. - W ten sposób wszedł do środka zabójca. Oba czytniki musimy zabrać do zbadania w laboratorium. Jeśli użyjemy karty do otwierania drzwi, możemy stracić dowody rzeczowe.

- Nie ma innego wejścia? - zapytałam.

- Na tyłach budynku znajduje się rampa i wejście magazynowe — powiedział Archie. - Jeśli nie przeszkadza wam kontener na śmieci w alejce.

Mnie nie przeszkadza, ale Monkowi jak najbardziej. Spojrzałam na niego.

- Niechże pan po prostu przebiegnie, panie Monk - poradziłam. - Ani się pan spostrzeże, a będzie po wszystkim.

- Spostrzegę się - odpowiedział krótko Monk.

Zaczęłam się przyglądać drzwiom. Stottlemeyer podszedł do mnie.

- Co jest z nimi nie w porządku? — zapytał.

Wzruszyłam ramionami.

- Sama chciałabym wiedzieć, kapitanie. Widzę tyle co pan, idealne koło podzielone na cztery części, wszystko równe i parzyste. Nie powinien mieć z tym problemu. Może to ta plama po kawie...

- Nie widzę żadnej plamy — zdziwił się kapitan.

- Nie tutaj, w jego mieszkaniu - odpowiedziałam. - Zresztą tam też jej nie widać.

Na czole Stottlemeyera pojawiła się nabrzmiała, pulsująca żyła. Nazywałam ją żyłą „Monkową”, bo pokazywała się u ludzi w chwili, kiedy swoimi obsesjami Monk doprowadzał ich do granic wytrzymałości.

- O co ci, do cholery, chodzi z tymi drzwiami?! — krzyknął do Mońka Stottlemeyer.

- Jeśli w nie wejdziesz — zaczął wyjaśniać Monk - trzy z czterech części pozostaną puste.

- W takim razie przejdę przez nie z panem - zaproponowałam.

- To nic nie da - stwierdził Monk. — Dwie części nie będą zajęte. Tak nie może być.

- Kapitan Stottlemeyer i któryś z policjantów też mogą wejść i wówczas wszystkie cztery części będą zajęte.

Monk potrząsnął głową.

- Kiedy wyjdę z drzwi, wy troje pozostaniecie w środku, a jedna z części będzie już pusta. Nie mogę was zostawić w takiej sytuacji.

- Nie będzie nam to przeszkadzało — zapewnił kapitan.

- Ale mnie tak — powiedział Monk.

- Jakoś będziesz mógł z tym żyć — niecierpliwiał się Stottlemeyer.

- Jestem przekonany, że nie - odparł Monk. -To będzie mnie prześladowało do ostatniej chwili życia.

- Jeśli nie przejdziesz przez te cholerne drzwi, już dziś nastąpi twoja ostatnia chwila - nie wytrzymał kapitan.

- Panie kapitanie, to na pewno nam nie pomoże — powiedziała i odwróciła się do Mońka. — Może w momencie, kiedy będzie pan wychodził z drzwi, wejdzie w nie strażnik?

Monk przez dłuższą chwilę rozważał taką sytuację.

- Może być. Ale musimy zadbać o idealną synchronizację w czasie.

Stottlemeyer spojrział na Archiego.

- Zgodzisz się? — zapytał.

Strażnik wyszedł zza kontuaru i potoczył się wolno w naszym kierunku.

- Zawsze ma takie kłopoty z wchodzeniem do budynków? - zapytał.

Stottlemeyer westchnął ciężko.

- Każdy dzień przynosi nowe wyzwania, Archie.

Monk wyjął stoper, przywołał strażnika i zaczął wyjaśniać, jak zestroić całą akcję. Nie będę was zanudzać związanymi z tym matematycznymi działaniami, głównie dlatego, że kompletnie wyleciały mi z pamięci. W każdym razie chodziło o to, abyśmy zsynchronizowali zegarki i poruszali się dokładnie w tym samym tempie.

Na znak dany przez Mońka weszłam w drzwi w tej samej chwili, w której z drugiej strony wszedł Monk. Obróciliśmy drzwi i w odpowiednim momencie w drzwi weszli Stottlemeyer z jednej strony i jeden z policjantów z drugiej. Monk wyszedł ze swo-

jej części w momencie, gdy zaczął się w nią wciskać Archie, i przez krótką chwilę wydawało się, że obaj w niej utkną, ale w ostatnim ułamku sekundy Monkowi udało się wyslizgnąć z drzwi i pozostawić wszystkie cztery części nadal zajęte.

Monk wpadł do holu i oparł się o kontuar, dysząc ciężko, odwrócony plecami do drzwi, a Stottlemeyer, Archie i ja po kolei wchodziliśmy do holu. Policjant powrócił przed budynek, by dalej się zajmować egzekwowaniem praw natury.

Kiedy Monk złapał oddech, obrócił się w naszą stronę.

— Jeśli istnieje brama piekieł, to ręcę wam, że są to drzwi obrotowe — powiedział słabym głosem.

Jestem pewna, że miał rację.

### 3

## Monk i ciało

Weszliśmy po schodach na piąte piętro i znaleźliśmy się na korytarzu, gdzie tłoczyli się policjanci fotografowie i technicy.

- Jesteśmy na piątym piętrze - zauważył Monk.
- Tak, Monk. Wiem — powiedział Stottlemeyer.
- Dziwne uczucie, prawda? — Monk zerknął w moją stronę. - Nie czujesz się dziwnie?

- Nie bardziej niż zwykle - odpowiedziałam.

Odkąd poznałam Mońka, widziałam wiele miejsc zbrodni, ale wciąż miałam poczucie, że to nie jest mój świat. Przede wszystkim nie byłam policjantką. Jedynym celem moich wizyt było asystowanie Monkowi, co sprowadzało się do tego, by pilnować wokół niego rzeczy rozpraszających uwagę i dbać o to, aby mógł się skoncentrować wyłącznie na śledztwie.

- Mam wrażenie, że na czwartym piętrze czuli byśmy się pewnie - powiedział Monk. - Albo na szóstym. Ofiara na pewno też.

Stottlemeyer złapał Mońka za łokieć i poprowadził nas do biura naprzeciwko klatki schodowej.

- Ofiara to Brandon Lorber, prezes zarządu sieci Burgerville - wyjaśnił kapitan. - Wczoraj pracował do późnego wieczoru. Zabójca wszedł przez frontowe drzwi w czasie obchodu strażnika, posługując się kartą magnetyczną. Archie nie miał pojęcia, że

ktoś był w środku ani że w ogóle coś się stało, dopóki nie zobaczył ciała.

Ściany były obwieszane fotografiami mężczyzny, jak mogłam się domyślać Brandona Lorbera, który stał przed różnymi restauracjami Burgerville w dziesiątkach różnych miast, choć nie miałabym pojęcia, że są to różne miejsca, gdyby każda fotografia nie była opatrzona wygrawerowaną nazwą miejscowości.

- Strażnik nie słyszał strzałów? — zapytał Monk.

Stottlemeyer potrząsnął głową.

- Zabójca musiał użyć tłumika.

Na zdjęciach zobaczyłam, że Lorber należał do tych mężczyzn, którym siwe włosy nie przydawały lat, lecz sprawiały, iż wyglądał na uroczonego, inteligentnego i bogatego. Miał grubo ponad pięćdziesiąt lat, ale trzymał się znakomicie, w każdym razie dopóki go nie zabito.

- Co z nagraniem z kamer przemysłowych? — pytał dalej Monk. — Musicie mieć jakiś zapis.

- Owszem — odpowiedział Stottlemeyer. - Ale sprawca miał na sobie szeroki płaszcz i czapkę z daszkiem opuszczoną na czoło. Poza tym tak się ustawiał do obiektywu, że nie mamy ani jednego czystego ujęcia. Doskonale znał położenie kamer na trasie z holu na piąte piętro.

- Mamy do czynienia z zawodowym zabójcą, skutecznym i dobrze przygotowanym — stwierdził Monk.

- Beznamiętny zawodowiec wie, jak zatrzeć ślady, i nie zostawi tropów jak pierwszy lepszy zabójca - uzupełnił Stottlemeyer. — Na pewno z niejednym morderstwem udało mu się ująć sprawiedliwości. Nie chcę, żeby znowu się wywinął. Dlatego wezwałem ciebie, Monk.

Minęliśmy stanowisko sekretarki i weszliśmy do gabinetu Lorbera, w którym unosiła się woń cygar. Miało to jednak swój plus; zaduch był tak silny, że niemal wyparł ostrą woń trupa Lorbera, który siedział wciąż na krześle za swoim dużym dębowym biurkiem.

Monk zaczął kaszleć, co zwróciło na nas uwagę porucznika Randy'ego Dishera, który stał przy biurku i pilnie coś notował.

- Dlaczego tak długo? - zapytał.

- Zobacz, z kim przyszedłem, i użyj wyobraźni - poradził mu kapitan. - Możliwości są nieograniczone.

Disher zmarszczył czoło, myśląc przez chwilę.

- Chodzi o ten zepsuty parkometr?

- Na ulicy jest zepsuty parkometr? - Monk natychmiast odwrócił się do wyjścia, ale Stottlemeyer złapał go za ramię i wepchnął z powrotem do pokoju.

- Randy tylko żartował - powiedział, obrzucając Dishera morderczym spojrzeniem. - Prawda, Randy?

- Tak, żartowałem - przytaknął porucznik.

Monk udał, że się śmieje, co zabrzmiało jak zduszony kaszel.

- Ach, oczywiście. Niezły kawał.

Ponieważ Monk nie miał poczucia humoru, a dowcipy zawsze go krępowały, nie zamierzał podawać w wątpliwość kłamstwa Dishera, lecz natychmiast zajął się badaniem miejsca zbrodni, jakby chciał ukryć swoje zawstydzenie z niezrozumienia dowcipu.

- Znalazłeś coś? - zapytał Dishera kapitan.

- Właściwie wydedukowałem wszystko. Poza tym, kto to zrobił - odparł porucznik.

- Naprawdę? - Stottlemeyer był sceptyczny.

Spojrzałam na Monka, który zaczął krążyć po



pokoju, odprawiając swoje obrzędy zen i wyciągając przed siebie ręce niczym reżyser filmowy szukający dobrego ujęcia.

- Wszystkie zdarzenia są zapisane na ciele ofiary - powiedział Disher. - Jak można zauważyć, Lorber został postrzelony dwa razy w klatkę piersiową i raz w głowę.

- Uhm, to można zauważyć - stwierdził sucho kapitan.

- Ale czy zauważyliście, że ma również przelotową ranę na prawej dłoni? - zapytał porucznik.

Zerknęłam za biurko i zobaczyłam, że prawa ręka Lorbera zwisa bezwładnie za krzesłem, a na środku dłoni znajduje się dziura po kuli.

- Uhm, to też zauważyłem - powiedział Stotlemeyer.

Kiedyś widok takiej rany przyprawiłby mnie o mdłości. Ciągłe czuję przy tym pewien dyskomfort, ale powoli zaczynam mieć bardziej analityczne niż emocjonalne podejście do osób, którym zdarzyło się zakończyć życie w gwałtowny sposób. Przypuszczam, że takie psychiczne dostosowanie się do sytuacji jest normalne, zważywszy na to, ile martwych ciał przychodzi mi oglądać każdego typowego miesiąca.

Zerknęłam na Mońka. Uważnie oglądał pudełko na cygara, które spadło ze stołu u nóg Lorbera. Jego zawartość rozsypała się po podłodze.

Na biurku stał płytki kielich z kawowymi cukierkami w papierkach. Myśląc sobie o tych cukierkach i cygarach, odniosłam wrażenie, że Lorber musiał być człowiekiem z objawami oralnej fiksacji. Zastanawiałam się, czy w dzieciństwie był w ogóle karmiony piersią.

- To śmiertelny trójkąt.

- Słucham? - powiedział Stottlemeyer.
- Dwa strzały w klatkę piersiową i *coup de grace* w głowę - wyjaśnił Disher. — To śmiertelny trójkąt stosowany przez zawodowych zabójców, którzy chcą być pewni, że ofiara nie przeżyje.
- W takim razie dlaczego zabójca postrzelił Lorbera w rękę? - zapytałam.
- Ręka nie była celem — odpowiedział Disher. — Lorber podniósł oczy, zobaczył przed sobą mordercę z pistoletem i w odruchu obrony podniósł rękę, jakby chciał powiedzieć „nie zabijaj”. Zabójca przestrzelił rękę, trafiając w serce.
- Disher podniósł rękę, aby zademonstrować, co się stało. To się wydawało logiczne. Nawet Stottlemeyer pokiwał głową z aprobatą.
- Dobrze myślisz, Randy. - Stottlemeyer spojrział na Mońka, który mrużąc oczy, zaglądał do uchylonej szuflady. - Jakie jest twoje zdanie?
- Ta hipoteza ma jeden zasadniczy błąd — Monk zwrócił się do Dishera. - Brandona Lorbera nie zamordowano.
- W jego piersi i głowie są dziury po kulach - stwierdził Stottlemeyer.
- Śmiertelny trójkąt - powtórzył Disher.
- Tak - przytaknął Monk. - Widzę.
- Więc jak możesz twierdzić, że to nie było morderstwo?
- Bo nie było - odparł Monk. - Lorber zmarł z przyczyn naturalnych.
- Nie jestem detektywem, panie Monk - wtrąciłam - ale na mój rozum trudno się doszukiwać czegoś naturalnego w tym, że człowiek zostaje trafiony trzema kulami.
- Nie kule go zabiły - powiedział Monk.

- Nikt jeszcze nie przeżył strzałów między oczy i w serce - stwierdził Stottlemeyer. - To z całą pewnością śmiertelne rany.

- Gdyby żył w chwili oddawania strzałów. Jednak Lorber był już martwy. Zmarł na atak serca.

Spojrzeliliśmy na Mońka w osłupieniu. Często tak na niego patrzyliśmy.

- Skąd wiesz? - zapytał wreszcie Stottlemeyer.

- Ma pogniecioną koszulę - wyjaśnił Monk.

- Ja też mam pogniecioną koszulę - zauważył Stottlemeyer. — Ale nie mam ataku serca.

- Ja czuję lekkie palpacje — odparł Monk, nie spuszczać oczu z wygnieciań.

- Jeśli mnie przekonasz, obiecuję, że wyprasuję sobie koszulę - zaofiarował się Stottlemeyer.

Monk wyjął z kieszeni długopis i używając go jako wskaźnika, wycelował nim w pierś Lorbera.

- Lorber był praworęczny — powiedział. — Kiedy poczuł kłujący ból, instynktownie złapał się za pierś prawą ręką i pogniół koszulę.

Stottlemeyer, Disher i ja pochyliliśmy się nad biurkiem, aby przyjrzeć się z bliska koszuli Lorbera. Rzeczywiście była wygnieciona na piersi, czego wcześniej nie zauważyłam. Przede wszystkim patrzyłam na rany po kulach. Myślę, że podobnie zrobili Stottlemeyer i Disher.

- W panice rzucił się na wszystkie strony — tłu maczył Monk. - Kiedy lewą ręką starał się sięgnąć do górnej szuflady w biurku, gdzie trzymał nitro glicerynę, stracił ze stolika pudełko z cygarami. Nie stety, tabletek nie udało mu się wyciągnąć.

Disher ręką w rękawiczce otworzył szufladę i zobaczył w środku, jakżeby inaczej, opatrzoną receptą fiolkę z tabletkami.

- Niemal warto było zadać sobie trud, żeby cię tu ściągnąć - stwierdził Stottlemeyer. - Uważasz, że Lorbera przyprawił o zawał widok faceta celującego w niego z pistoletu z tłumikiem?

- Mnie by przyprawił - powiedziałam.

Monk pokręcił głową.

- Atak serca nastąpił dużo wcześniej.

- Skąd ta pewność? - zapytał Disher.

- Jest za mało krwi - odrzekł Monk. - Gdyby serce pracowało w chwili, kiedy Lorber został postrzelony, krwi byłoby znacznie więcej. Jestem pewny, że lekarz sądowy potwierdzi moje przypuszczenia.

- Nie wątpię, że jesteś pewny - orzekł Stottlemeyer.

- Jak zatem wytłumaczyć postrzał w rękę? - zapytał Disher. - Czyż nie dowodzi on, że ofiara błagała zabójcę o litość?

- Jeśli przyjrzesz się temu postrzałowi uważnie, zauważysz, że rana wylotowa znajduje się po wewnętrznej stronie dłoni, a nie na jej grzbiecie, co znaczy, że w chwili strzału Lorber trzymał się jeszcze za serce. Gdyby trzymał rękę przed sobą, rana wylotowa znajdowałaby się na jej grzbiecie.

Stottlemeyer wziął z kielicha cukierek, odwinął go z papierka i wrzucił sobie do ust, rozważając w myślach słowa Mońka. Wzdrygnęłam się.

- Więc to nie morderstwo - stwierdził.

- Nie - zgodził się Monk.

- Dla mnie to aż za bardzo wygląda na morderstwo - nie ustępował Disher.

Porucznik również zjadł cukierka i zgarnął jeszcze kilka do kieszeni. Znowu się wzdrygnęłam.

- Ale to nie jest morderstwo - powtórzył Monk.

Wbiłam wzrok w Stottlemeyera i Dishera.

- Jak możecie jeść te cukierki?

Stottlemeyer wzruszył ramionami.

- Cóż, jak przypuszczam, dlatego, że nam smakują, Natalie.

- Ale obok jest martwy człowiek. — Dla podkreślenia skinęłam głową w kierunku ciała za biurkiem. - Przecież wciąż tu siedzi.

- Owszem, widzę - przyznał kapitan. - No i co?

Nie mieściło mi się w głowie, że nie widzą w tym problemu.

- Wokół unosi się... martwota - powiedziałam.

- Martwota - powtórzył Stottlemeyer. - Nie mogę powiedzieć, żeby to mnie jakoś szczególnie przybijało, a ciebie, Randy?

- Skądże — odpowiedział Disher.

- No dobrze, w porządku. A skąd wiecie, że te cukierki nie są zatrute? Może to one zabiły Lorbera?

- Gdyby krótko przed śmiercią zjadł cukierka, byłby gdzieś papierek — powiedział Monk. - A nie ma.

Spojrzałam na niego.

- Myślałam, że kto jak kto, ale pan się ze mną zgodzi.

- Martwota? - zdziwił się Monk. - Daj spokój, Natalie. To głupie.

Jasne, w przeciwieństwie na przykład do mycia raz w tygodniu klamek w zmywarce. Ale nie podjęłam tego tematu. Miałam w zanadrzu lepszą amunicję.

- Dlaczego więc pan się nie poczęstuje?

- Cukier powoduje próchnicę zębów — odpowiedział Monk. Wziął jednego cukierka i odłożył go

szybko, jakby sparzył mu palce. - Ja i gnicie jesteśmy śmiertelnymi wrogami.

- Jestem zaskoczony, Monk. Przecież wszystko ulega rozkładowi. To prawo natury. - Stottlemeyer był z siebie bardzo zadowolony. - Jak grawitacja.

Kapitan wyszczerzył w uśmiechu zęby. Monk obrzucił go zimnym spojrzeniem.

- Po co ktoś miałby strzelać do człowieka, który już nie żyje? - zapytał porucznik.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - uznał Stottlemeyer. - Jeśli biegły potwierdzi, że Lorber już nie żył, gdy do niego strzelano, to nie ma przestępstwa.

- Owszem, jest - zaproponował Monk. — Ktoś zbezczeszczył zwłoki.

- Chodziło mi o to, Monk, że to nie jest zabójstwo, w związku z czym nie mamy do czynienia z przestępstwem, w którego sprawie byłbym zobowiązany prowadzić śledztwo.

- W takim razie czyj to obowiązek? - dociekał Disher.

Stottlemeyer wrzucił ramionami.

- Nie wiem, Randy. Przypuszczam, że jakiegoś wydziału do spraw bezczeszczenia zwłok.

- Mamy wydział do spraw bezczeszczenia zwłok?

Kapitan Stottlemeyer spojrzał przeciągle na porucznika.

- Tak, Randy, mamy.

- Naprawdę?

- Powiem nawet, że ty jesteś jego szefem.

- Ja?

- Od teraz - dodał kapitan.

- Mam własny wydział - powiedział rozpromieniony Disher. - Dostanę podwyżkę?

- Zaszczyt jest chyba dostateczną nagrodą, nie sądzisz?

- Moglibyśmy przekształcić ten wydział w jednostkę do zadań specjalnych? - zapytał z nadzieją Dishera.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz. Wezwij tylko jak najszybciej biegłego, żeby dokonał sekcji i żebym mógł sprzątnąć ze swojego biurka teczkę z tą sprawą — nakazał Stottlemeyer i odwrócił się do nas. - Dzięki, Monk, nie będzie nam już potrzebna twoja pomoc. Możesz wrócić do domu i zająć się płamą na dywanie.

- To beznadziejny przypadek - stęknął Monk.

- Przykro mi to słyszeć.

Nie aż tak przykro jak mnie.

- Teraz możesz wyprasować wszystkie wygniecenia na koszuli — przypomniał kapitanowi Monk.

- Jasne. Zrobię to przy najbliższej okazji.

- Właśnie taką masz.

- Nie mogę rzucić wszystkiego, żeby wyprasować sobie koszulę — powiedział Stottlemeyer. — Mam robotę.

- Ale to nagły wypadek - upierał się Monk. -Poza tym zawarliśmy umowę.

- Prawda. — Stottlemeyer westchnął ciężko i spojrział na Dishera. — Pokończysz tu wszystko beze mnie, Randy. Muszę wyprasować koszulę.

- Później mi podziękujesz - powiedział Monk.

- Nie licz na to - odparł Stottlemeyer i wyszedł z pokoju.

## Monk wraca do domu

Wykładzinę mieli wymienić dopiero za dwa dni, a Monk nie potrafi mieszkać pod jednym dachem z plamą na dywanie. Równocześnie w niczym mu nie przeszkadzało przeprowadzić się do mnie, gdzie, o czym dobrze wiedział, pod meblami i dywanami kryły się niezliczone plamy.

To sprzeczność, ale nie spodziewajcie się, że ją wam wytłumaczę. Co prawda posiadam pewną użyteczną wiedzę na temat wielu „praw Monkowego wszechświata”, ale nie wszystkich. Obawiam się, że gdybym chciała poznać je wszystkie, szybko bym zwariowała.

Ostatnim razem, kiedy Monk musiał zamieszkać na kilka dni w moim domu w Noe Valley w San Francisco, wynajął firmę przeprowadzkową, która przewiozła do mnie jego wszystkie ubrania, meble, a nawet żywność w jego własnej lodówce. Mogłam się więc uważać za szczęściarę, że tym razem udało mi się wyprowadzić Monka z zaledwie ośmioma walizkami, zgrzewką wody Sierra Springs i kompletem naczyń kuchennych.

Po drodze wyłożyłam mu obowiązujące w moim domu prawa. Powiedziałam, że nie wolno mu przedstawiać mebli, przewieszzać ozdób ani nic z tych rzeczy. Pouczyłam, że nie wolno grzebać w moich sza-



fach, szufladach i garderobach. Na koniec stwierdziłam, że nie wolno mu próbować zmieniać mojego stylu życia, nawet gdyby był dla niego nie do przyjęcia, nie wiem jak odstręczający czy wręcz niebezpieczny w jego wyobrażeniu. Mój dom to moja przestrzeń i mogę w nim robić, co mi się podoba, bez względu na jego odczucia.

Ale dałam mu trochę luzu. Pozwoliłam mu sprzątać, prać i zmywać, jeśli miałby na to ochotę.

Bardzo go to ucieszyło, ale ważniejsze było, jeśli mam być szczerą, że wyświadczyłby mi w ten sposób wielką przysługę. Nie sprzątałam wiele ostatnio. Tak naprawdę, po całym dniu z Monkiem po dziurki w nosie miałam czyszczenia i dezynfekowania, nawet jeśli to nie ja robiłam, tylko on. Właściwie po godzinach spędzonych z moim szefem bałaganiarstwo sprawiało mi przyjemność. Stało się formą relaksu, może nawet wyrazem małego buntu.

Obawiam się, że za moim złym przykładem poszła Julie. Jej pokój wyglądał tak, jakby przeszło przez niego tornado. Aż się bałam, co w nim znajdzie, choć zapewne nie tak bardzo, jak wystraszy się Monk, gdy zobaczy jego wnętrze.

Dobrze, że chociaż pokój gościnny pozostał w stanie nienaruszonym od czasu jego ostatniego pobytu. Zapewne w jakimś stopniu przeczuwałam, że któregoś dnia Monk do nas wróci.

Weszliśmy do salonu. Każde z nas taszczyło dwie identyczne walizki. W korytarzu, w połowie drogi do pokoju gościnnego, Monk nagle zastygł i przechylił lekko głowę.

- Co to jest? - zapytał.
- Co jest co?
- Ten hałas.

Zacząłam nasłuchiwać. Moich uszu doszedł delikatny turkot.

- Ach, to. To kołowrotek.

- Jaki kołowrotek?

- Kołowrotek Chomci - wyjaśniłam. - Biega w nim przez okrągły dzień.

- Kto to jest Chomcia?

- Chomik Julie — powiedziałam i otworzyłam drzwi do jej pokoju, nie zważając na wypisane odręcznie ostrzeżenia: „Nie wchodzić!”, „Zakaz wstępu!”, „Uwaga, toksyczne odpady!” - Julie wyjechała na biwak, więc opiekuję się Chomcią.

Trzy poziomowa klatka stała na kawałku gazety obok łóżka Julie. Chomik biegał w kołowrotku z taką szybkością, że ledwie go było widać.

Podobnie Mońka.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam tylko walizki. Jego nie było.

Starszy brat Mońka, Ambrose, mieszkał wciąż w ich rodzinnym, dwupiętrowym, wiktoriańskim domu, w którym bracia się wychowali, w ciekawym miasteczku Tewksbury w hrabstwie Marina, zaraz za mostem Golden Gate. Właściwie Ambrose nigdy z tego domu nawet nie wyszedł. Cierpiał na agorafobię.

Był nieprzystosowany społecznie, czego oczywiście można się spodziewać po człowieku, który ma mało kontaktu z ludźmi bądź nie ma go wcale. Był za to nadzwyczajnie odczytany na setki rozmaitych dziwacznych tematów i nauczył się mówić w sześciu językach, w tym mandaryńskim; kwalifikacje te wykorzystywał przy pisaniu różnych technicz-

nych instrukcji obsługi, encyklopedii i podręczników.

Z tego, co wiem, w ciągu trzydziestu lat Ambrose wyszedł z domu tylko dwukrotnie. Raz, kiedy w domu wybuchł pożar, i raz, kiedy był przekonany, że został śmiertelnie otruty, i szukał opieki medycznej.

Z oboma tymi przypadkami, które, tak się akurat zdarzyło, wiązały się ze śledztwami w sprawie zabójstwa, miał coś wspólnego Monk. To długie historie, więc nie będę was nimi zanudzać, ale w świetle tych doświadczeń wydawało mi się naturalne, że kiedy Ambrose otworzył nam drzwi i zobaczył nas w progu, zaczął nerwowo dygotać.

Chwytał się framugi drzwi, jakby się bał, że możemy go siłą wywlec do ogródka.

Miał na sobie wełnianą kamizelkę w karo, flanelową koszulę z długimi rękawami i zapiętymi mankietami, szerokie spodnie sztruksowe i buty Hush Puppies, tak błyszczące, że rubinowe pantofelki Dorotki wydawałyby się przy nich matowe. Podobnie jak Monk, koszulę miał zapiętą pod szyją.

- Witaj, Adrianie. Witaj, Natalie - powiedział Ambrose z wahaniem.

Wszystko robił z wahaniem.

- Miło cię widzieć, Ambrose - przywitałam się.

- Co za miła niespodzianka, Natalie - powiedział Ambrose. - Kto zmarł?

- Nikt - odpowiedział Monk. - Chciałem cię odwiedzić.

- Nigdy mnie nie odwiedzasz. Przychodzisz tylko wtedy, gdy wcześniej do ciebie zadzwonię, a nie dzwoniłem. Jeśli więc nikt nie umarł, dlaczego przyjechałeś?

- Czy człowiek potrzebuje szczególnego powodu, aby odwiedzić dom swoich przodków?

Ambrose spojrzął ponad ramieniem Mońka i uśmiechnął się do mnie.

- Nie potrzebuje, jeśli towarzyszy mu tak piękna kobieta.

Oblałam się rumieńcem. Ambrose trochę się we mnie podkochiwał. Nie sądzę, że z powodu mojej ujmującej osobowości czy porywającej urody. Do Sharony czuł podobną słabość. No, ale byliśmy jedynymi kobietami, które w ciągu wielu lat przyszły do jego domu.

Mimo wszystko zrobiło mi się ciepło na sercu. Jego uczucia były szczerze, a trudno w dzisiejszych czasach znaleźć u mężczyzny uczucia, zwłaszcza szczerze. Przynajmniej mnie.

W ciągu mniej więcej roku, odkąd znam Ambrose'a, spędziłam z nim parę wieczorów. Graliśmy w warcaby, zajadaliśmy popcorn. Zawsze był bardzo sympatyczny. Pilnowałam jednak, aby nie spotykać się z nim za często, ponieważ nie chciałam, żeby zaczął sobie coś więcej wyobrażać.

Gestem zaprosił nas do środka. Kiedy weszliśmy, natychmiast zamknął za nami drzwi i zasunął zasuwę.

Ze zdumieniem zobaczyłam, że salon wciąż jest zastawiony biurowymi szafkami pełnymi przesyłek pocztowych, i zalegają w nim sięgające sufitu stopy zbieranych od trzydziestu pięciu lat gazet.

Ambrose trzymał je dla ojca, który w 1972 roku wyszedł z domu po obiad z chińskiej restauracji, a odezwał się ledwie parę miesięcy temu, kiedy niespodziewanie zadzwonił do Mońka z prośbą o pomoc. Ich ojciec, który pracował jako kierownik cię-

żarówki, trafił do aresztu za niezapłacone mandaty czy inne drobne wykroczenie. Chciał, żeby Monk pomógł mu wyjść na wolność, bo w przeciwnym razie nie dowiezie ładunku w terminie i straci pracę. Monk nie rozmawiał ze mną o tym rodzinnym spotkaniu po latach, ale wiedziałam, że doszło do jakiegoś porozumienia i że ojciec, wyjeżdżając z miasta, zatrzymał się z krótką wizytą u Ambrose'a.

- Po co wciąż trzymasz te śmieci? - zapytał Monk, wyrównując jeden z gazetowych stosów.

- Dla ojca.

- Ale ojciec wrócił - odparł Monk. - Możesz już przestać je gromadzić.

- Powiedział, żebym zbierał, dopóki ich nie odbierze przy najbliższej sposobności.

- Nigdy ich nie odbierze.

- Mówiłeś, że ojciec nigdy nie wróci - stwierdził Ambrose. — Ale się pomyliłeś. Wrócił.

- Tylko dlatego, że czegoś ode mnie potrzebował.

- Ode mnie potrzebuje gazet. Wróci i wszystkie je weźmie.

- Chciał cię tylko zbyć - stwierdził Monk.

- Uważasz, że nie jestem mu potrzebny? — krzyknął Ambrose tak głośno, że aż podskoczyłam ze strachu. — Myślisz, że potrzebuje tylko ciebie?

- Nie potrzebuje żadnego z nas — odrzekł Monk. - W każdym razie, dopóki nas nie potrzebuje.

- Mówisz bez ładu i składu, Adrianie.

- Tato nie jest osobą, na której można polegać, zwłaszcza gdy w grę wchodzi uczucia innych. Zobacz, ile sprawia ci kłopotu.

- Dla mnie to żaden kłopot. Robię to od lat.

- Właśnie o tym mówię.

Ignorując tę uwagę, Ambrose spojrział na mnie i uśmiechnął się.

- Masz ochotę na szklanekę wody? - zapytał.
- Nie, dziękuję — odpowiedziałam.
- Może na lody czekoladowe? Są wyborne.
- Chciałabym. Ale dbam o linię.
- Pewnie dlatego jesteś tak smukła i kształtna.

Pomyślałam, że w tym, co mówi, jest jakaś sprzeczność, ale uśmiechnęłam się mimo wszystko. Ambrose podniósł ze stolika plik jakichś książeczek. Były obwiązane czerwoną wstążeczką. Wręczył mi je uroczyście.

- Trzymałem je specjalnie dla ciebie - oznajmił.
- Wszystko trzymasz - mruknął pod nosem Monk.
- To egzemplarze moich najnowszych książek - wyjaśnił Ambrose.

Zerknęłam na grzbiety. Był tam podręcznik z instrukcją obsługi bezprzewodowego routera WMA24Z7 firmy Linknet, instrukcja instalacji niskonapięciowego systemu oświetlenia zewnętrznego oraz instrukcja składania skomplikowanego regału na książki, w języku szwedzkim i angielskim. Byłam pewna, że napisał obie wersje językowe.

- Bardzo dziękuję - powiedziałam. - Z chęcią je przeczytam.

- Wpisałem ci dedykacje - powiedział z dumą w głosie.

Otworzyłam okładkę podręcznika Linknet. Ambrose napisał tak: *Dla Natalie. Niechaj wszystkie twoje łącza, bezprzewodowe czy nie, cieszą się niczym niezakłóconym przewodzeniem.*

- Jesteś wspaniały, Ambrose - powiedziałam

i pocałowałam go w policzek. - Jeszcze nikt nie zadedykował mi żadnej instrukcji obsługi.

- Jeśli chcesz, mam też wersję po hiszpańsku - zaproponował chętnie. - Ją także sam napisałem.

Monk chrząknął głośno. Ambrose spojrział na niego, jakby zapomniał o jego istnieniu.

- Więc po co przyjechałeś? - zapytał.

- Muszę tu zostać kilka dni - wyjaśnił Monk. - To nagła sprawa.

- Jaka nagła sprawa? — zdziwił się jego brat.

- Sprawa płamy na dywanie.

Ambrose pokiwał ponuro głową.

- Mogłeś mówić od razu.

- Chciałem ci oszczędzić szoku.

Ambrose objął ramieniem Mońka, który zeszytywniał w jednej chwili.

- Co byłby ze mnie za brat, gdybyś w chwilach potrzeby nie mógł szukać u mnie wsparcia?

- Sam zrobiłem tę plamę - wyznał Monk. Ambrose poklepał go pocieszająco po ramieniu.

- Będzie dobrze, Adrianie.

- Nie rozumiesz - powiedział Monk. - To nie pierwszy raz.

- Wiem - odparł Ambrose.

- Tak mi wstyd.

Monk oparł ciężko czoło o ramię brata. Wymknęłam się po cichu, by przynieść bagaże.

## Monk i dzień wolny

Odjechałam spod domu Ambrose'a i ruszyłam przed siebie w wielki świat, by cieszyć się pierwszym od wieków dniem całkowicie wolnym od pracy.

Wróciłam do miasta i wybierając okężną drogę, wolno przejechałam do przystani Fisherman's Wharf, miejsca, które zwykle omijam z daleka ze względu na tłumy turystów. Ale nad brzegiem zatoki jest piekarnia Boudin Bakery, która wypieka najlepszy na świecie kwaśny chleb. Pokusa, by przynieść na obiad do domu bochenek gorącego chleba, była zbyt silna.

Dwadzieścia minut zajęło mi szukanie miejsca parkingowego, a potem jeszcze stałam w długiej kolejce w piekarni, patrząc, jak tłumy turystów robią sobie zdjęcia przed frontowym szyldem Fisherman's Wharf, by udowodnić potem wszystkim, że rzeczywiście tu byli. Nie wiedziałam, po co zadają sobie taki trud. Moim zdaniem poza piekarnią nie było tam nic ciekawego do oglądania, a tym bardziej do zapamiętywania.

Przystań od wielu lat nie pełniła swojej funkcji przewozowej ani przemysłowej. Upadła do roli nieczynnych sideł na turystów, bezwstydного centrum handlowego na nabrzeżu, z marynistycznymi motywami i atmosferą karnawałowego bulwaru. Kró-



łowały tu jedynie tandetne sklepiki z pamiątkami, ponure bary szybkiej obsługi i lepkie od brudu restauracyjki z morskimi daniami, w których więcej inwencji wkładano w obwieszenie ścian rybackimi sieciami i żeglarskimi świecidełkami niż w przyrządzenie smacznego posiłku. Na przystani pozostało już niewiele rzeczy autentycznych i czarujących, a wciąż ich ubywało. Ten smutny stan rzeczy zdaje się dzisiaj dotyczyć niemal wszystkiego i wszystkich, nie wyłączając wielu znanych mi ludzi.

Dzień był pogodny i przyjemny, a od wody wiała słonawa, orzeźwiająca bryza. Zamiast więc wrócić do samochodu, przeszłam spacerkiem do Victoria Park przy Ghirardelli Square, z którego rozpościera się wspaniały widok na zatokę.

W parku kończy bieg tramwaj linowy. Przy pętli wystają gromady turystów czekających na przejazd. Wokół kręci się więc mnóstwo ulicznych kuglarzy, artystów szkicujących portrety i kramarzy mających nadzieję, że tkwiący w kolejkowej pułapce ludzie wolą wydać parę groszy, niż nic nie robić.

Usiadłam na ławce i spojrzałam na zakotwiczone przy Hyde Street Pier dziewiętnastowieczne szkunery, żaglowce kołyszące się na grzywiastych falach i stateczki wycieczkowe płynące na Alcatraz. Widok był tak uroczy, że szybko zapomniałam o bożym świecie.

Zanim się spostrzegłam, nieświadomie spałaszowałam cały bochenek chleba — to tyle na dzisiaj, jeśli chodzi o moją dbałość o linię.

Wstałam i zaczęłam przeglądać biżuterię, którą uliczni sprzedawcy wystawiali na kartonowych stolikach i skrzynkach po jabłkach. Kupiłam jakiś na-

szyjnik i kolczyki dla Julie, żeby wiedziała, że o niej pamiętam, gdy nie ma jej przy mnie. Zastanawiałam się, czy córka za mną tęskni. Prawdopodobnie była zadowolona, że raz jest sama dla odmiany, podobnie jak ja. Nigdy nie miałam okazji, by posiedzieć w parku, pogryzać chleb i naśmiewać się w duchu z turystów. Czułam się znakomicie.

Przeszłam do centrum handlowego na Ghirardelli Square, w którym dawniej mieściła się sławna fabryka czekolady z San Francisco. Teraz czekoladę wyrabia się w San Leandro, ale Ghirardelli wiele się tym nie przejmuje. W San Leandro nikt jeszcze nie zostawił swojego serca.

Na placu znajduje się księgarnia specjalizująca się w wydawnictwach z dziedziny sztuki i architektury. Przejrzałam półkę z książkami o stylu Tiki i wzornictwie hawajskim i przypomniała mi się podróż z Monkiem na Hawaje. Teraz wspominałam ją z większym rozbawieniem i sympatią, niż odbierałam to wtedy, ale tak to już jest z przeszłością. Człowiek pamięta to, co chce zapamiętać.

Zastanawiałam się, jak Monk i Ambrose spędzają wspólnie czas. Cieszyli się sobą? Kłócili się? A może każdy zaszył się w najdalszym kącie wielkiego domu, ledwie wiedząc o obecności drugiego?

Kusiło mnie, żeby pojechać do nich i przekonać się na własne oczy. Odeгнаłam jednak tę myśl i zadzwoniłam do strażaka Joego, mojego „troszkę więcej niż przyjaciela”, aby zapytać, czy nie ma dziś wieczorem czasu na wspólny obiad. Niestety Joemu mijał właśnie drugi dzień czterodniowego dyżuru w remizie.

Spróbowałam więc zadzwonić do doktora Polańskiego, dziarskiego dermatologa, wyleczonego z trą-

du, którego poznałam podczas jednego ze śledztw prowadzonych przez Mońka. Jednak jego również musiałam skreślić. Poleciał do Miami na sympozjum dotyczące trądu. Szczęściarz.

Zaczęłam już dzwonić do Skutera, ale w trakcie wybierania numeru oprzytomniałam. Co się ze mną dzieje, do diabła?

Zerknęłam na zegarek. Minęły dwie godziny mojego pierwszego wolnego popołudnia, a ja wciąż nie miałam pojęcia, co ze sobą począć.

W tym momencie zorientowałam się, że dzwoniąc, usiadłam bezwiednie na jakimś krzeselku przed jednym z ulicznych portrecistów. Mężczyzna nie był młody, miał ponad pięćdziesiąt lat, wyglądał, jakby połknął coś tak potwornie kwaśnego, że trwale odcisnęło się to zmarszczkami na jego ogorzałej twarzy. Byłby łatwym modelem na karykaturę nawet dla mnie, a ja w ogóle nie potrafię rysować.

Zanim zdałam sobie sprawę, gdzie siedzę, artysta był już zajęty unieśmiertelnianiem mojej skromnej osoby kawałkiem węgla, było więc za późno, aby przeprosić i odejść. Wpadłam jak śliwka w kompot, w każdym rozumieniu mojej sytuacji.

Co się stało z decyzją, by zmienić życie? By korzystać z okazji? By poznawać nowych przyjaciół? W San Francisco jest mnóstwo nocnych klubów, galerii i wydarzeń kulturalnych. Więc co ja robię na tym krzeselku?

Zaczęłam się zastanawiać, czy beze mnie Julie i Monk czują się tak samo nieswojo jak ja bez nich. Wątpiłam. To skłoniło mnie do zastanowienia, kto kogo bardziej potrzebuje. Może Skuter się nie mylił co do mnie.

Artysta skończył swoje dzieło, wsunął karyka-

ture w tekturową ramkę w kształcie tramwaju linowego i zaprezentował mi ją z dumą, jakby była to jakaś bezcenna spuścizna.

Rzuciłam okiem na rysunek. Uznałam, że od biedy mógłby to być mój portret. Równie dobrze mógł to być portret Barbary Bush, Nicole Kidman, Eddiego Murphy'ego lub byle turysty czekającego w kolejce przy pętli tramwajowej. Twarz pozbawiona charakteru i niemożliwa do zapamiętania.

Cóż, może właśnie tak wyglądałam w jego oczach. W każdym razie tak się czułam. Może portrecista uchwycił nie moją twarz, lecz duszę? Ciekawe, czy wyglądałabym inaczej, gdybym była tu z Mon-kiem albo Julie. Będę musiała tu kiedyś z nimi wrócić i jeszcze raz się zobaczyć z panem Zmarszczką. Wręczyłam mu dziesięć dolarów i poszłam do piekarni Boudin Bakery po jeszcze jeden bochenek chleba, a potem pojechałam do domu.

Zrobiłam pranie, popłaciłam rachunki, a na obiad przygotowałam sobie sutą kanapkę z tuńczykiem i lampkę białego wina, co kosztowało mnie niemal tyle samo co karykatura.

Czyja naprawdę umiem żyć?

Napełniłam jeszcze raz kieliszek i zabrałam wino do łazienki, gdzie ułożyłam się w wannie ze sporządzoną przez Ambrose'a instrukcją instalacji niskonapięciowego systemu oświetlenia zewnętrznego.

Być może nie była to idealna lektura do kąpieli z pianą, ale byłam pod wrażeniem jego wyobraźni. Czytając tekst, nikt by nie pomyślał, że Ambrose nigdy nie widział żadnego niskonapięciowego systemu oświetlenia w żadnym ogródku, nie mówiąc już o tym, by sam miał go instalować. Jego opisy były jednak klarowne, barwne i napisane w tonie

bardzo autorytarnym. Dedykacja też była niczego sobie:  
*Dla Natalie, dla mnie zawsze będziesz systemem  
wysokonapięciowym.*

Mając na względzie, że swój pierwszy od dawien dawna wolny wieczór spędzam w wannie z letnią wodą, popijając tanie wino i czytając instrukcję obsługi, dobrze było wiedzieć, że mogę jeszcze zaiskrzyć.

Punktualnie o dziewiątej stałam pod drzwiami Ambrose'a gotowa do pracy. Można nawet powiedzieć, że się do niej paliłam.

- Dzień dobry - powiedziałam. — Jak wam minął wieczór?

- Najpierw oglądaliśmy teleturniej *Vabanque*, a potem zrobiłem na obiad linguini — powiedział Ambrose. - Adrian mierzył makaron.

- To musiało panu działać na nerwy, prawda?

- Owszem - przyznał Ambrose. — Ale cóż zrobić. To mu sprawia tyle radości.

- Dobrze wiem, co pan czuł.

Zaimponował mi. Ambrose sam się zmagał z poważnymi problemami natury psychicznej, ale nie zamknęły mu one oczu na wyjątkowe potrzeby brata i w żadnym stopniu nie sprawiały, że mniej mu współczuł. Zobaczyłam Ambrose'a w zupełnie nowym świetle.

- To była istna udręka - ciągnął Ambrose, ustępując na bok, by wpuścić mnie do środka.

- Wyobrażam sobie. Niech mi pan wierzy - powiedziałam. - Codziennie mam z tym do czynienia.

- Zdecydowanie wolę sam mierzyć makaron.

Miałam ochotę się roześmiać, ale kiedy się od-

wróciłam i zobaczyłam wyraz jego twarzy, natychmiast zdusiłam śmiech. Wcale nie żartował.

- Pan też mierzy makaron? - zapytałam.

- Cóż, nie mam nikogo, kto by mnie w tym wyręczył - odparł Ambrose. - Nie przywykłem, by dzielić tę odpowiedzialność z innymi, choć już w dzieciństwie ten obowiązek należał zawsze do Adriana.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, jak mogło wyglądać dorastanie w takim domu, ale trochę zaczynałam rozumieć, dlaczego ich ojciec uciekł, choć, rzecz jasna, nie pochwalałam jego uczynku.

- Jest pan dobrym bratem, Ambrose - powiedziałam. — Gdzie Monk? Siedzi w kuchni i liczy w misce płatki zbożowe White Chex?

- Policzył je parę godzin temu. Jest u siebie w pokoju.

Weszłam na piętro i zobaczyłam, że drzwi do pokoju Mońka są otwarte na oścież. Leżał na swoim małym pojedynczym łóżku i uśmiechał się do siebie szeroko nad książką z przygodami Marmaduke'a. To jego ulubiony komiks.

- Trafił pan na jakąś wesołą historyjkę, panie Monk? - zapytałam.

- Wszystkie są dobre, ale ten to klasyka - odpowiedział, odwracając książkę, abym mogła zobaczyć obrazki.

Marmaduke, ogromny pies, lizał dach samochodu, a za nim, na rogu ulicy, stało dziecko z napisem: „Myjnia samochodowa - 5 dolarów”.

- Czy to nie prześmieszne? - zapytał. - Konam ze śmiechu.

- Wcale się pan nie śmieje - zauważyłam.

- Ależ tak. Popatrz na mnie.

- Niech mi pan wierzy, nie śmieje się pan. Na twarzy ma pan tylko uśmiech.

- To śmiech.

- Nie. To uśmiech. Śmiech to coś innego. Towarzyszy mu odgłos.

- W takim razie śmieję się w środku.

- Chyba że tak.

- Głośno i dziko.

- Skoro pan tak twierdzi...

Rozejrzałam się po pokoju. Tu i ówdzie był czymś przyozdobiony. Zobaczyłam proporczyk drużyny futbolowej San Francisco 49ers, odręcznie narysowaną mapę wyjść ewakuacyjnych, układ okresowy pierwiastków oraz fotografię rodzinną Mońka, Ambrose'a i ich rodziców — wszyscy stali sztywno, z rękoma opuszczonymi prosto wzdłuż ciała, w równej odległości pół metra od siebie. Wyglądali jak statuetki. Aż człowieka strach przejmował.

Monk miał też u siebie maszynę do pucowania butów, urządzenie, którego raczej się nie spotyka w pokoju dla dziecka, a ściślej mówiąc, w jakimkolwiek pokoju. Była tu również wycieraczka do butów, dwa pasujące do siebie parasole w stojaku, na biurku zestaw do polerowania kamieni, a na półkach kompletny zbiór młodzieżowych kryminałów *Encyklopedia Brown*.

Kiedy zrobiłam krok w kierunku półek, aby obejrzeć książki, spostrzegłam uchylone drzwi do garderoby. W oczy rzucił mi się kącik ust jakiejś uśmiechniętej kobiety. Otworzyłam szerzej drzwi i ze zdumieniem zobaczyłam przyklejony taśmą do przeciwległej ściany plakat Farrah Fawcett.

- Lubi pan Farrah Fawcett? - zapytałam.

- Nie znam dobrze tej marki - odpowiedział. -

Najlepsze baterie robi Keebler. Mają fantastyczne kurki.

- Mówię o niej. — Postukałam zgiętym palcem w plakat. - O Farrah.

- Ach, tak. Fajny dzieciak.

- Raczej kociak.

Monk przytaknął.

- Na scenie daje czadu.

Nie miał zielonego pojęcia, kto to jest. Doszłam do przekonania, że powiesił sobie w pokoju jej plakat tylko dlatego, że taki sam mieli inni chłopcy. Wszyscy na pewno uważali, że Farrah to zgrabna laska, a Monk chciał być tylko taki jak oni. Pomyślałam, że to bardzo słodkie, a jednocześnie dojmująco smutne. Postanowiłam nie drażnić tego tematu.

- Jakie to uczucie, panie Monk, wrócić do rodzinnego domu i spać w swoim starym łóżku?

Odłożył książkę i spojrzał na mnie.

- Dziwne. Dawniej siadałam na tym samym łóżku i marzyłam sobie, jakie będzie moje życie, kiedy dorosnę. Teraz proszę, dorosłem.

- I co? Wszystko potoczyło się tak, jak pan sobie wymarzył?

- Niezupełnie — odparł. — Chciałem zostać inspektorem w departamencie miar i wag stanu Kalifornia. Jak byłem mały, często chodziłem na stację benzynową za rogiem i sprawdzałem dokładność pomp. Tak dla zabawy. To były szalone czasy.

- Nie wątpię... - mruknęłam. - Dlaczego zmienił pan zdanie?

- Nie chcieli mnie przyjąć. Powiedzieli, że jestem nadgorliwy i nazbyt dokładny. Jak w departamencie miar i wag można być nazbyt dokładnym?

- Prawda, to niewyobrażalne.



- Więc zostałem policjantem. Niewiele to się różni od mierzenia i ważenia. Dbam o utrzymanie wszystkiego w odpowiedniej równowadze.

- Oczywiście.

- Wczoraj wieczorem mierzyłem Ambrose'owi linguini - powiedział Monk, znizywszy głos. - Tak naprawdę, nigdy nie udało mu się dobrze opanować tej sztuki. Widzisz, nawet gdyby wyszedł z domu, najwyraźniej brakuje mu podstawowych umiejętności niezbędnych do egzystencji w świecie zewnętrznym.

- Jak choćby mierzenia makaronu — dodałam.

- Jakie to smutne — podsumował Monk.

Owszem, smutne. Dla nich obu.

Jaka matka każe dzieciom sprawdzać, czy wstążki makaronu na ich talerzu są równej długości? Pani Monk musiała być naprawdę szalona. Ale wiedziałam, że i tak obaj ją kochali.

Kiedy rozmyślałam, jak musiało wyglądać dzieciństwo Adriana i Ambrose'a, chciało mi się płakać i zaraz miałam ochotę cofnąć wszystkie złe słowa, które wypowiedziałam w życiu pod adresem własnych rodziców. Co jak co, ale nigdy nie kazali mi mierzyć makaronu.

W tej chwili zadzwonił mój telefon komórkowy. Zerknęłam na ekranik, sprawdziłam, kto dzwoni, i już wiedziałam, że jakiś biedaczyna w San Francisco nie będzie więcej obchodził swoich urodzin.

## Monk i ostateczna granica

Hotel San Francisco Airporter Motor Inn był rozpadającym się przykładem architektury wczesnych lat sześćdziesiątych.

Nazwa hotelu była wypisana na kawałku rozwarstwiającej się dykty, zamocowanej do fasady z bloków skały wulkanicznej. Front budynku był lekko zakrzywiony, co w założeniu miało przywołać na myśl płetwę ogonową i dawać wrażenie ruchu. Tymczasem człowiek miał wrażenie, że cała ta rudera zaraz się zwali na ziemię — jeśli wcześniej nie zgniecie jej któryś z lądujących samolotów, które przelatywały tak nisko, że wysuniętym podwoziem niemal ocierały się o dach.

Jakby tego było mało, hotel stał nie tylko przy pasie startowym, ale również przy autostradzie nr 101 i byłam całkowicie pewna, że jedyną osobą, mogącą sobie chwalić cichy nocleg, był trup, którego przyjechaliśmy obejrzeć.

Tym bardziej jednak nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego hotelowy parking zapelniony jest samochodami, a w oknie recepcji widnieje neon: „Brak wolnych miejsc”. Osobiście wolałabym się przespać we własnym samochodzie niż w takim miejscu.

Przy rampie na tyłach budynku, obok hotelowego „centrum konferencyjnego” - na które prze-

robiono starą halę magazynową jakiejś fabryczki połączonej z głównym budynkiem długim krytym pasażem - stała taksówka. Tylnie prawe drzwi samochodu były szeroko otwarte, a tuż koło nich leżały zwłoki.

Technicy policyjni robili zdjęcia i dokładnie przetrząsali najbliższy teren w poszukiwaniu śladów zbrodni. Nieopodal stało dwóch znudzonych facetów z noszami na kółkach i plastikowym workiem. Czekali na znak, by zabrać ciało do kostnicy.

Disher przesłuchiwał taksówkarza, Azjatę, który mówił coś żywiłowo po chińsku, a jeszcze gwałtowniej przy tym gestykulował. Porucznik trzymał uniesiony długopis, gotów zacząć notować, gdy tylko zrozumie coś z tego, co opowiada taksówkarz.

Stottlemeyer stał przy zwłokach z rękami w kieszeniach, gryzł wykałaczkę i patrzył, jak do niego podchodzimy.

- Dzięki, że szybko przyjechaliście.

W każdym razie wydawało mi się, że to powiedział. Jego słowa zagłuszył ryk lądującego samolotu.

Nagle kątem oka dostrzegłam ruch. To taksówkarz, niczym mim, zaczął Disherowi pokazywać, jak ktoś wyskakuje z ukrycia i strzela z pistoletu. Opis był bardzo żywy i obrazowy. Azjata byłby znakomitym partnerem do gry w kalambury. Zadowolony Disher mógł wreszcie zanotować coś w notesie.

Monk obszedł ciało dookoła, przypatrując mu się uważnie pod różnym kątem. Ja również, z braku czegoś lepszego do roboty, zaczęłam się przypatrywać nieboszczykowi. Kiedy po paru chwilach podniosłam oczy, zobaczyłam, że Stottlemeyer patrzy uważnie mnie. Począł, aż przeleci kolejny samolot, i zapytał:

—Jak myślisz, Natalie, co tu się stało?

Poczułam nagły dreszcz strachu. Znowu znalazłam się w siódmej klasie na lekcji języka francuskiego. Zawsze siadałam w ostatniej ławce i modliłam się, żeby nauczyciel, pan Gino Barsuglia, nie wyrwał mnie do odpowiedzi.

- Nie mam odpowiednich kwalifikacji, by wyrażać opinię - próbowałam się wykręcić.

—Nie powiedziałbym — odparł Stottlemeyer. - Jesteś inteligentna, widziałaś wiele miejsc zbrodni, a od jakiegoś czasu stale przebywasz w towarzystwie policjantów. Założę się, że wiesz o tej robocie więcej, niż myślisz.

Może miał rację. Sądząc po dramaturgii spektaklu odegranego przez taksówkarza, po miejscu, gdzie stała taksówka, i po ułożeniu ciała, wydawało mi się oczywiste, co mogło się wydarzyć, więc postanowiłam spróbować.

- No dobrze. Wygląda mi na to, że przyjechała taksówka i w chwili, kiedy pasażer wysiadał z samochodu, ktoś wyskoczył zza kontenera na śmieci i strzelił.

Podeszłam do punktu, w którym, jak przypuszczałam, stał morderca, i odwróciłam się, aby spojrzeć z jego perspektywy na miejsce przestępstwa.

Znalazłam się na wprost maski taksówki.

—Jeśli zabójca stał tutaj - powiedziałam - taksówkarz musiał go doskonale widzieć.

Rozejrzałam się i nad rampą zauważyłam kamerę przemysłową. Druga wisiała nad wejściem do centrum konferencyjnego, a kolejna na wysokiej latarni na parkingu.

- Jeśli kamery były włączone, nie powinniście

mieć problemu, by dobrze go sobie obejrzeć, zakładając oczywiście, że do strzałów doszło przy dobrym świetle, a zabójca nie był zasłonięty. Stottlemeyer pokiwał głową,

- Nieźle.

- Dał mi pan łatwe zadanie, kapitanie. Nie była to robota prawdziwego specja od zagadek kryminalnych - stwierdziłam. - Powiedziałam, co myślałam.

- Niemniej jednak wydaje się, że tak właśnie było - posumował Stottlemeyer i odwrócił się do Mońka, który pochylał się w taksówce nad tylnym siedzeniem. - Chyba że Monk miałby coś do dodania.

- Pod siedzeniem jest świeża guma do zucia. — Detektyw wyprostował się i oskarżycielsko wycelował palec w trupa. — Jestem pewien, że to jego sprawka.

- Dobrze wiedzieć - westchnął Stottlemeyer. — Jedna zagadka mniej z morza pytań, które nie dadzą mi dzisiaj zasnąć...

W tej chwili dołączył do nas porucznik Disher, wsuwając notes do wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Taksówkarz zabrał Stipe'a z hotelu Belmont przy Union Square i przywiózł go prosto tutaj. Potwierdza to, co wiemy i co mówią inni świadkowie. W każdym razie wydaje mi się, że potwierdza. Trochę zaniedbałem swój chiński.

- Znasz chiński? - zdziwił się Stottlemeyer.

- Nie - odpowiedział Disher. - Dlatego jest zaniedbany. Z braku praktyki.

- Może są inni świadkowie? - zapytałam.

- Całe zdarzenie widziało kilka osób na parkin-

gu, a drugie tyle z okien hotelowych pokojów — rzekł Disher. - Mielibyśmy więcej świadków, gdyby odgłosu wystrzału nie zagłuszył lądujący samolot.

- Jeśli macie tylu świadków i zapis z kamer przemysłowych, po co wam jeszcze pan Monk?

- Nie wiemy, kto to zrobił i dlaczego - wyjaśnił Stottlemeyer. - Ani gdzie go szukać.

- To chyba normalne na początku każdego śledztwa, prawda? Myślałam, że pana Mońka ściągacie w naprawdę trudnych przypadkach.

- Ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż ci się wydaje, Natalie — stwierdził Stottlemeyer.

- O wiele bardziej. - Monk patrzył nachmurzony na zabitego. - Ten człowiek miał mnóstwo wrogów, którzy chętnie widzieliby go w trumnie. Odnalezienie wszystkich może nam zająć resztę życia.

- Skąd takie przypuszczenie? - zapytał Stottlemeyer.

- Ponieważ był wstrętną, plugawą, obmierzlą istotą ludzką - odpowiedział Monk. - A wstrętne, plugawe i obmierzłe istoty ludzkie zawsze mają wrogów.

- Nic o nim nie wiesz.

- Żuł gumę - powiedział Monk, jakby to miało świadczyć o wszystkim.

- Masa ludzi żuje gumę, Monk. To ich jeszcze nie czyni złoczyńcami.

- Ten człowiek przykleił przeżutą grudę, prześiąkniętą obrzydliwymi organicznymi płynami, do siedzenia w miejskiej taksówce. Gdyby nie został zabity, taksówka odjechałaby spokojnie dalej, wzięła następnego pasażera i na tym samym miejscu usiadłaby jakaś niewinna, nieświadoma niczego osoba,

prowadząca nieskalany żywot. Bóg jeden wie, co mogłoby się stać.

- Przyznaję, człowiek nie należał do daleko wzrocznych. Ale nie dlatego ta sprawa jest dla nas prawdziwym wyzwaniem.

Monk spojrzał na ciało.

- Mam nadzieję, że będziesz się smażył w piekle - wycedził.

Mówił coś jeszcze, może nawet coś bluźniercze-go, ale jego słowa utonęły w huku silników przelatującego nad naszymi głowami samolotu. Maszyna leciała tak nisko, że pochyliłam się instynktownie, w obawie, że podwozie z kołami utnie mi głowę albo zgniotą mnie ściany zwałonego budynku. Odezwałam się dopiero, kiedy samolot przeleciał.

- Przecież ten facet nie rozpląnął się w powietrzu, nie zaatakował go aligator ani nie znaleziono go martwego w pokoju zamkniętym od środka na klucz. Nie wiem, co w tej sprawie ma być takie skomplikowane.

- Zabawne - skomentował Stottlemeyer. - Jeszcze pięć minut temu twierdziłaś, że brakuje ci odpowiednich kwalifikacji do wyrażania opinii.

Wzruszyłam ramionami.

- Może pan winić wyłącznie siebie, kapitanie.

- Po przejrzeniu nagrań z kamer przemysłowych zrozumiesz złożoność sprawy — wyjaśnił Stottlemeyer.

- Proszę, wszystkie czekają w kolejce, gotowe do odtworzenia w biurze kierownika.

Kapitan dał znak mężczyznom z kostnicy, że mogą zabrać ciało, a potem poprowadził Mońka, Dishera i mnie przez parking do biura hotelu.

- Tak na marginesie, Monk, dziś rano dosta-

łem raport lekarzy sądowych na temat Lorbera - powiedział Stottlemeyer. — Miałeś rację. Kiedy do niego strzelano, nie żył co najmniej od dziesięciu minut. To już ani mój, ani twój problem.

- To sprawa „Specjalnej jednostki do spraw bezczeszczenia” - oświadczył Disher. - W kręgach organów ścigania znanej w skrócie jako SJB.

- Jakich kręgach organów ścigania? - zapytał zdziwiony kapitan.

- W naszym kręgu. No, pan, ja... - wyjaśnił porucznik, zataczając palcem małe kółko. - I jeszcze Monk i Natalie.

- Ja nie należę do organów ścigania - zaproponowałam.

- Ale należysz do kręgu. - Disher raz jeszcze zakreślił palcem w powietrzu kółko. - Sama widzisz. W kręgu wiedzą wszyscy.

- Twoja jednostka specjalna ma już kolejną sprawę - powiedział Monk.

- Naprawdę? - W głosie Dishera brzmiało podniecenie.

- Zbezczeszczenie taksówki. - Monk pokazał palcem samochód, a potem plastikowy worek z odwołanym na noszach ciałem. - Przez tego człowieka.

- Jest martwy - zauważył Disher. - Niewiele można zrobić, aby spotkała go kara.

- Sprawiedliwości musi stać się zadość, poruczniku - orzekł Monk. - Musi ponieść karę, nawet jeśli spadnie ona już tylko na nazwisko.

- Właściwie jak on się nazywa? - zapytałam.

- Conrad Stipe - odpowiedział Stottlemeyer.

Nazwisko wydało mi się znajome.

- Skąd ja je znam? - zastanowiłam się głośno.



—Zaraz zobaczysz - odparł Stottlemeyer, otwierając drzwi do recepcji.

Poprowadził nas za kontuar i weszliśmy do ciasnego pokoiku bez okien, w którym piętrzyło się w jednym miejscu osiem magnetowidów i kilka monitorów.

—W ostatnich latach wiele razy składali tu wizytę śledczy z wydziału do walki z narkotykami — wyjaśnił Disher. - W celu odstraszenia wszelkiej maści intruzów i dilerów narkotyków kierownictwo hotelu zainstalowało w łatwo widocznych miejscach kamery przemysłowe.

Co za urocze miejsce na nocleg. Monk podwinął rękawy.

—Dlaczego więc zabójca zastrzelił go właśnie tutaj? Dlaczego nie gdzieś dalej, gdzie nie osiągnąłby go obiektyw kamery?

—Ponieważ chciał, aby go widziano.

Disher wcisnął przycisk PLAY na jednym z magnetowidów. Obraz na monitorze był podzielony na cztery części, każda z innej perspektywy pokazywała rampę i podjeżdżającą taksówkę.

Conrad Stipe wysiadł z samochodu. W tej chwili zza kontenera na śmieci wynurzył się człowiek, strzelił mu raz prosto w czoło i wbiegł do centrum konferencyjnego.

Wszystko stało się nagle, w sposób gwałtowny i wstrząsający, dokładnie tak, jak powiedziałam. No, prawie dokładnie.

Zabójca ani trochę nie wyglądał tak, jak go sobie wyobrażałam. Oczami wyobraźni widziałam wytatuowanego członka jakiegoś gangu. Tymczasem mężczyzna, który strzelał, miał na sobie jasną, pomarańczową koszulę z symbolem rozchodzących się

promieni światła na piersi, czarne spodnie i czarne wysokie buty.

Miał również spiczaste uszy, kręgosłup widoczny na czole, a na twarzy słoniową trąbę, która zwisała mu do podbródka.

Rozpoznałam go natychmiast.

- Mój Boże. To przecież pan Snork.

## Monk i fan

Monk przyjrzał się z uwagą zatrzymanej w stop-klatce sylwetce zabójcy ze słoniowym nosem.

- Znasz tego potwora?
- Oczywiście — odpowiedziałam.
- To twój były chłopak?
- Skądże - odpowiedziałam. - Nie poznaje go pan?
- Nie zadaję się z potworami.
- To pan Snork, szef ochrony na statku kosmicznym

*Discovery* — wyjaśniłam. - Właściwie nie tyle on, ile ktoś za niego przebrany.

Dopiero wtedy uświadomiłam sobie, dlaczego nazwisko ofiary nie jest mi obce.

- Czy to nie Conrad Stipe był twórcą serialu *Poza Ziemią*?

Stottlerneyer przytaknął.

- Zastrzelić kogoś to jedna sprawa. Ale tu chodzi o coś więcej — powiedziałam. — Stipe został zamordowany przez osobnika przebranego za jednego z bohaterów, których sam stworzył. Ktoś chciał nam dać coś do zrozumienia.

- Powoli zaczynasz ogarniać sytuację - stwierdził Stottlerneyer.

- Czy rzeczywiście tak trudno znaleźć tego potwora? - Monk wskazał palcem monitor. - Wbiegł do centrum konferencyjnego. Przy tyłu świadkach

ktoś musiał go widzieć. Nie wydaje mi się, by ktoś taki mógł się wtopić w tłum.

Stottlemeyer zerknął na Dishera.

- Pokaż Monkowi zapis z poziomu centrum konferencyjnego.

Disber wcisnął szybko jakieś przyciski i sylwetkę zabójcy na ekranie zastąpiły cztery obrazy ogromnej sali bankietowej, wypełnionej setkami ludzi. Tłoczyli się w wąskich, długich przejściach między stoiskami i oglądali towar sprzedawców oferujących jakieś książki, T-shirty, filmy wideo, figurki i plakaty.

Zdecydowana większość osób ubrana była w różnokolorowe wersje kostiumu, który miał na sobie morderca, z takim samym symbolem rozchodzących się promieni światła na piersi. Co najmniej jedna trzecia tych osób miała spiczaste uszy i słoniowe trąby. Kolejna jedna trzecia miała ufoludkową mieszankę różnych kłów, futer, ogonów, pazurów, płetw, wielobarwnych skór i mnóstwo różnego rodzaju dodatkowych akcesoriów.

Monk się pochylił i z niedowierzaniem wbił oczy w ekran.

- Aresztujcie ich - zażądał.
- Pod jakim zarzutem? - zapytał kapitan.
- Chyba żartujesz - rzucił Monk. - Przecież oni się naćpali LSD. Są teraz w krainie czarów. Zapytaj Alicję.
- Jaką Alicję? — zainteresował się Disher.
- Chodzi o książkę, Randy - wyjaśnił Stottlemeyer.
- Albo o psychodeliczną piosenkę zespołu Jefferson Airplane - dodałam.
- Ostrzegam. Moi drodzy, rozważcie moje sło-

wa — mówił Monk. - Narkotykom trzeba powiedzieć stanowcze „nie”, w przeciwnym razie wam także wypłyną oczy.

- Nie pamiętam, żeby Alicji wypłynęły oczy - powiedziałam.

- To wynikało z podtekstu — stwierdził Monk.

- Nie widzę żadnych dowodów na to, aby ktoś tu miał zażywać narkotyki - powiedział Stottlemeyer.

- Wystarczy na nich spojrzeć, kapitanie. Przecież to odurzeni narkotykami hippisi. Jak inaczej można to wyjaśnić?

- To zlot fanów *Poza Ziemią*, panie Monk. Ludzie są przebrani za bohaterów serialu telewizyjnego.

- Jakiego serialu?

- Serialu, który napisał i wyprodukował w latach siedemdziesiątych Conrad Stipe — wyjaśnił Stottlemeyer. - To kultowy program wielu pokoleń.

- Aha, więc mamy do czynienia z kultem. - Monk pokiwał znacząco głową. - Teraz wszystko jasne. Aresztujmy ich, zanim złożą w ofierze dziewicę.

- Jest jakaś dziewica? - włączył się Disher. -Gdzie?

- Zapewne wszystkie są dziewicami - nie wytrzymałam.

- Bardzo chętnie dokonam aresztowania, Monk - powiedział Stottlemeyer. - Ale chciałbym, żeby to był morderca. Jakim sposobem mam go wyłuskać z tłumu? Tu jest setka Snorków. To jak wyszukać jedną igłę w pudełku igieł!

- Ja potrafiłbym wyszukać igłę w pudełku igieł - pochwalił się Monk.

- Wiem. Właśnie na to liczę. Bo kiedy zabójca wbiegł do centrum konferencyjnego, od razu wmieszał się w tłum. Nikt mu się nie przyjrzał. Jeśli ktokolwiek może go tu rozpoznać, to chyba tylko ty.

- Nie można sprawdzić, który z uczestników zlotu ma na dłoni ślady prochu po wystrzale? - zapytałam.

- Przede wszystkim musiałbym znaleźć na tyle szurniętego sędziego, żeby dał mi na to pozwolenie. Ale nawet gdyby się taki znalazł, to, jak nam wiadomo, zabójca błyskawicznie zrzucił strój i ulotnił się stąd przed naszym przybyciem.

- Och... - zaczęłam, ale zaraz przyszedł mi do głowy inny pomysł. — Nie możecie go szukać w miejscach, gdzie sprzedają Snorkowe trąby, spiczaste uszy i konfederackie mundury?

- W samym centrum konferencyjnym jest z pół setki handlarzy, którzy sprzedają te rzeczy, a nieskończenie wiele sprzedawców działa jeszcze w Internecie — powiedział Stottlemeyer. — Nie liczę osób, które same szyją sobie kostiumy i robią makijaż. Poza tym wątpię, by większość handlarzy szczegółowo księgowala każdą pojedynczą sprzedaż. Nie wiemy nawet, kiedy zabójca kupił kostium. Dzisiaj? W zeszłym tygodniu? Dwadzieścia lat temu?

- Och...

- Jak widzisz, Natalie, to wymagająca praca, którą najlepiej zostawić zawodowcom - powiedział Disher. - Wiemy, jak wykonać swoją robotę, mamy odpowiednie doświadczenie, duże zasoby i stare, dobre know-how. - Disher spojrział na mnie, potem na Mońka, a w końcu na kapitana.

- W większości wypadków. Powiedziałbym, że

od jednej drugiej do dwóch trzecich... — dodał Disher. -  
Mniej więcej.

Stottlemeyer westchnął znużony i spojrział na mnie.

- Rozumiesz teraz, na czym polega mój problem?  
Rozumiałam. Zrozumiałam też, że niebawem będzie to  
również mój problem.

Morris Hibler, organizator zlotu, byłby nawet w  
miarę atrakcyjnym mężczyzną, gdyby nie purpurowy  
kostium z serialu *Poza Ziemią*, spiczaste uszy i słoniowa  
trąba dyndająca mu z nosa.

Stottlemeyer, Monk i ja rozmawialiśmy z nim w jego  
hotelowym pokoju w Airporter Motor Inn, gdzie popijał  
z puszki 7-Up i czekał na wynik dwufenyloaminowego  
testu na ślady osadu po prochu strzelniczym, który to  
test wspinałomyślnie pozwolił sobie zrobić na rękach i  
odzieży jednemu z techników policyjnych. Disher został  
na zewnątrz i spisywał zeznania świadków.

- Zabójstwo Conrada Stipe'a to dla fanów tragedia o  
wymiarze międzygwiazdowym - powiedział Hibler. -  
Fakt, że popełnił je oficer Konfederacji, w ogóle nie  
mieści w głowie.

- Oficer Konfederacji? - nie rozumiał Stottlemeyer.

- *Discovery* to konfederacki pojazd gwiazdny klasy  
Piller — wyjaśnił Hibler. - Każdy z członków załogi  
uroczyście ślubował, że będzie szanował życie w każdej  
formie. Ten ohydny akt zbrodni to niedopuszczalne  
pogwałcenie „Kosmicznych przykazań stosunków  
międzyplanetarnych”. Mdło mi się od tego robi.

- Powinien pan wypić drugą puszkę 7-Up — poradził Monk. - Lepiej się pan poczuje.

- Nie, dziękuję — odpowiedział Hibler. — Na razie się męczę z tą jedną.

- Co tu robił Stipe? - dociekał Stottlemeyer.

- Oczywiście był naszym gościem honorowym. Miał uroczystie zainaugurować zlot, porozmawiać z gwiazdami o serialu i wyświetlić parę klasycznych odcinków.

- Wie pan może, co robił dziś rano w hotelu Belmont?

Hibler przytaknął.

- Nocował. Stipe zażądał czterogwiazdkowego hotelu. Nie stać nas było na wynajęcie sali konferencyjnej w Belmoncie, a zresztą nawet gdyby, to nie chcieliby nas u siebie widzieć. To bigoci, jeśli chodzi o sciencefiction. Nie lubią typów naszego pokroju.

- Kto wiedział, że Stipe tu się pojawi?

- Pewnie wszyscy - odparł Hibler, pociągając kolejny łyk napoju. - Zjawia się na sześciu, siedmiu podobnych zlotach rocznie.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami i skinął głową w kierunku 7-Up.

- Powinien pan je pić parami - powiedział.

- Ależ skąd - odparł Hibler.

- Ależ tak. Są jak skarpetki - upierał się Monk. - Tyle że gazowane.

Nie wątpię, że to, co mówił, w jakimś sensie wydawało się Monkowi logiczne, jednak nikomu z nas już nie. Postanowiłam pytać dalej.

- Serialu nie ma w telewizji od trzydziestu lat - powiedziałam. - Można pomyśleć, że Stipe'owi wychodziło już bokiem odpowiadanie wciąż na te same pytania.



- Myśli pani, że papieża męczą dyskusje na temat Biblii? - zapytał Hibler.

- Pan porównuje *Poza Ziemią* do Biblii? - zwałił Stottlemeyer.

- Chodzi mi tylko o to, że z Biblią jest podobnie. Im bardziej człowiek się w nią zagłębia, tym większe ma zrozumienie i respekt dla historii oraz dla wartości i lekcji życia, których ona naucza.

- Jeśli uważnie odczyta pan etykietę na puszcze - odezwał się Monk - zrozumie pan, że powinien pić dwie puszczyki naraz. Jak w Biblii, tyle że na puszczyki. Powinien pan wyznawać tę zasadę w sposób religijny.

- Przecież tu jest napisane tylko 7-Up — powiedział Hibler.

- Myślnik oznacza „i”, jak w zwrocie „i dalej, do czternastu” — powiedział Monk. — Oznacza to, że powinien pan już przejść do następnej puszczyki.

- Ależ skąd. - Hibler pokręcił przecząco głową, aż zabujała się jego słoniowa trąba.

- Tu chodzi o zdrowy rozsądek.

Stottlemeyer zaczął pocierać nerwowo czoło. Raptem pokój się zatrzęsł, a nad nimi zaryczał kolejny samolot.

- Pan jest śmieszny! - wykrzyknął Hibler.

- Ja? Ja?! - odkrzyknął Monk. - Czy patrzył pan ostatnio w lustro?

Między mężczyznami padły jeszcze jakieś ostre słowa, które litościwie zagłuszyły silniki samolotu. Kiedy ryk minął, pierwszy odezwał się Stottlemeyer, uciszając obu panów.

- Wystarczy już o tych napojach, Monk. Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa — powiedział. - Skupmy się na faktach.

- Fakty są takie, że reszta z nas żyje w rzeczywistym świecie — powiedział Monk. — Tam, gdzie mordują człowieka, zdrowo myśląca istota ludzka nie nosi spiczastych uszu, a siedem plus siedem równa się czternaście!

- Wcale nie noszę spiczastych uszu - oburzył się Hibler. - To moje uszy.

Wytrzeszczyliśmy na niego oczy. To dopiero zamknęło wszystkim usta.

- Pańskie? - zapytałam.

- Zrobiłem sobie operację plastyczną, żeby podkreślić ich kształt - wyjaśnił Hibler.

- Po co?

- Chodzi o siłę erotyczną - powiedział. — Z pewnością pani odczuwa to przyciąganie.

Owszem, coś czułam, ale nie erotyczne przyciąganie. Coś wręcz przeciwnego.

- A trąba? - zapytał Monk. - Też jest pańska?

- Tylko w sensie duchowym i emocjonalnym. Zrobiona jest z tej samej masy, której używano w serialu. Ale w życiu kieruję się zawsze ideami Snorka.

Stottlemeyer chrząknął.

- Ulokowanie Stipe'a w hotelu Belmont musiało was kosztować masę pieniędzy. Po co w ogóle zadawać sobie trud i go zapraszać? Na pewno słyszeliście wszystko, co ma do powiedzenia.

- Złot „pozaziemian” nie ma odpowiedniej rangi, jeśli nie uda się ściągnąć Stipe'a i co najmniej dwójki postaci z pierwszej wersji serialu — wyjaśnił Hibler. - Z szóstki udało się zaprosić czworo. Brakuje nam tylko kapitana Strykera i Starelli.

- Kim oni są?

Hibler spojrzął na Stottlemeyera z niedowierza-

niem, jakby kapitan zapytał go, kto był pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych.

- Dowódca statku *Discovery* i jego konkubina, psychiatra z planety Umgluck.

Kapitan znowu potarł czoło. Monk zaczął szukać czegoś w barku. Zaległa niezręczna cisza. Czułam, jak przesłuchanie gwałtownie nam umyka.

Kiedy Stottlemeyer znowu się odezwał, mówił bardzo opanowanym głosem, jaki zwykle rezerwował sobie dla Mońka.

- Pytałem, kim są w realnym świecie. Hibler znowu wytrzeszczył na niego oczy, a w odpowiedzi kapitan wytrzeszczył oczy na Hiblea.

- Kyle Bethany i Minerva Klane - powiedział Hibler. — Na jakiej planecie pan mieszkał przez ostatnie trzydzieści lat?

- Na Ziemi. - Monk zniecierpliwiony wyrwał puszkę 7-Up z rąk Hiblea, czym go przestraszył. - Pan też powinien spróbować tam pomieszkać.

- Co pan robi?

- Zaprowadzam prawo i porządek - odparł Monk i wręczył Hiblea butelkę wyjętą z barku.

- Po co mi to?

- To V8.

- To widzę - powiedział Hibler. - Ale po co mi pan to daje?

- Dzięki temu będzie pan mógł trzymać w ręku tylko jedną puszkę - wyjaśnił Monk.

- Ale ja nie znoszę soków warzywnych - powiedział Hibler. - Wolę 7-Up.

- To dla pańskiego dobra - nie ustępował detektyw. - To smaczny, parzysty napój. Jeszcze mi pan podziękuj.

Myślałam o Kyle'u Bethanym. Kiedy byłam

mała, kochałam się w nim na zabój. Nie przepadałam za science fiction, ale w odcinkach *Poza Ziemią* zawsze mogłam być pewna dwóch rzeczy: że jakimś sposobem koszula kapitana Strykera zostanie rozdarta i że kapitan zewrze się w romantycznym uścisku z jakąś kosmitką, a jeśli w okolicy brakowało kosmitek, to była jeszcze Starella, kosmiczny psycholog w przykrótkim bezrękawniku, która zdawała się nie podlegać prawu grawitacji.

Bethany był bohaterem romantycznym, rzucał się w wir niebezpieczeństw i wygłaszał pełne pasji mowy o wolności, demokracji i ludzkości, aż kipiało mu w piersi. Nie pamiętam samych przemówień, ale pierś pamiętam.

Kiedy *Poza Ziemią* zdjęto z anteny, Bethany pojawiał się jeszcze czasem gościnnie w takich serialach jak *Statek miłości* czy *Gliniarz i prokurator*, ale generalnie zniknął z ekranu, a ja przeniosłam swoje nieodwzajemnione romantyczne tęsknoty na Ricka Springfielda.

Z kolei Minerva Klane grała w serialu *Żar młodości*, zanim porwał ją zar starych i stetryczałych. Niedawno, stojąc w kolejce do kasy w Safeway'u, widziałam jej zdjęcie w brukowcu „National Enquirer”. Tyle ciężkiej pracy włożyła w swoją twarz, że wyglądała na zdjęciu jak ktoś w masce Minervy Klane.

- Dlaczego Bethany i Klane nie pojawili się na zlocie? - zapytałam. —Jak się zdaje, nie brakuje im wolnego czasu.

- Przyłączyli się do powstania galaktycznego.

- Ja już nic nie rozumiem - poskarżył się Stottlemeyer.

- Stanęli na czele Moczarów, w rebelii przeciwko przeobrażeniom w nowej wersji *Poza Ziemią*.

- Wciąż nic nie rozumiem.  
- Sieć UBS produkuje nowe odcinki *Poza Ziemią*.  
- Czy nie o to walczyliście, odkąd w latach siedemdziesiątych skończyli nadawanie serialu?  
- I tak, i nie - powiedział Hibler. - Serial ma teraz wrócić, ale z nową obsadą, nowymi autorami, a także, jak mówią, ze współczesnym scenariuszem. Mnóstwo fanów czuje się zdradzonych.

- Jak to znosił Stipe? - zapytał Monk.

Teraz, kiedy Hibler trzymał w ręku V8, Monk wreszcie mógł się skoncentrować na sprawie.

- To jedno z pytań, które chcieliśmy mu zadać w czasie spotkania — odpowiedział Hibler. — Szefostwo sieci zatrudniło nowego kierownika produkcji, faceta, który robił serial *Zjedz własne mięso*, a nie mogli tego zrobić bez zgody Stipe'a.

Nic dziwnego, że to rozsierdziło fanów. Widziałam kiedyś na Cinemaksie trzy minuty *Zjedz własne mięso III*. Najgorsze filmy snuffowe wyglądały przy nim jak kreskówki Disneya. *Zjedz własne mięso* to nieprawdopodobnie krwawe i cieszące się niezrozumiałym powodzeniem horrory o sadyście, który porywa młode, dojrzałe kobiety oraz młodych, przystojnych mężczyzn i stawia ich w przerażającej sytuacji, w której, by przetrwać, muszą odgryźć sobie rękę albo zjeść kogoś innego. Jeśli chcecie znać moją opinię, takie filmy są gorsze od pornografii. Ale przynoszą pieniądze. Dużo pieniędzy.

- Ci fani z powstania galaktycznego... — zaczął Stottlemeyer.

- Z Moczarów - poprawił go Hibler.

- Uhm, oczywiście... — ciągnął Stottlemeyer. -

Jak pan myśli, czy ci ludzie bardzo są teraz wzburzeni?

- Chcą ścigać Stipe'a za zbrodnie przeciwko społeczności fanów - wyjaśnił Hibler. - Są żądni krwi.

- Myśli pan, że aż do tego stopnia? - zapytałam.

- *Poza Ziemią* to ich kultura, ich religia - mówił Hibler. - Przypomnijcie sobie historię i zobaczcie, do czego ludzie są zdolni, aby chronić przed unicestwieniem to, w co wierzą. Pamiętacie krucjaty? Hiszpańską inkwizycję? Nową coca-colę?

W tym momencie wrócił do nas śledczy nadzorujący prace na miejscu przestępstwa. Miał dwadzieścia kilka lat, a sądząc po znaczonych krostami policzkach, wyglądał tak, jakby połowę z nich spędził na wyciskaniu sobie pryszczycy z twarzy.

- Mamy już wyniki testu na ślady prochu, kapi tanie. Nie ma nic. Jest czysty.

Stottlemeyer pokiwał głową.

- W porządku, panie Hibler. To na razie zamyka sprawę między nami. Porucznik Disher spisze jeszcze pańskie zeznanie.

- I pobierze krew oraz mocz - dodał Monk.

- Po co? - zapytał ze zdziwieniem młody śledczy.

- Narkotyki - wyjaśnił krótko Monk.

- Nie szukamy dowodów na zażywanie narkotyków, Monk - powiedział Stottlemeyer.

- Nie musimy - odparł Monk, patrząc Hiblerowi prosto w oczy. - Dowód mamy przed sobą. Jeśli dopisze nam szczęście, może zdążymy uratować dziewczycę.

- Wielu mężczyzn w moim wieku mieszka jesz-

cze z rodzicami — oświadczył oburzony Hibler. - To nie znaczy, że jesteśmy prawiczkami.

- W zupełności się z panem zgadzam - dodał młody śledczy.

- Dzięki. Dobrze wiedzieć. - Stottlemeyer wziął Mońka pod ramię i pociągnął go do wyjścia. - Wychodzimy, Monk.

- Jestem aktywny seksualnie! - krzyknął za nami Hibler. - Z ludźmi!

## Monk i przeterminowane śniadanie

W korytarzu Stottlemeyer zwrócił się do Mońka:

- Rozumiem, że zachowanie fanów *Poza Ziemią* razi twoją wrażliwość. Ale jeśli nie umiesz przejść obok tego obojętnie, nie przydasz się ani mnie, ani śledztwu. Zależy mi, żebyś lepiej nad sobą panował.

- Ja? A co z nimi?

Monk wskazał dwie mijające nas kobiety. Obie były ubrane jak Starella i miały cztery piersi, z których dwie, jak mi niemam, były fałszywe. Nie miałam ochoty rozważać innej możliwości.

- One u mnie nie pracują - odpowiedział Stottlemeyer. - Ty natomiast tak.

- Zrobię, co w mojej mocy - obiecał Monk. — Ale to będzie dla mnie gehenna.

- To zwykle jest gehenna - stwierdził kapitan. - Jadę teraz z Randym do hotelu Belmont. Chciałbym, żebyś tu został i zobaczył, czy coś ci nie pasuje do całości.

Monk obejrzał się za dwiema kobietami. Obie miały ogon.

- Tu nic do niczego nie pasuje.

- Musisz dobrze poznać ten serial telewizyjny i świat jego fanów - poinstruował Mońka Stottlemeyer. - Jeszcze nie wiesz, co w tym świecie jest normalne, a co nie.



- Nic w nim nie jest normalne.
- Dla ciebie i dla mnie, ale gwarantuję ci, że ten świat rządzi się własnymi prawami. Gdy poznasz ich zasady, natychmiast spostrzeżesz, co jest nie w porządku, a morderca już nam nie ujdzie. To twój dar.
- I moje przekleństwo - dodał Monk. - Chciałbym kopię nagrania tej strzelaniny.
- Jasne. Spotkamy się w hotelu Belmont albo na komendzie i porównamy uwagi.

Kapitan dał nam policyjne przepustki uprawniające do wejścia na zlot i odszedł. Z prawdziwym podziwem patrzyłam, jak radzi sobie dzisiaj z Monkiem, i obiecałam sobie, że będę stosować jego technikę. Kapitan nakreślił Monkowi jasną misję i zbudował model postępowania z otaczającym go dziwactwem. Jeśli Monk się skoncentruje na ukrytych wzorcach zachowań tych ludzi, to same zachowania nie będą mu przeszkadzać. Genialna strategia.

Monk rzeczywiście zaczął teraz robić wrażenie spokojniejszego i bardziej skoncentrowanego.

- Chodźmy zobaczyć zlot - powiedział, biorąc głęboki oddech. - Miej w pogotowiu chusteczki.
- Zawsze mam je w pogotowiu - odparłam.

Ruszyliśmy w kierunku sali konferencyjnej, zatrzymując się w recepcji, aby wziąć program imprezy. Według planu przez cały dzień o każdej godzinie odbywały się trzy dyskusje panelowe jednocześnie.

Tematy paneli były na przykład takie: „Ziemianie a Ziemiści: ewolucja społeczności fanów *Poza Ziemią* w statystyce i wykresach”, „Galaktyczny wpływ ekonomiczny na kosmiczne przykazania stosunków międzyplanetarnych”, „Teorie powstania

satelity Holocaust", „Jak napisać znakomitą powieść dla fanów na podstawie *Poza Ziemią*”, „Seksualność międzygatunkowa a kapitan Stryker” oraz „Kiedy wreszcie Trekkersi obdarzą Ziemitów szacunkiem, na jaki zasługujemy?”

Zabawne byłoby wysłuchać paru tych dyskusji, ale kiedy dotarliśmy do centrum konferencyjnego, zobaczyliśmy informację, że dla uszanowania pamięci Conrada Stipe'a cały program został odwołany.

W holu przy sali głównej tłoczyli się przebrani uczestnicy zlotu, wyrażając głośno smutek i szukając u siebie pocieszenia. Obejmowali się, popłakiwali i w ogóle wyglądali na mocno zszokowanych.

Monk wyglądał tak samo, ale z zupełnie innego powodu.

- Co się dzieje z tymi ludźmi? — zapytał.

- Zamordowano twórcę ich ukochanego serialu, panie Monk. Z pewnością rozumie pan ich smutek.

- To oczywiście rozumiem. Nie rozumiem natomiast ich miłości do serialu telewizyjnego.

- *Poza Ziemią* to nie był zwykły serial - wyjaśniłam. — Stipe stworzył zupełnie nowy wszechświat, a potem opowiadał różne historie, jakie się w nim działy. Jeśli ktoś chce oglądać serial, musi znać ten wszechświat i zasady toczącego się w nim życia. Nie można obejrzeć pierwszego lepszego odcinka, jak w wypadku pańskich seriali policyjnych. Podejrzewam, że wiele osób żyło się z tym serialem bardziej niż inni.

Pomyślałam o Hiblerze, o jego uszach, i aż się wzdrygnęłam.

- Skąd tyle wiesz o *Poza Ziemią*? - zapytał Monk.

- Jestem świadomym uczestnikiem czegoś, co nazywamy amerykańską kulturą masową, panie Monk.

Monk ściszył nagle głos.

- Nie będę rozповідаł, że należysz do ich kręgu. Jeśli taka informacja wypłynie na zewnątrz, możesz nigdy nie zaznać spokoju.

- W tej kulturze pogrążona jest cała Ameryka, panie Monk, a nawet większość cywilizowanego świata - odpowiedziałam. - Z wyjątkiem pana.

- Co będzie, jeśli postanowisz ubiegać się o urząd publiczny? Prasa na pewno się dowie o twoich powiązaniach. Mam nadzieję, że twoje nazwisko nie znalazło się na żadnej z list członkowskich?

- Nie ma takich list, panie Monk.

- Zawsze jest jakaś lista.

Postanowiłam zmienić temat, zanim dopadnie mnie, typowy dla Stottlemeyera, „Monkowy ból głowy”.

- Chce się pan czegoś dowiedzieć o serialu czy nie?

- Nie mam chyba wyboru, skoro zależy mi na rozwiązaniu zagadki morderstwa.

- W porządku, więc proszę słuchać - zaczęłam. - Kiedy *Discovery*, pierwszy międzygwiazdny pojazd Ziemi, pokonał granicę Galaktyki, minął obcego satelitę, czyhającego tam od milionów lat, i uruchomił jego automatyczny program.

- Więc o tym jest ten serial?

- To dopiero początek - wyjaśniłam.

- O Boże-jęknął.

- Satelita wystrzelił pocisk raketowy, który zniszczył Ziemię, a potem wytworzył tunel czasoprzestrzenny, przez który przesłał sygnał. *Discovery*-

wleciał w tunel na ułamek sekundy przed jego implozją i jakaś siła cisnęła pojazd w niezbadane, oddalone o lata świetlne, głębokie zakątki przestrzeni kosmicznej. W ten sposób zagładę Ziemi przetrwała jedynie wieloetniczna załoga *Discovery*, najlepsi i najbardziej inteligentni mieszkańcy naszej planety.

- Potworny serial - stwierdził Monk.
- To wciąż tylko początek.
- Jest coś więcej?

Wyjaśniłam, że wkrótce załoga spostrzeża, iż w swoim tragicznym położeniu nie jest osamotniona, i niebawem łączy się z rozbitkami innych światów, które spotkał ten sam los. Wszyscy jednoczą siły i zawiązują Konfederację planet. Ich wspólnym dążeniem staje się odnalezienie kosmicznej rasy zła odpowiedzialnej za galaktyczną zagładę i powstrzymanie jej przed zniszczeniem innych światów, a także upowszechnianie w przestrzeni kosmicznej idei pokoju i wzajemnego zrozumienia oraz znalezienie planet, na których mogliby dać nowe życie swoim gatunkom.

W serialu pojawiało się wiele ważnych postaci, ale Monkowi przybliżyłam tylko kilku bohaterów.

Wielką trójkę stanowili nieustraszone, ma się rozumieć, kapitan Stryker, seksowna i owiana aurą tajemnicy Starella oraz genialny pan Snork. Ale nie brakowało innych: Bobby Muir, nastoletni pasażer na gapę, Glorp, naukowiec i intelektualista o ślimakowatym ciele, doktor Kate Willens, wybitny chirurg, czy wreszcie osławione Sharplingi, ucieleśnienie zła, kosmici z ciałami wywróconymi na lewą stronę, którzy na przekąskę zjadają dusze.

- Jakim sposobem ich ciała mogą być wywrócone na lewą stronę? - zainteresował się Monk.

- Ich organa wewnętrzne znajdują się na zewnątrz ich ciała, a nie wewnątrz - wyjaśniłam.

- W takim razie co znajduje się wewnątrz?

- Ich powierzchowność.

- To nie ma sensu.

- Ale budzi strach - odparłam. - Kiedy Sharplingi się pojawiały na ekranie, musiałam oglądać film z drugiego pokoju.

- Jak możesz się bać czegoś, co nie ma sensu?

- Jak można się bać budki telefonicznej? - odcięłam się.

- Ależ w tym właśnie jest sens. Budka telefoniczna to śmiertelna pułapka - stwierdził Monk. — Dlatego zresztą budek już nie ma.

- Nie ma budek, ponieważ wszyscy używają telefonów komórkowych. Budki wcale nie budzą strachu. Tymczasem kosmici, którzy mogą wyssać przez oczy ludzką duszę, obwieszeni na ciele własnymi wnętrznościami, są wprost przerażający.

Kiedy wypowiedziałam te słowa, obok nas przeszedł ktoś przebrany za Sharplinga, a ja niemal przywarłam ze strachu do Mońka, instynktownie szukając schronienia. Zdawałam sobie sprawę, że to tylko przebieraniec, a mimo to ciarki mi przeszły po plecach.

- Budki telefoniczne istnieją naprawdę — tłumaczył Monk. - Sharplingi nie. Nie mają nic wspólnego z rzeczywistością.

Monk też nie miał, ale tego już nie powiedziałam głośno.

- Cóż, nie każdy program telewizyjny jest równie doskonały jak prognoza pogody - powiedziałam.

- Nie mieści mi się w głowie, że sukces mógł odnieść program, którego bohaterowie mają na zewnątrz to, co powinni mieć wewnątrz.

No dobrze, tu miał rację.

- Właściwie nie odniósł sukcesu - powiedziałam. - Po dwóch sezonach *Poza Ziemią* zdjęto z anteny. Wrócił dziesięć lat później w postaci filmu rysunkowego, w którym głosy podkładali aktorzy z oryginalnego serialu.

- Ktoś to oglądał?

Zaprzeczyłam ruchem głowy.

- Więc dlaczego chcą wznowić ten serial?

- Może dlatego, że jeszcze teraz, trzydzieści lat po zniknięciu serialu z ekranów, czuje się z nim związana rzesza ludzi. Niewiele jest w telewizji programów, które wyzwoliły w widzach takie nabożne oddanie.

- Mówisz tak, jakby było w tym coś pozytywnego - powiedział Monk.

Weszliśmy do sali bankietowej, gdzie, jak zauważyłam, morderstwo Conrada Stipe'a nie powstrzymało fanów serialu od kontynuowania zakupów. Sala pękała w szwach, a handlarze zdawali się błyskawicznie robić znakomity interes na gadżetach z *Poza Ziemią*.

Być może w ten sposób, kupując serialowe pamiątki, wielbiciele serialu radzili sobie z traumą. Wiem, że moja mama nieraz walczy ze stresem, wybierając się na zakupy. Kiedy uciekłam z domu do Mitcha, mama natychmiast zniknęła i na same ubrania wydała trzy tysiące dolarów.

Zatrzymałam się przy stoisku, gdzie jakaś handlarka sprzedawała serialowe pudełka na lunch, gry planszowe i figurki, a wszystko, jak się wydawało, w prawdziwym, oryginalnym opakowaniu.

Były tam nawet nieotwarte opakowania balonowych gum do żucia *Poza Ziemią*, z kolekcjonerskimi obrazkami, które przedstawiały bohaterów lub sceny z serialu. Na każdym z opakowań figurowała cena 350,00 dolarów. Pomyślałam, że sprzedawczyni w złym miejscu postawiła przecinek.

Wyciągnęłam rękę, aby z bliska przyjrzeć się metce, kiedy kobieta za ladą klepnęła mnie po dłoni i obrzuciła groźnym spojrzeniem.

Była w moim wieku, ale za to dwa razy szersza. Konfederacki mundur, który miała na sobie, był zbyt ciasny, aby mogła go zapiąć w pasie.

- Proszę nie dotykać. To antyki — powiedziała. - Można je brać do ręki wyłącznie w rękawiczkach. Wilgoć na opuszkach palców zniszczy opakowanie.

- Przepraszam — powiedziałam. — Nie wiedziałam.

- Nie dostała pani w recepcji broszurki „Częste pytania nowicjuszy”?

- Niestety, obawiam się, że nie.

- To trzeba przeczytać - powiedziała. - Znajdzie tam pani rady, od czego rozpocząć kolekcjonowanie. Na początek bardzo dobre są talerzyki *Poza Ziemią*.

- Nie mogłabym zacząć od zabawek? - Wskazałam ręką plastikowe statki kosmiczne w oryginalnym opakowaniu.

- To tak, jakby zaczynała pani kolekcję dzieł sztuki od obrazów Picassa. Musi pani być prawdziwym ekspertem, aby umieć oszacować ich wartość i zrozumieć, jak należy o nie zadbać - perorowała handlarka. - To nadzwyczaj rzadkie dzieła o muzealnej wartości.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, które muzeum byłoby nimi zainteresowane.

- Doprawdy? Dlaczego są takie rzadkie?  
- Można je było dostać wyłącznie w sieci Burgerville, w lutym tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku, kupując zestaw hamburgerów dla dzieci. Te, które tu mam, cały czas były trzymane w pudełku, swoim pierwotnym środowisku, w pomieszczeniu wolnym od kurzu, z regulowaną temperaturą wewnętrzną.

- Ja też tak dbałem o swoje zabawki - rozmarzył się Monk.

Stał przy dalszym końcu stołu i oglądał pudełka z płatkami zbożowymi *Poza Ziemią*.

- Znajdywałem w tym więcej przyjemności niż podczas zabawy z wrzucaniem małpek do beczki — powiedział. - Nawet wtedy, gdy nie wrzucałem małpek do beczki, a przecież nigdy nie wrzucałem, bo małpy to tylko bałagan i brak higieny. Największy ubaw w tej grze jest wtedy, kiedy beczki stoją pu ste, a małpy są na innym kontynencie.

Spojrzałam na niego ze zdziwieniem.

- Nie rozumiem, mówi pan, że trzymanie zabawek w hermetycznie zamkniętym pudle dawało panu więcej radości niż pusta beczka?

- Ech, stare, dobre czasy...

Wróciłam do zabawek dodawanych do zestawu hamburgerów.

- Szkoda, że nikt ich nigdy nie otworzył - powiedziała do kobiety. - Myślę, że to okrutne, obdarować dziecko zabawką i zakazać mu się nią bawić.

- Nie chciałam się nimi bawić — odpowiedziała. - Nigdy się nie bawiłam zabawkami z serialu *Poza Ziemią*.

- Dlaczego?



- Nie chciałam ich zepsuć.  
- Ale zabawki są po to, aby się nimi bawić i nawet je zepsuć.

- Co za banialuki - wtrącił się Monk.  
- To jest zabawa, panie Monk. Ważna część naszego życia. Nazywa się dzieciństwo.

Handlarka podniosła w rękawiczce jedną z zabawek.

- Zapewne nie powie pani, że to jest chińska waza z okresu dynastii Ming.

- Bo nie jest.

- Dla mnie jest.

W tym momencie jej uwagę przyciągnął ruch z drugiej strony kramu. Kobieta wydała z siebie przeraźliwy ryk, pełen bólu i wściekłości, który zdawał się wyrwać gdzieś z głębi jej duszy. Właściwie zabrzmiało to jak wrzask człowieka pożeranego przez Sharplingi.

Przeżona patrzyła w osłupieniu na Mońka, który stał przed kubłem na śmieci przy drugim końcu stołu.

- Co pan zrobił?! - krzyknęła do niego.

- Wyczyściłem to i owo - odparł niewzruszony Monk, a potem zwrócił się do mnie: - Chusteczka. Chusteczka.

Podalam mu dwie chusteczki higieniczne.

Zawodzenie kobiety przyciągnęło do stoiska dziesiątki gapiów, którzy tłoczyli się wokół kubła na śmieci, chcąc zobaczyć, o co cały raban. Przyłączyłam się do nich i wszyscy po chwili zagłądaliśmy do wnętrza kubła.

Na czubku jakichś niedojedzonych hot dogów, roztopionych lodów i innego rodzaju lepianych się

odpadów znajdowały się cztery, nieotwarte pudełka zbożowych płatków śniadaniowych z emblematami serialu *Poza Ziemią*. Na froncie każdego pudełka uśmiechał się kapitan Stryker, który radośnie wkładał sobie do ust łyżkę błyszczących, oblanych cukrem płatków w kształcie gwiazd. U jego boku stał pan Snork, który entuzjastycznie wciągał płatki trąbą.

Tak w każdym razie wyglądały obrazki, zanim trafiły do kubła usmarowanego keczupem, czekoladą, bitą śmietaną i klejącymi się plamami po napojach.

Wargi handlarki drżały w niemej wściekłości, a jej oczy napełniły się łzami.

- To były oryginalne pudełka płatków *Poza Ziemią* - jęknęła. - Przetwały trzy trzęsienia ziemi, powódź, dwa małżeństwa, trzy przeprowadzki i sześć kotów. Nigdy nie były otwarte.

- Dobrze, że nie były — powiedział Monk. — Ich termin ważności upłynął trzydzieści lat temu.

- Pan zdaje sobie sprawę, ile te płatki były warte? Za komplet mogłam dostać tysiąc dolarów! -Kobieta aż się trzęsła z furii. - Teraz są zniszczone. Nikt nigdy ich nie kupi.

- Pani... sprzedawała te płatki? - Monk był skonsternowany. - Powinna się pani wstydić. Co by się stało, gdyby ktoś zechciał je zjeść? Płatki zabiłyby go szybciej niż trutka na szczury.

- Chce pan wiedzieć, co najszybciej zabija? Zaraz panu pokażę! - Kobieta złapała leżący na jej stole zakrzywiony nóż. - Rytualny sztylet z planety Umgluck!

Mimo swej tuszy w jednej chwili wskoczyła na

stół i rzuciła się na Mońka, ale zdołałam ją chwycić w locie za kostkę i zamiast na Mońka, handlarka spadła wprost na kubel do śmieci.

- Czas na nas - powiedziałam, odciągając go szybko od stoiska.

Monk obejrzał się przez ramię.

- Jeszcze mi pani podziękuje.

## Monk i galaktyczne powstanie

- Myślę, że to ona - powiedział Monk, gdy w pośpiechu prowadziłam go przez tłum i dalej przez centrum konferencyjne. - To ona zabiła Stipe'a.

—Tylko dlatego, że chwyciła nóż i chciała pana zabić?

Do moich uszu wciąż dobiegał jej gwałtowny szloch. Miałam wrażenie, że ten lament odbija się echem po całym budynku.

—Próbowała otruć ludzi trzydziestoletnimi płatkami zbożowymi - powiedział. - O mały włos dałbym się nabrać na tę bajkę, że trzyma swoje zabawki w pierwotnym środowisku.

—Nie jestem światowej sławy detektywem, ale wydaje mi się, że ta kobieta była dużo cięższa od człowieka, którego widzieliśmy na nagraniu z kamery przemysłowej.

—Jednak przejawia skłonność do agresji - powiedział. - Stanowi zagrożenie dla społeczeństwa.

—Tylko wtedy, gdy ktoś wyrzuca do śmieci jej pudełka z płatkami, które trzymała specjalnie przez dziesiątki lat.

—Jaki człowiek trzyma tak długo pudełko płatków zbożowych?

—Jaki człowiek odczuwa nieopanowany przymus wyrzucenia ich do śmieci?

- Dobry samarytanin — odparł Monk. - Działalem w interesie publicznym. Te przeterminowane pudełka ze śmiercionośnymi płatkami mogły wpaść w ręce dzieci.

- Widzi pan tu jakieś dzieci?

- Widzę ludzi, którzy zachowują się jak dzieci. To równie niebezpieczne.

Prowadziłam Mońka w kierunku tylnych drzwi, przez przypadek tych samych, przez które po zabiciu Stipe'a morderca najprawdopodobniej uciekł do centrum konferencyjnego. Tylko w ten sposób mogliśmy wyjść z budynku, nie natykając się znowu na grubą handlarzkę i jej rytualny sztylet.

Mijaliśmy stoisko za stoiskiem, przy których sprzedawano Snorkowe trąby i mundury konfederackie, co przypomniało mi argument Stottlemeyera, że znalezienie zabójcy poprzez miejsce zakupu kostiumu praktycznie graniczyło z niemożliwością.

Przeszliśmy do boksów, w których gwiazdy serialu *Poza Ziemią* rozdawały autografy i za opłatą pozwalały sobie zrobić zdjęcie z uczestnikami zlotu.

Była tam kobieta, na pewno już po siedemdziesiątce, otoczona własnymi fotografiami, gdy grała w serialu *Yeoman Curtis*, postać pomniejszoną do kostki pianki i zmiażdżoną w siedemnastym odcinku. Przed jej stolikiem czekało w kolejce dziesięciu mężczyzn w średnim wieku, w konfederackich mundurach, gotowych zapłacić dwadzieścia dolarów za zdjęcie z aktorką.

W następnym boksie siedział mężczyzna o bulwiastych kształtach z łysiną okropnie zaczesaną pasemkami rzadkich włosów, a obok niego jakiś karzeł. Rozdawali autografy i odpowiadali na pytania trzech uczestników zlotu. W aktorach rozpoznałam

Billa Wheatleya i Ricarda Sancheza, którzy grali w serialu nastoletniego gapowicza Bobby'ego Mu-ira i Glorpa, międzygwiazdowego ślimaka.

- Po serialu utrzymywaliśmy z Rickym kontakt i parę lat temu dostaliśmy role w spektaklu rewiowym na podstawie *Nieobranej pary* — mówił Wheatley. - Ale, że tak powiem, w naszych wcieleniach z serialu *Poza Ziemią*.

- Ja, będąc ślimakiem, grałem oczywiście Oscara Madisona - dodał Sanchez.

—Dialog pozostał z *Nieobranej pary*, ponieważ Neil Simon to geniusz, a nie robi się zmian w czymś, co jest doskonale — mówił Wheatley. — Ale nasze postacie mają przecież swoją historię i w przedstawieniu udało nam się ją wydobyć. Ja na przykład grałem w konfederackim mundurze.

—Ja miałem swój makijaż — dodał Sanchez.

—To była klasyka popkultury, najeżona odniesieniami, wkomponowana w najnowsze trendy kulturowe.

Karzeł westchnął ciężko.

- Gdybyśmy znaleźli producenta z wizją i hartem ducha, przedstawienie podbiłoby Broadway.

Ruszyliśmy dalej.

W następnym boksie siedział Willis Goldkin, autor odcinka pod tytułem *Natrętne nanoboty*, który pamiętałam jak przez mgłę. Opowiadał o maleńkich robotach-komarach, które atakowały załogę *Discovery* i przejmowały władzę nad umysłami jej członków.

Goldkin miał przed sobą pryzmę skierowanego i podpisanego przez siebie scenariusza, który sprzedawał po piętnaście dolarów za sztukę. Jednak dzieło nie cieszyło się wzięciem.

Przy następnych stoiskach można było zobaczyć kolejne serialowe gwiazdy lub osoby z produkcji, sprzedające jakieś drobiazgi czy pamiątki, ale wolałam ominąć ich z daleka. Panowała wokół nich jakaś zbyt przygnębiająca, żalosna atmosfera.

Zwróciłam natomiast uwagę na handlarza, który sprzedawał książki, komiksy, adaptacje i czasopisma związane z *Poza Ziemią*, oryginalne odcinki serialu na DVD lub wideo, a nawet historyjki obrazkowe z weekendowych gazet.

Miałam ochotę kupić Monkowi płytę DVD, żeby mógł sobie zobaczyć serial, ale komplet w pudełku kosztował pięćdziesiąt dolarów, a nie byłam pewna, czy Departament Policji San Francisco uznałby taki zakup za wydatek, który można wpisać w koszta.

Ostatni boks, mieszczący się najbliżej wyjścia, poświęcony był galaktycznemu powstaniu. Para za stolikiem, przebrana za Starellę i pana Snorka, wręczała przechodzącym uczestnikom zlotu jakieś ulotki.

Za parą rozpościerał się na ścianie olbrzymi plakat, przedstawiający statek kosmiczny *Discovery* oraz aktorów z pierwszej obsady. Plakat był przekreślony wytłuszczonym, dużym napisem, wzywającym się UBS do natychmiastowego wstrzymania pracy nad nową wersją serialu i do przywrócenia „prawdziwej klasyki” oraz „ukochanych pierwszych aktorów”.

Na plakacie podkreślono, że kampanię wspierają „supergwiazdy” Kyle Bethany i Minerva Klane, a także „osławiony pisarz” Willis Goldkin, co kazało mi się zastanowić, dlaczego Goldkin siedzi dwa boksy dalej, a nie razem ze swoimi towarzyszami rebeliantami.

Wzięłam od kobiety ulotkę i wcisnęłam ją do torebki.

- Jeśli wejdzie pani na naszą stronę internetową, będzie pani mogła ściągnąć nasz plakat w formacie JPEG i wysłać go e-mailem lub przez komórkę do wszystkich znajomych z książki adresowej. Będzie pani mogła umieścić go na własnej stronie internetowej, na blogu, na witrynie MySpace, w osobistym profilu Facebook lub grupie dyskusyjnej Yahoo - powiedziała. — Trzeba podnieść głowę i przyłączyć się do heroicznej walki. To moralny obowiązek każdego członka naszej społeczności.

Pan Snork splunął, wydał jakiś pomruk i coś wykasłał.

- Nazywam się Natalie Teeger i pracuję dla tego pana, Adriana Mońka. - Kiwnęłam głową w kierunku Mońka, który zaangażował się we własną heroiczną walkę, próbując nie patrzeć na cztery piersi rozmawiającej ze mną kobiety. — Jest konsultantem policji w San Francisco. Moglibyście nam powiedzieć, kto jest przywódcą powstania? Chcielibyśmy z nim porozmawiać.

Pan Snork zachrzakał, zacharczał i zagulgotał.

- Ernie - odpowiedziała kobieta, wskazując mężczyznę w przebraniu Snorka. — To on pierwszy się dowiedział o zamiarach Stipe'a i rozpoczął walkę, którą prowadzi po dziś dzień. Jego oddanie dla sprawy jest niesamowite. Nigdy nie mów nigdy!

Spojrzała na niego z nabożnym uwielbieniem.

- A pani to kto? - zapytał Monk.

- Jestem jego dziewczyną, Aimee Gilberman - przedstawiła się. - Kiedy jeszcze nie znałam Erniego, nie wiedziałam nic o *Poza Ziemią*. Ale teraz,



kiedy tyle wiem, pierwszy raz w życiu czuję, co znaczy naprawdę kochać.

- Aimee, mam do ciebie głupie, bardzo głupie pytanie, więc proszę o wyrozumiałość - powiedziałam. - Pomijając fakt, że producenci nowej wersji *Poza Ziemią* chcą zmienić obsadę, co tak naprawdę macie przeciw tej produkcji?

Ernie zakaszał, zacharczał i wydał z gardzieli jakieś zdławione dźwięki, zataczając przy tym trąbą kółeczka.

Kobieta przytaknęła, jakby zgadzała się we wszystkim z panem Snorkiem, i odwróciła się do mnie.

- Oni zmieniają wszystko - powiedziała. - Przemieniają głównych bohaterów, pani pozwoli, że cytuję, w „osoby z głębokimi ludzkimi ułomnościami”. Kapitan Stryker nie był głęboko ułomny. Reprezentował najlepszą stronę człowieczeństwa. Zresztą pozostali również. Nawet ci z innych planet. Ale wie pani, co jest najgorsze? To, że pana Snorka zmieniają w kobietę. Pani sobie wyobraża?

- Zakładam, że wie już pani, iż za tymi drzwiami został zamordowany Conrad Stipe. - Monk zrobił ruch w kierunku pobliskiego wyjścia. — Czy dzisiaj rano słyszała pani lub widziała coś niezwykłego? Oczywiście mam na myśli coś... innego, coś więcej niż to wariactwo, z którym mamy tu powszechnie do czynienia.

Ernie zaharczał, zachłysnął się, a potem zadyszał ciężko i zamachał dziko rękami.

- Czy ktoś tu potrafi wykonać manewr Heimlicha? - zapytał Monk. - Ten człowiek się krztusi.

Ernie wstał, zabalgotał jeszcze, zawarczał i znowu zakaszał.

- On się nie krztusi - wyjaśniła Aimee. - On mówi językiem Dratchów.

- Dratchów? - zdziwił się Monk. - Co to takiego?

Kobieta spojrzała na Mońka, jakby był kompletnym imbecylem.

- Pan Snork jest Dratchem - powiedział Willis Goldkin, który niespodziewanie wyszedł ze swojego boksu i podszedł do nas. - Ernie porozumiewa się mową ojczyzny Dratchów. Mnie może pan za to winić.

- Pan go w to ubrał?

Goldkin zaprzeczył ruchem głowy.

- Jestem autorem odcinka, w którym załoga *Discovery* odwiedza osadę uciekinierów z krainy Dratchów. Zostało nam na planie parę wolnych minut, więc wcisnąłem w scenopis bezcelową scenkę, w której pan Snork rozmawia ze swoim ludem w ich narodowych językach.

- Językach? - zapytał Monk.

- Dratchowie mają trzy języki - tłumaczyła Aimee. - Jeden służy im do łapania insektów, drugi do oporzędzania się, a trzeci do kochania. Mówią przy użyciu wszystkich trzech języków, stąd tak unikatowe dźwięki. Człowiek musi się wykazać nie byle jakimi zdolnościami, aby móc się posługiwać mową Dratchów, ale Erniemu się udało.

- To bełkot, który napisałem w stanie upojenia alkoholowego, byłem zbyt pijany, żeby dopisać prawdziwą scenę z normalnym dialogiem - powiedział Goldkin. - Dla uzyskania niezwykłego brzmienia nagraliśmy rozmowę dwukrotnie i nałożyliśmy nagranie na oryginalną ścieżkę dźwiękową. Gdyby wtedy ktoś mi powiedział, że trzydzieści lat później

jakiś językoznawca zacznie analizować te wersy, napisze na ich temat rozprawę naukową i rozwinie z nich cały system językowy, prawdopodobnie do dzisiaj trwałbym w delirium.

- Ernie ślubował mówić tylko językiem Dratchów, dopóki nie zrobią *Poza Ziemią* tak, jak należy, albo nie odwołają prac nad obecnym paskudztwem - wyjaśniła Aimee. - Robi tak, aby zademonstrować solidarność z postacią pana Snorka i ideałami, jakie on wyznaje.

Ernie zagestykulował gwałtownie, wydał z siebie parę chrapliwych dźwięków i splunął na podłogę. Monk odskoczył o krok.

- Co powiedział Ernie? - zapytał.

- Jeśli chce pan zrozumieć Erniego i pojąć wartości *Poza Ziemią*, musi się pan nauczyć języka Dratchów — powiedziała Aimee. — Gdyby każdy tak zrobił, gdybyśmy wszyscy dokonali wielkiego wysiłku i postarali się zrozumieć, co myślą inni ludzie, pokój na świecie byłby trwały, a nam wszystkim żyłoby się łatwiej.

- Rozumiem, że odmawiając tłumaczenia, składa pani pewną deklarację - powiedziałam. - Chce pani, abyśmy spróbowali sami go zrozumieć i w ten sposób dostrzegli konieczność włożenia większego wysiłku w rozumienie swoich pobratymców.

Aimee przytaknęła z dumą.

- W życiu kierujemy się wartościami i przesłaniem zawartym w każdym z odcinków oryginalnej wersji *Poza Ziemią*.

Po tych słowach Ernie znowu zacharczał, zakrztusił się i zaszczekał niczym wydra morska. Monk odwrócił się do Goldkina.

- Wie pan, co on mówi?

—Ależ skąd, u diabła - odparł Goldkin i sięgnął po jakąś opasłą książkę na stoliku. — Jeśli chce pan to zrozumieć, potrzebne panu będzie to.

Monk spojrział na książkę i jęknął z przerażeniem. Zupełnie jakby znowu zaplamił swój dywan,

—Co się stało? - zapytałam.

Pomyślałam, że albo cena jest liczbą nieparzystą, albo zagniotła się metka, albo grafik nie zachował symetrii na okładce.

Monk podniósł książkę, bym mogła się jej przyjrzeć. Tytuł brzmiał następująco: *Słownik mowy Dratchów: słówka, wyrażenia i gramatyka najbardziej rozwiniętego języka we wszechświecie*. Autorem był Ambrose Monk.

—Słodka Matko Boska - jęknął Monk. - Mój brat jest jednym z nich.

## 10

### Monk jest wytracony z równowagi

Monk miał dosyć. Wyszedł z budynku.

Ja zostałam jeszcze przez kilka minut i obejrzałam inne książki na stoisku. Było ich bez liku, o tytułach w rodzaju: *Oficjalny przewodnik po odcinkach Poza Ziemią*, *Kompendium wiedzy Poza Ziemią*, czy nawet *Kompletny leksykon Poza Ziemią*.

Wszystkie napisał Ambrose.

Dobre chociaż to, że Monk nie będzie musiał wracać na zlot, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o serialu. Wystarczyło mu wrócić do domu. Kiedy jednak powiedziałam to Monkowi w czasie drogi do hotelu Belmont, wcale mu to nie poprawiło humoru.

- Zawsze wiedziałem, że mój brat jest psychicznie niezrównoważony - powiedział. - Ale do głowy mi nie przychodziło, że to świrus.

- Wcale nie jest świrusem, panie Monk. — zaproponowałam.

- Widziałaś, co on pisze?! - krzyknął Monk.

- Co za różnica, czy pisze się książkę o serialu *Poza Ziemią*, czy instrukcję obsługi robota kuchennego?

- Jakoś nie widać nigdzie ludzi przebranych za roboty kuchenne i mówiących językiem puree,

prawda? - powiedział Monk. — Na całe szczęście mój brat nie wychodzi z domu, bo natychmiast by go zamknęli.

Spojrzał ukradkiem za siebie.

—Dlaczego się pan rozgląda? - zapytałam.

—Patrzę, czy nikt nas nie śledzi.

—Dlaczego ktoś miałby nas śledzić?

—Bo to świrusy, a świrusy robią świrusowate rzeczy - odpowiedział Monk. — Nie chcę, żeby ktokolwiek z nich wiedział, dokąd jadę.

—Jasne, ktoś od nich mógłby stanąć w progu pana domu i zaproponować trzydziestoletnie płatki zbożowe.

—Właśnie.

Na resztę drogi złamany Monk zamknął się w sobie.

Hotel Belmont wznosił się w samym sercu Union Square i był w mieście najstarszym, najokazalszym i najbardziej staromodnym budynkiem, w którym można się było zatrzymać na nocleg. Był to hotel pięciogwiazdkowy z sześciogwiazdkowymi aspiracjami, więc widok radiowozów, policyjnego samochodu technicznego i karawanu z kostnicy, zaparkowanych przed głównym wejściem, prawdopodobnie nie wzbudził w kierownictwie wielkiej radości.

Było dla wszystkich oczywiste, że ktoś stracił tu życie. Zastanowiło mnie, dlaczego nikt nie telefonował pp Mońka.

Zaparkowałam przy policyjnych pojazdach i weszliśmy do hotelu poszukać kapitana Stottlemeyera. Nie było to trudne zadanie. Wystarczyło zapytać recepcjonistkę, gdzie leży ciało.

Na całe szczęście, dla Mońka i dla mnie, ciało znajdowało się na szóstym piętrze, w pokoju z parzystym numerem, do którego musieliśmy dojść,

pokonując dwanaście takich samych kondygnacji schodów. Dla Mońka mogło być dużo gorzej. Trup mógł leżeć na dziewiętnastym piętrze. Dla mnie nie byłoby problemu; pojechałabym windą.

Wejście na szóste piętro zamykał kordon policjantów, ale w korytarzu stał Disher, który przesłuchiwał jakąś pokojówkę z wózkiem pełnym bielizny, zrobił więc krok w naszą stronę i przepuścił nas przez kordon.

- Co się stało? - zapytałam.

- Zaczynaliśmy przesłuchiwać niektórych gości specjalnych zlotu nocujących w hotelu, kiedy nagle przybiegł do nas kierownik — opowiadał Disher. -W jednym z pokoiw pokojówka natknęła się na zmasakrowane zwłoki mężczyzny. Przerwaliśmy więc przesłuchania, zabezpieczyliśmy miejsce przestępstwa i rozpoczęliśmy dochodzenie.

- Dwóch gości zabitych jednego dnia. To nie przysłuży się interesom hotelu.

- Conrad Stipe nie zginął tutaj - powiedział Monk. - Formalnie zatem jego śmierć nie podlega oficjalnej statystyce.

- Jest jakaś oficjalna statystyka? — zapytałam.

- Teraz już jest - odparł Monk. - Ja tu jestem oficjalnie i właśnie ją sporządzam. Dlaczego nikt do nas nie dzwonił?

- Cóż, pewnie nikomu nie wpadło do głowy, że może nam być potrzebna oficjalna statystyka - zakpił Disher.

- Pytam, dlaczego nikt nie wezwał nas do pomocy w dochodzeniu.

- Ponieważ to nieskomplikowany przypadek, a pan jest zajęty sprawą Stipe'a.

- Ale to morderstwo - powiedział Monk.

- Nie inaczej - przytaknął Disher.
- Prawdziwe morderstwo.
- Morderstwo Stipe'a również wygląda na prawdziwe — wtrąciłam.
- Widzisz tu kogoś ze słoniową trąbą? - zapytał mnie Monk, a potem odwrócił się do porucznika. - Zamieńmy się śledztwami.
- Nie.
- Założę się, że kapitan się zgodzi.
- Monk odepchnął lekko Dishera i wszedł do pokoju.
- Założę się, że nie! - krzyknął za nim porucznik.
- Odwróciłam się do niego
- Jak sprawa Lorbera? — zapytałam.
- W krótkim okresie między zastrzeleniem Stipe'a a tym morderstwem „Specjalna jednostka do spraw bezczeszczenia” posunęła się zdecydowanie naprzód.
- Wiem, że to nie było zabójstwo, ale naprawdę ciekawi mnie, po co komuś chciało się strzelać do martwego człowieka. Powiesz mi, jak się czegoś dowiesz?
- Jasne. - Disher uśmiechnął się szeroko, najwyraźniej zadowolony, że ktoś jest zainteresowany działaniem jego jednostki specjalnej. - Z wielką przyjemnością.
- To jesteśmy umówieni - powiedziałam i na tychmiast pożałowałam doboru słów. - Nie na rand'kę, ale na spotkanie w niedalekiej przyszłości o charakterze absolutnie nieromantycznym.
- Oczywiście. Przecież wiem.
- By nie dawać sobie powodu do jeszcze większe'go zakłopotania, poszłam szybko za Monkiem.



Przy oknie, w dalszym końcu wąskiego pokoju, stał Stottlemeyer i spoglądał na jedno z dwóch łóżek, na którym leżał mocno owłosiony mężczyzna w majtkach i podkoszulku, opłatany zakrwawionym prześcieradłem.

Na stole stały dwa kieliszki i do połowy opróżniona butelka wina. Monk przypatrywał się jednemu z kieliszków.

- Na brzegu są ślady szminki — zauważył.

- Tak, Monk, wiem o tym - odpowiedział kapitan znużonym głosem.

- Kim jest ofiara?

- W recepcji powiedzieli nam, że nazywa się John Bozadjian. Zameldował się wczoraj po południu.

- Płacił kartą kredytową?

- Tak, kartą.

- Gdzie jest karta? - pytał dalej Monk.

- Powiedziałbym, że najprawdopodobniej w jego portfelu — odparł kapitan.

- Portfela nie ma, tak? - domyślił się Monk.

- Nie ma.

- Mężczyzna nie ma też na rękę zegarka ani biżuterii - kontynuował Monk. - Ale na nadgarstku i na dolnej części palców serdecznych ma linie opalenizny, świadczące o tym, że nosił zegarek i sygnety.

- Możesz mi nie wierzyć, ale również to zauważyłem - powiedział Stottlemeyer. - Wiesz, jak zostałem szefem wydziału zabójstw? Powiem ci. Otóż rozwikłałem mnóstwo zabójstw. Samodzielnie.

Monk przekrzywił głowę i spojrzał na ofiarę. Potem przekrzywił całą górną część ciała i znowu spojrzał na zwłoki. Nie bardzo rozumiałam, jak te wy-

gibasy mogą zmienić perspektywę patrzenia, ale nie rozumiałam większości z tego, co robił Monk.

- Ib wygląda na rabunek — oświadczył po chwili.

- Niestety, mam takie przypadki nieustannie - powiedział Stottlemeyer. — Jakiś przyjezdny zabiera na wesołą noc panienkę z ulicy, a ona obrabia go z forsą i kosztowności. Zwykle na tym się kończy i sprawy nie ma, bo większość facetów za bardzo się wstydzi lub za bardzo pamięta o żonie, aby zgłaszać się na policję.

- Skoro jednak prostytutka wiedziała, że ofiara prawdopodobnie nie zawiadomi policji, to po co go zabiła? - spytałam.

- Zapewne chciała go uderzyć tak, aby ogłuszyć. Ale walenie kogoś po głowie to loteria. Jeśli walniesz za lekko, ofiara może ci oddać. Jeśli za mocno, możesz ją załatwić na dobre.

- Podrywanie prostytutki i zabieranie jej do hotelu to pod każdym względem ogromne ryzyko dla zdrowia i bezpieczeństwa - powiedziałam. - Co sobie tacy faceci myślą?

Stottlemeyer spojrział na mnie spode łba.

- A jak myślisz, co sobie myślą?

- Mężczyźni to idioci - orzekłam.

- Mężczyźni to mężczyźni - stwierdził kapitan.

- Co teraz zrobicie?

Stottlemeyer westchnął.

- Będziemy musieli przesłuchać odźwiernego, recepcjonistki i chłopców hotelowych, to najczęściej oni za małą prowizję kontaktują gości z panienkami. Podadzą nam nazwisko tej pani, zgarniemy wszystkie dziewczynki w okolicy, przesłuchamy je, a jeśli będzie trzeba, pogadamy z agencjami towarzyskimi. Jednocześnie będziemy mieli na oku lom-

bardy i paserów, którzy zapewne będą się starali upłynnić towar.

- Wygląda na mnóstwo roboty - powiedziałam.

- Tak to wygląda w wypadku większości dochodzeń. Stottlemeyer patrzył na Mońka, który wyciągnął długopis i za jego pomocą zaczął podnosić i oglądać ubranie. - Jak wam poszło na zlocie?

- Poznaliśmy pewnych interesujących ludzi i dowiedzieliśmy się wiele o serialu.

- Czego się dowiedzieliście o mordercy Stipe'a?

- O to musi pan zapytać pana Mońka.

Kapitan spojrział na Mońka, który podnosił długo pisem jeden z rękawów rzuconej obok koszuli ofiary.

- Co mi powiesz, Monk?

- Kiedy pokojówka znalazła ciało? - zapytał Monk.

- Po lunchu. Przyszła posprzątać pokój i zobaczyła zwłoki - odpowiedział Stottlemeyer. - Pytałem cię o śledztwo w sprawie Stipe'a.

- Zatem poprzednim razem sprzątała pokój wczoraj.

- Tak, Monk, tak należałoby logicznie wnioskować.

- Właściwie, panie kapitanie, wczoraj nie sprzątała - wtrącił się porucznik Disher, wchodząc do środka. — Emilia, pokojówka, która zwykle zajmuje się tym piętrem, zadzwoniła wczoraj, że jest chora na grypę żołądkową. Paola, pokojówka, która znalazła ciało, normalnie sprząta siódme piętro. Dzisiaj, aby dodatkowo wypełnić obowiązki Emilii, pracowała przez dwie zmiany.

- Dzięki, Randy - powiedział Stottlemeyer i odwrócił się do Mońka. — Lekarz sądowy czeka, by zabrać ciało.

Monk pokiwał głową i wszedł między Stottlemeyera i mnie, by przyjrzeć się ubraniom w garderobie. Wyjrzałam zza jego ramienia, by spojrzeć na kapitana.

- Jacy goście ze zlotu, poza Stipe'em, nocowali w tym hotelu? - zapytałam.

Kapitan wyjrzał zza ramienia Mońka, by odpowiedzieć.

- Kingston Mills, kierownik produkcji nowej wersji serialu, i gwiazdor Judson Beck. Ale najbardziej interesujące jest to, że wczoraj wieczorem pokazała się tutaj była żona Stipe'a, Arianna. Był z nią Howard Egger, prawnik, który prowadził jej sprawę rozwodową.

- Po co tu przyjechała?

- Nie wiem - odparł Stottlemeyer. — Mielśmy ją o to zapytać, gdy nagle wyplnęło to morderstwo. Kiedy się zjawiliście, właściwie mieliśmy już wychodzić.

Monk, odwrócony plecami, wychylił się do nas z garderoby.

- Ofiara miała środek na nadkwasotę, lupę jubilerską, sześćdziesiąt pięć centów i trzy kłębki zmechaconych nitok w lewej przedniej kieszeni płaszcza.

- Fascynujące - sarknął Stottlemeyer.

Monk wyciągnął do mnie rękę.

- Masz trochę zmechaconych nitok w kieszeni? - zapytał.

- Nie wiem - odpowiedziałam.

- Potrzebny nam jeszcze jeden kłębek zmechaconych nitok, a ja nie mam ani krztyny - powiedział Monk. — Nigdy nie mam nic mechatego.

Stottlemeyer spojrział na niego spod przymrużonych powiek.

- Chcesz włożyć do kieszeni płaszcza Bozadjia-na jeszcze jeden kłębek nitki?

- I jednocentówkę.

- To straszne dziwactwo. Nawet jak na ciebie.

- Tak należy postąpić - powiedział Monk.

- Monk - westchnął Stottlemeyer. - Nie możesz tego zrobić.

- Okazuję zmarłemu szacunek.

- Naruszasz stan pierwotny miejsca przestępstwa. Nie można wrzucać sobie jakichś farfocli do rzeczy osobistych zamordowanej osoby.

- Wiem. — Monk wyjął z kieszeni woreczek do dowodów rzeczowych. — Kłębek i jednocentówkę włożymy tutaj, w ten sposób będą ze wszystkim innym, ale osobno.

- Co to ma za znaczenie, że facet ma w kieszeni trzy kłębki zmechaconych nitki i sześćdziesiąt pięć centów. Przecież nie żyje.

- Czy to ma oznaczać, że nic nas już nie obchodzi? A co z rodziną nieszczęśnika? Co by pomyśleli, gdyby wiedzieli, że tak nieczule okazujemy mu brak szacunku?

Stottlemeyer nabrał głęboko powietrza i wolno je wypuścił, a potem wpakował rękę głęboko w kieszeń. Wyjął ją po chwili, przerzucił na dłoni stosik monet, znalazł jednocentówkę i wrzucił ją do plastikowego woreczka.

- Zadowolony?

- Nie masz kłębka zmechaconych nitki?

Stottlemeyer spojrzał na swoją otwartą dłoń.

- To nie są zmechacone nitki?

- To jakieś brudne okruchy - powiedział Monk.

Disher pogrzebał w kieszeniach.

- Ja mam zmechacone nitki.

Otworzył rękę i pokazał ją Monkowi, który z kieszeni na piersi wyjął małą pincetę, ostrożnie chwycił nią kłębek i spuścił go do woreczka. Następnie umieścił woreczek w kieszeni płaszcza Bozadjiana, pogłaskał tkliwie kieszeń i uśmiechnął się do nas szeroko.

- Zrobione - powiedział. — Tak jest znacznie lepiej. Czujecie?

- Czuję, jak powstają mi nowe pęknięcia w czaszce - mruknął Stottlemeyer. - Skończyliśmy?

- Niezupełnie.

Monk przeszedł do łazienki i zajął się walizką na przybory toaletowe, która leżała na blacie obok umywalki. Patrzyliśmy, jak wyciąga z niej winylową kosmetyczkę i otwiera jej zamek błyskawiczny, ukazując nam kilka małych strzykawek, jakieś ampułki oraz czerwone pudełeczko z napisem: „Uchwyt do igieł. Uwaga, niebezpieczne odpady”, u końca którego znajdowała się mała dziurka na igły.

- Bozadjian brał narkotyki - powiedział Monk.

- To insulina, Monk - wyjaśnił kapitan Stottlemeyer.

- Chorował na cukrzycę. prostytutka prawdopodobnie zabrała też jego bransoletę diabetyka, sądząc, że to biżuteria.

Monk przekrzywił głowę i spojrzął na drugie, wolne łóżko, przykucnął przy jednym z jego narożników i podniósł róg narzuty.

Stottlemeyer warknął cicho.

- Co znowu wyprawiasz?

Monk spojrzął na prześcieradło, idealnie złożone wokół narożnika i wciśnięte pod materac.

- Podziwiam, jak jest złożone prześcieradło - odparł Monk, dotykając prześcieradła, które było

owinięte wokół materaca i wsunięte pod spód, formując na narożnikach małe trójkąty. - Emilia posłała to łóżko, jakby pakowała cenny podarunek. Powinna dostać podwyżkę.

- Naprawdę, niewiele mnie to obchodzi. Mam ochotę wyjść, a lekarz sądowy czeka na ciało.

- Jeszcze tylko jedna rzecz. - Monk wyszedł z pokoju, a my poszliśmy za nim.

- Nie, Monk, już ani jednej rzeczy więcej. Czas na nas - powiedział stanowczo Stottlemeyer.

Monk podszedł do pokojówki.

- Czy może mi pani pokazać pokój, który pani ostatnio sprzątała?

Paola zerknęła na Dishera, ten spojrział na Stottlemeyera, a kapitan na mnie.

- Im szybciej pan Monk dokona oceny sprzątań, tym szybciej stąd wyjdziemy - powiedziałam.

Stottlemeyer skinął głową do Paoli, dając pozwolenie. Dziewczyna otworzyła kluczem drzwi po przeciwnej stronie korytarza i stanęła z boku, wpuszczając Monka do środka.

Monk przykucnął przy narożniku jednego z łóżek i podniósł narzutę. Prześcieradło było owinięte idealnie wokół narożnika materaca, a na każdym z narożników formował się mały kwadrat ze zwartymi, ostrymi kantami.

- Doskonała robota - pochwalił Monk. - Widać, że sztuki ślania łóżka nauczył panią ojciec, który służył w salwadorskiej armii.

Paola przytaknęła speszona.

- Świetnie się pani tego nauczyła — mówił dalej. - Od takiego łóżka można odbić peso jak piłkę.

- Nie mamy w Salwadorze peso - wyjaśniła nieśmiało Paola. - Mamy colony.

- Wiem. Ale colon nie odbiłby się od łóżka - stwierdził Monk. - Peso tak.
- Dobrze wiedzieć. - Stottlemeyer odwrócił się do Dishera. - Przekaż doktorowi Hetzerowi, że może już zabrać zwłoki pana Bozadjiana do kostnicy.
- To nie jest pan Bozadjian — powiedział Monk. Stottlemeyer spojrzął na niego zaskoczony.
- Znasz Johna Bozadjiana?
- Nie.
- To skąd wiesz, że to nie on?
- To proste. Ponieważ zabity nie zamieszkiwał pokoju, w którym był zameldowany pan Bozadjian - wyjaśnił Monk.
- Czy rzeczy w garderobie i łazience nie są własnością ofiary? - zapytał Disher.
- Oczywiście tak. Ubrania i przybory toaletowe zdecydowanie należą do ofiary.
- Dlaczego więc pan myśli, że zabity to nie John Bozadjian i że nie mieszkał w pokoju, w którym go znaleźliśmy?
- To oczywiste — stwierdził Monk. Stottlemeyer odruchowo potarł skronie.
- Nie znoszę, kiedy tak mówi.
- Dlaczego? - zapytałam.
- Bo nigdy nie jest, do cholery, oczywiste, dopóki Monk nie wyjaśni, co ma na myśli, a ja się potem czuję jak osioł, że sam tego nie zauważyłem.
- Monk wrócił do pokoju, w którym leżała ofiara.
- Ten człowiek został zabity dla kosztowności — orzekł.
- Przecież powiedziałem dokładnie to samo. - Stottlemeyer spojrzął na mnie wymownie. - Słyszałaś mnie chyba, prawda?
- Przytaknęłam.



- To właśnie kapitan powiedział, panie Monk - potwierdziłam.

- Nie mówię o zegarku i pierścionkach - odpowiedział Monk. - Mówię o diamentach.

- Jakich diamentach? - zapytał zdziwiony Disher.

- O diamentach, które ten człowiek sprzedawał i dla których został zamordowany — odpowiedział Monk. - Wcale nie przyszedł do hotelu z prostytutką i nigdy nie było go w tym pokoju.

- Jest tu teraz - powiedział Stottlemeyer. - Masz go przed oczami, Monk.

- Mam na myśli to, że nigdy go tu nie było za życia — dodał Monk. — A wszystko, co mamy przed oczami, dowodzi właśnie tego.

Stottlemeyer, Disher i ja zaczęliśmy się rozglądać po pokoju przez dłuższą, pełną milczenia chwilę.

- Ja nic nie widzę - odezwał się w końcu Disher i zerknął w moją stronę. - Widzisz coś, Natalie?

Pokręciłam głową i spojrzałam na kapitana. Ten spojrzał na Mońka.

- Nie stój tak, Monk - znieczierpliwiał się. - Powiedz, co tu się stało.

I Monk powiedział.

## Monk zaprowadza na świecie porządek

Większa część życia upływała Monkowi w poczuciu rozpacz. Stan ten najwyraźniej miał wiele różnych przyczyn, ale myślę, że tak naprawdę wszystkie sprowadzały się do jednej zasadniczej. Do nieporządku. Nieporządek zdawał się panować wszędzie tam, gdzie pojawiał się Monk, i wydaje się, że choćby nie wiadomo co, nic nie było w stanie tego zmienić.

Poza jednym: sprawą zabójstwa.

Jedyną chwilą, w której Monk umiał stawić czoło rozpacz i czuł, że w jego świecie panuje porządek, była chwila, w której rozwiązywał kolejną zagadkę morderstwa i wyjaśniał nam, jak do tego doszedł.

Podczas takiego podsumowania, kiedy w szczegółach opowiadał, jak i przez kogo zostało popełnione zabójstwo, Monk przywracał ład i porządkował wszystko, co było dotąd nieuporządkowane.

W tej jednej chwili Monk stawał się innym człowiekiem. Był silny, pewny siebie i miał poczucie bezpieczeństwa. Ponieważ zaprowadził porządek i w jego oczach przez tę jedną, dotkliwie krótką chwilę porządek zapanował na całym świecie.

Z prawdziwą przyjemnością patrzyłam na jego wewnętrzny spokój, choć zarazem z ciężkim sercem, bo zdawałam sobie sprawę, że nie potrwa on długo.

Ta krótka chwila nadeszła właśnie teraz.

- John Bozadjian to przybrane nazwisko, pod którym zabójca wynajął pokój, prawdopodobnie dlatego, że takie nazwisko widniało na kradzionych kartach kredytowych, którymi płacił w hotelu - zaczął Monk. - W rzeczywistości ofiara mieszkała w jednym z pokoiów na siódmym piętrze i tam została zamordowana. Pokój zabitego zajmuje teraz, jeśli się jeszcze nie wyprowadził z hotelu, morderca, który nosi na lewej ręce należąca do ofiary bransoletę diabetyka.

- Na siódmym piętrze? - zapytał Stottlemeyer. - Na tym, na którym pracuje ta pokojówka?

- Tak. To ona po zabójstwie zwiózła tutaj ciało, ukrywając je w wózku z pościelą, i pomogła upozorować całe zdarzenie — powiedział Monk.

Paola wydała ciche jęknięcie i zrobiła krok w tył, rozglądając się na boki, jakby miała ochotę czmychnąć. Jednak policjanci stojący na obu końcach korytarza zamykali dziewczynie drogi ucieczki.

- Hm, nawet gdybym nie wiedział, że już wcześniej miałeś w takich przypadkach rację, to mina tej panienki wszystko zdradza - stwierdził Stottlemeyer, odwracając się do Paoli. - Powiesz nam, co tu się stało, czy wszystko nam opowie Monk?

Paola zagryzła górną wargę, ale nic nie powiedziała. Wiedziała, że w tym momencie Monk poczuł wielką ulgę; z powodów, o których niedawno wspominałam. Nie chciał, by ktoś go okradał z upojnej chwili. Myślę, że Stottlemeyer również miał tego świadomość i sam dobrze się bawił.

- Przykro mi, Monk, ale wygląda na to, że cały ciężar będziesz musiał wziąć na swoje barki.

- Ofiara to handlarz diamentów - wyjaśnił Monk.

- Wywnioskował to pan po lupie w kieszeni płaszcza - powiedział Disher.

Monk potrzęsął głową.

- Lupa potwierdziła tylko to, co wiedziałem wcześniej, gdy spojrzałem na prawe rękawy jego koszul i marynarek.

Monk znowu wyjął długopis, podszedł do pustego łóżka i uniósł prawy rękaw koszuli zamordowanego mężczyzny.

- Jeśli popatrzyacie z bliska, dostrzeżecie prze tarcia i zadrapania na mankietach. Wzięły się stąd, że walizeczkę z towarem nosił przykutą kajdanka mi do prawego nadgarstka.

Teraz, kiedy Monk o tym wspomniał, rzeczywiście dostrzegłam ślady. Ale gdyby ktoś mi ich wcześniej nie pokazał, nigdy bym ich nie zauważyła. Tymczasem aż kłuły w oczy. Zaczynałam rozumieć, co czuł Stottlemeyer.

- Zabójca zamordował handlarza i przejął jego tożsamość.

- Po co taki ambaras? - zapytałam. - Mógł przecież zabić, nawiać z diamentami i wszystko miałby z głowy.

- Nic nie miałby z głowy - wtrącił Stottlemeyer. - Musiałby jeszcze opchnąć kradziony towar u paserów, a to oznacza ryzyko i podział łupu z kolejną osobą.

- Plan zabójcy był genialnie prosty - mówił Monk. - Zamierzał sprzedać diamenty pierwotnym nabywcom i przejąć pieniądze, które miały trafić do handlarza.

- A jeśli nabywcy znali handlarza z poprzednich transakcji? - zapytał Disher.

- Nie znali i zabójca o tym wiedział, w przeciw-

nym razie nigdy by tego nie zrobił — stwierdził Monk z nutą zniecierpliwienia w głosie.

Porucznik wyczuł tę nutę i poczuł się trochę dotknięty.

- Dobrze. Powiedzmy, że masz rację. Gdzie są dowody?

- W dowodach można przebierać i wybierać.

- Na przykład? - zapytał Disher.

—Na przykład kieliszki po winie — odpowiedział Monk. — Ofiara chorowała na cukrzycę, więc nie mogła pić alkoholu.

—Znam cukrzyków, którzy piją — stwierdził Stottlemeyer.

—A zna pan cukrzyków, którzy nie zażywają insuliny? - zapytał Monk.

—Ależ on miał insulinę.

- Ale jej nie zażywał — odpowiedział Monk, prowadząc nas do łazienki i pokazując należący do ofiary zestaw do robienia zastrzyków. - Mamy tu strzykawki, fiolki z insuliną i szczypcę z pojemnikiem na zużyte igły. Zwykle wygląda to tak, że chory robi sobie zastrzyk, ściąga szczypcami igłę wprost do pojemniczka na niebezpieczne odpady, a potem wyrzuca strzykawkę. Ten człowiek był tu od wczoraj, od chwili, kiedy się wprowadził, pokój nie był sprzątny, a mimo to w koszu na śmieci nie ma zużytej strzykawki. Byłaby, gdyby wstrzykiwał sobie insulinę.

—Mógł zrobić zastrzyk gdzieś indziej — zauważył Disher.

- Wątpliwe — stwierdził Monk. — Ale nawet jeśli, to insulina na nic by mu się zdała. Należy ją bowiem przechowywać w lodówce lub lodzie. Te fiolki stoją tutaj. Dlaczego nie w lodówce? I gdzie jest

opakowanie z lodem, będące częścią zestawu dla cukrzyków? Powiem wam gdzie.

- W to nie wątpię — powiedział Stottlemeyer.

- W lodówce piętro wyżej. Kiedy zabójca zbierał rzeczy swojej ofiary, wyjął fiolki z lodówki, ale do głowy mu nie przyszło, żeby spojrzeć do zamrażarki i wziąć opakowanie z lodem. Kardynalny błąd.

- Sprawa insuliny rzeczywiście zdaje się wskazywać, że ofiara została przeniesiona do tego pokoju — stwierdził Stottlemeyer. — Ale tego jeszcze nie dowodzi.

- Słusznie. Nie dowodzi - przyznał Monk. - Dowodzi tego łóżko.

- To łóżko też przyniesiono z góry? — zapytał Disher.

- Oczywiście, że nie. To byłoby śmieszne — powiedział kapitan, ale po chwili zawałał się i spojrzał na Mońka. - Prawda, Monk?

- Łóżka nie przenoszono — zgodził się Monk.

Stottlemeyer odetchnął. Myślę, że przez krótką chwilę bał się, że Monk mu zaprzeczy i wykaże, że w jakiś piekielnie sprytny sposób łóżko rzeczywiście zostało tu przeniesione.

- Paola powiedziała, że weszła posprzątać pokój i znalazła ciało - przypomniał Monk. - Jak zatem mogła zasłać łóżko, na którym leżała ofiara?

Monk podniósł wysoko narzutę, byśmy mogli zobaczyć, jak jest złożone i wsunięte pod materac prześcieradło łóżka, na którym leżały zwłoki.

- Prześcieradło jest złożone w narożnikach we dług szkoły salwadorskiej - ciągnął Monk. - Tym czasem prześcieradło na łóżku obok jest owinięte wokół narożników materaca tak, jak zawija się podarunek. Dowodzi to tego, że po tym, jak Emi-

lia, pokojówka odpowiedzialna za to piętro, posprzątała wczoraj ten pokój, łóżko zostało jeszcze raz pościelone. Dlaczego? Paola przewiozła ciało z góry w wózku z pościelą. Zanim ułożyła zwłoki na łóżku, zmieniła na nim pościel, aby na wszelki wypadek usunąć z niego ślady, które mógł zostawić zabójca, śpiąc tutaj poprzedniej nocy.

Wpatrywaliśmy się wszyscy w Paolę, która coraz mocniej zagryzała wargę. Sprawy nie układały się po jej myśli i dobrze o tym wiedziała. My również.

—W porządku, przekonałeś mnie — przyznał Stottlemeyer. - Ale nie zbudujemy aktu oskarżenia na podstawie zakładki na prześcieradle. Prokurator mnie wyśmieje.

—Wykorzystaj kieliszki po winie — poradził Monk. - To ona zostawiła na brzegu ślady po szmince. Jako materiał dowodowy będą nie gorsze od odcisków palców. Pomijam już kwestię DNA, ale zauważ, że Paola ma spękaną górną wargę, dlatego ją zagryza. Odbicie szminki będzie idealnie pasować do jej ust.

Stottlemeyer przytaknął.

—Odczytajcie tej kobiecie jej prawa, poruczniku, i zatrzymajcie ją do wyjaśnień.

Kiedy Disher przystępował do swoich czynności, zadałam Monkowi pytanie, które od jakiegoś czasu nie dawało mi spokoju.

—Skąd Paola wiedziała, że Emilia będzie dzisiaj chora?

—Podtruła ją oczywiście - odpowiedział Monk.

—Mówiłam Rogerowi, że to się nigdy nie uda - załkała nagle Paola, potrząsając głową. - Ale on twierdził, że to plan doskonały i zanim ktokolwiek odgadnie, co się stało, będziemy już daleko stąd.

- Zapewne bylibyście daleko stąd - powiedział Stottlemeyer — ...gdyby nie Monk.

Musiałam szczerze docenić kapitana. Nigdy nie próbował dyskutować geniuszu Mońka na własną korzyść. Zawsze dbał, aby Monk wiedział, że jego praca jest doceniana i że jemu zostaje przypisana cała zasługa, nawet jeśli laury zbierał departament policji czy on jako szef wydziału. Kapitan Stottlemeyer miał swoje słabości, ale zapominanie o uznaniu dokonań innych, by samemu poczuć się lepiej, z całą pewnością do nich nie należało.

- To jak, Paola, powiesz, gdzie szukać tego twojego Rogera? - zapytał Stottlemeyer. - Czy wolisz dostać za niego po łapach za morderstwo, a jemu pozwolić się cieszyć piña coladą na słonecznej plaży z nową dziewczyną?

- Jest w pokoju siedemset siedemnaście — powiedziała Paola bez chwili wahania.

Stottlemeyer spojrział na Mońka.

- Idziesz z nami aresztować gościa?

Monk pokręcił głową.

- Siedemset siedemnaście to bardzo, ale to bardzo nieparzysty numer, nie może wróżyć nic dobrego.

Kapitan rzucił okiem na trupa.

- Jemu z pewnością nie przyniosło nic dobrego.



## Monk sortuje orzeszki

Rozwikłanie morderstwa wprawiło Mońka w o wiele lepszy humor. Zaprowadził na świecie porządek, a uczyniwszy to, sam również zdawał się pozostawać w idealnej równowadze. Wręcz palił się, by rozmawiać z każdym, kto mógł mieć coś do powiedzenia w sprawie morderstwa Conrada Stipe'a — jeśli oczywiście przebywał w hotelu Belmont, a nie na zlocie.

Zeszliśmy zatem do baru, gdzie niedawno Stottlemeyer i Disher musieli się rozstać z Kingstonem Millsem, nowym kierownikiem produkcji, i Jud-sonem Beckiem, aktorem odtwarzającym rolę kapitana Strykera.

Myślę, że zapał Mońka do tego, by zostać w hotelu i pracować nad śledztwem, po części brał się z niechęci powrotu do domu, gdzie być może musiałby stanąć przed faktem, że Ambrose jest Ziemianinem. Czy Ziemitą. Czy jak tam fani *Poza Ziemią* nazywają dzisiaj samych siebie (ominęła mnie dyskusja panelowa na ten temat, nie wiedziałam więc, które z tych określeń ma być politycznie poprawne w nowej wersji *Poza Ziemią*).

Ja również miałam ochotę zejść do baru, ale z zupełnie innego powodu. Umierałam z głodu.

Szliśmy po schodach i byliśmy już między pierw-

szym piętrem a parterem, gdy raptem Monk stanął, jakby przypomniał sobie o czymś bardzo ważnym.

—Zapomniałem się zamienić śledztwami z porucznikiem - powiedział.

- Rzeczywiście, nie zrobił pan tego.

- Powinienem być z nim ubić interes przed rozwikłaniem sprawy Bozadjiana. Gdybym to zrobił, bylibyśmy w drodze do domu i nie miałbym na głowie śledztwa w sprawie Stipe'a.

—Dał się pan po prostu ponieść chwili. Był pan na fali.

- Chciałbym, żeby całe moje życie było na fali.

—Każdy by chciał — powiedziała i minęła go, schodząc dalej po schodach; była zbyt głodna, by wystawać na półpiętrze nie wiadomo po co. - Zresztą nawet gdyby się pan zamienił śledztwami, nie po trafiłby pan tak po prostu zostawić sprawy Stipe'a.

- Ależ potrafiłbym.

—Dopiero po zamknięciu śledztwa. Wcześniej nie mógłby pan przestać o niej myśleć.

- Z przyjemnością trwałbym w takiej umysłowej torturze - stwierdził Monk. - To byłoby łatwiejsze niż przebywanie wśród tych skończonych wariatów.

—Takich jak Ambrose? - zapytała, otwierając przed nim drzwi na parter, a metaforycznie rzecz ujmując, otwierając znacznie więcej.

Monk puścił pytanie mimo uszu, czego się spodziewałam, i mijając mnie podszedł do baru, który mieścił się w dalszym końcu holu.

Miejsce to miało wyjątkowo męski charakter; wszędzie skóra, ciemne drewno i biblioteczki z tomami klasyki oprawionymi w skórę - na wszelki wypadek przyklejonymi do półek, gdyby kogoś,

Boże broń, opętało niedorzeczne pragnienie poczytania książki.

Nie miałam pojęcia, jak wyglądają Kingston Mills i Judson Beck. Wiedziałam jednak, że Beck jest aktorem, prawdopodobnie nawet znanym, rozglądałam się więc za dwoma siedzącymi samotnie mężczyznami, ku którym reszta gości rzuca ukradkowe spojrzenia.

Dzięki tej strategii obu panów zlokalizowałam po dziesięciu sekundach. Siedzieli przy stoliku w tylnej części baru, skąd byli dla wszystkich dobrze widoczni, a jednocześnie sami widzieli, kto się pojawia w barze. Na stoliku stało kilka pustych kieliszków i dwie miseczki z mieszanką orzeszków.

Mills miał na sobie hawajską koszulę wypuszczoną na wierzch w daremnej próbie ukrycia krąglego brzuszyska, które wylewało mu się na szerokie spodnie khaki. Koszula była tak kolorowa, że w przyćmionym świetle wnętrza baru zdawała się świecić.

Beck ubrany był w eleganckie, obcisłe rzeczy marki Abercombe&Fitch, stylowo wytarte, przedarte i poplamione, które wymownie uwydatniały męską budowę ciała. Zdawał się świetnie wiedzieć, kto na niego patrzy, nie wyłączając siebie samego, ponieważ w lustrze za barem mógł podziwiać swoje odbicie.

Podeszłam energicznym krokiem do mężczyzn, próbując okazać jak największą pewność siebie. Monk podreptał za mną.

- Panie Mills, panie Beck, nazywam się Natalie Teeger, a to pan Adrian Monk, konsultant specjalny policji. Kapitan Leland Stottlemeyer wysłał nas do panów na rozmowę.

- To pan jest tym sławnym Adrianem Mon-kiem? - Kingston Mills wstał i wyciągnął rękę do Mońka, a ten ją uściśnął. - Ktoś podsunął mi scenariusz serialu z panem w roli głównej.

- Serialu?

Monk poprosił mnie gestem o chusteczkę higieniczną, którą miałam już w pogotowiu.

- Takiej serii cotygodniowych filmów detektywistycznych dla telewizji. - Mills uśmiechnął się szeroko i skinął głową w kierunku Mońka wycierającego rękę. — Pan rzeczywiście to robi?

- Co? - Monk oddał mi zużytą chusteczkę, którą włożyłam do woreczka i wrzuciłam do torebki.

- Po każdym uścisku dłoni czyści pan ręce chusteczką dezynfekującą?

- Czy nie każdy tak robi?

Mills zachichotał krótko zduszonym głosem i spojrział na Becka.

- Myślałem, że to tylko numer, który autor mi wykreślił pod swój scenariusz. Facet uporządkował nawet papiery na moim biurku, a czasopisma na stoliku ułożył w porządku chronologicznym.

- Mam nadzieję, że mu pan podziękował.

- Scenariusz był całkiem niezły - stwierdził Mills. - Ale powiedziałem mu, że w telewizji taki serial nie przejdzie.

- Dlaczego nie? - zapytałam i usiadłam przy stole.

- Kto miałby ochotę oglądać co tydzień jakiegoś stukniętego czyściocha? To byłoby wkurzające jak diabli. Popracowaliśmy więc w czasie lunchu nad scenariuszem i zrobiliśmy coś znacznie lepszego, historię detektywa seksoholika. Widzi pan, to jest dopiero coś.

W jednej chwili oczy Mońka rozszerzyły się w przerażeniu.

- O Boże, widzę.

- Jego asystentka jest striptizerką. W przyszłym tygodniu idziemy z tym do Showtime'u -mówił Mills. — Będzie idealnie pasować do ich seriali o matce handlującej narkotykami, o lesbijkach z Vancouver, o starym bigamiście albo o policjancie, który się okazał seryjnym mordercą.

- Jaki daliście tytuł? - zapytał Beck.

- *Mordergasm*.

- Super — powiedział Beck. — Jeśli *Poza Ziemią* szybko padnie, pomyśl o mnie przy obsadzaniu tej roli.

- Myślę o tobie przy obsadzaniu każdej roli, Jud - powiedział Mills. - Jesteś wszechstronnie uzdolniony i jedyny w swoim rodzaju.

Monk rzucił mi pełne bóleści spojrzenie.

- Wciąż to widzę.

- Niech pan myśli o czymś innym - poradziłam i odwróciłam się do Millsa. - Nas jednak bardziej interesuje serial *Poza Ziemią* i pytanie, kto mógł mieć motyw do zabicia Conrada Stipe'a.

- Kogo? — zainteresował się Beck.

- Twórcy serialu, w którym gra pan główną rolę - odparłam.

- Och, pani ma na myśli tego starego gościa -rzucił Beck.

- Jud nie miał z nim wiele do czynienia — wyjaśnił Mills. - Tak naprawdę Stipe nie miał wielkiego udziału przy powstawaniu nowego serialu.

- Ale był jego pierwszym twórcą - zauważyłam.

- Tak, ale ja przeobraziłam serial — podkreślił Mills.

Monk złapał mnie za ramię.

- Pomóż. Ten obraz nie chce zniknąć.

- Niech pan spojrzy. — Wskazałam palcem dwie miseczki na stole. — Wymieszane orzeszki. Do tego jeszcze precelki.

Podziałało. Monk natychmiast zapomniał o de-  
tektywie seksoholiku i całą swoją uwagę skoncentrował  
teraz na nowej, groźnej dla bezpieczeństwa zdrowia  
publicznego, sytuacji kryzysowej.

- Co im do głowy strzeliło!? - Wyciągnął z kie-  
szeni gumowe rękawiczki i przystąpił do działania. -  
Panowie, lepiej odsuńcie się od stołu. To będzie brud  
na robota.

Odwrociłam się do Millsa.

- Więc jaką rolę odgrywał Stipe przy produkcji  
nowego serialu?

- Kontrakt zobowiązywał nas do wysłuchania uwag  
Stipe'a, ale praktycznie nie miały one dla nas znaczenia.  
Stipe nie uczestniczył w codziennych pracach nad  
filmem - mówił Mills. - Utrzymywaliśmy z nim kontakty  
wyłącznie dla celów marketingowych, a także po to, by  
przyciągnąć niszową widownię.

- Niszową widownię? - zdziwiłam się.

Monk rozłożył na stole serwetki, opróżnił na nie obie  
mischki i ostrożnie zaczął sortować orzechy i precelki.

- Chodzi o fanów pierwszego serialu - wyjaśnił  
Mills, zerkając na to, co robi Monk. - Są nam po-  
trzebni jako haczyk promocyjny. Dzięki nim mamy  
większą prasę. Ale to tylko pole startowe przed  
wielką ofensywą reklamową. Celem jest wejście z na-  
szym produktem w o wiele szerszy nurt widowni,  
obejmujący inteligentnych, wykształconych i nieli-

czących się z wydatkami konsumentów, którzy słyszeli o poprzedniej wersji serialu, ale nigdy go nie widzieli.

- Nie sądzicie, że fani *Poza Ziemią* wiedzą, co robicie, i krzywo patrzą na to, że ich wykorzystujecie?

- To przecież matoly. Przebierają się w Hallo-weenowe kostiumiki i gadają jakimś wymyślonym językiem z kiepskiego serialu - powiedział Mills. -Kogo obchodzi, co oni sobie pomyślą.

Przywołałam kelnerkę. Zamówiłam dla siebie hamburgera i frytki oraz poprosiłam o sześć pustych miseczek dla Mońka i jego sortowanych orzeszków, po czym szybko ją odprawiłam, zanim Monk zdążył wygłosić kazanie na temat niebezpieczeństw związanych z mieszaniem orzechów z preclami.

- Skoro macie takie zdanie na temat Stipe'a, jego fanów i pierwszej wersji *Poza Ziemią*, to dlaczego w ogóle się jeszcze zajmujecie tym serialem?

- Bo to produkt wyprzedany w przedsprzedaży - powiedział. — Ma swoją markę.

- Ale zrobił klapę.

- Nie szkodzi — odparł Mills. - Istniał i ludzie to pamiętają.

- Nie lepiej wymyślić coś nowego?

- Wymyślanie czegoś nowego jest staromodne. Za duże ryzyko dla stacji i widowni. Ludzie czują się komfortowo z tym, co jest swojskie - tłumaczył Mills. - Dzisiaj nowe jest przeobrażanie.

- Jest bardziej autentyczne - dodał Beck.

Zerknęłam na Mońka, który pracowicie układał migdały, fistaszki, nerkowce i precelki w osobne piramidki.

Doskonale wiedziałam, że chociaż nic nie mówi i jest pochłonięty swoją misją, to uważnie słucha każdego słowa. Mimo to byłam poirytowana, bo ciężar prowadzenia rozmowy spadł na mnie, a nie miałam pojęcia, jakie sensowne pytanie zadać poza: „To pan zabił, drogi panie?”

Pytałam więc o to, co mnie najbardziej interesowało, mając nadzieję, że powiedzą coś, co przyda się później Monkowi.

- Jak to bardziej autentyczne? - powiedziałam. — Przecież to remake.

- Przeobrażenie - poprawił mnie Mills.

- Cóż to za różnica?

- Nie powtarzamy tego, co już zrobiono, wracamy na start i tworzymy dzieło, jakim *Poza Ziemią* powinno być od samego początku - mówił Mills. -Wszystko robimy na nowo. To będzie nowe wyobrażenie zarysowanego wcześniej konceptu, całkowite przeobrażenie. Uczynimy film bardziej realistycznym.

- To film o kosmitach z wnętrzościami na zewnątrz - powiedziałam. - Co w tym realistycznego?

- Nadajemy mu immanentną, niezmaconą niczym rzeczywistość, która jest logicznie zgodna z naszą codzienną rzeczywistością — powiedział Mills.

- To jest autentyczność. - Beck pokiwał mądrze głową.

- Założenie fabuły jest takie, że ludzkość ginie i z całego rodzaju ludzkiego zostaje tylko garstka osób uwięziona na statku kosmicznym - mówił Mills. - Wszyscy powinni być pogrążeni w rozpacz, zgnębieni, odrażający, egzystujący na granicy śmierci. Tymczasem kiedy się ogląda oryginalny serial, wszystko jest jasne i kolorowe, a ludzie szczęśli-



wi i weseli. To nie może być prawdziwe względem immanentnej rzeczywistości fikcyjnego wszechświata.

- Nieautentyczne — podkreślił Beck.
- Nasz serial jest z krwi i kości - powiedział Mills. -

Można poczuć zapach potu.

Monk zde gustowany podniósł głowę.

- Kto chciałby czuć zapach potu? - zapytał.
- To woń autentyczności — odparł Beck.
- Mimo to nie chciałbym jej poczuć. — Monk

zaczął ostrożnie przesypywać swoje piramidki do osobnych miseczek.

Mówiłam, że uważnie nas słucha.

- Psychologia postaci jest teraz bardziej skomplikowana — powiedział Beck. - Weźmy choćby moją postać. Kapitan Stryker jest rozdarty, dręczy go wewnętrzny konflikt między siłą rozpaczony a potrzebą zostania przywódcą rodzaju ludzkiego i kapitan Stryker potrafi sobie z tym poradzić tylko w jeden sposób, mianowicie kopulując z każdą napotkaną kos-mitką, bez względu na to jak wygląda. Wystarczy, by była przedstawicielem płci żeńskiej swojego gatunku.

- Krótko mówiąc, zboczeniec — stwierdziłam.

- Ale to nie szkodzi — wyjaśnił Mills. — To szlachetny zboczeniec, z którym widz może się utożsamiać.

- Jest autentyczny - podkreślił Beck.

- Niewielu aktorów ma to „coś”, żeby wydobyć cechy tak drażniącej postaci, a jednocześnie uczynić ją sympatyczną i bohaterską - dodał Mills, obejmując Becka ramieniem. - Ale Judowi jeszcze trochę „cosiów” zostało.

- Jak Conrad Stipe odbierał fakt, że jego serial przeobraża się w załogę szlachetnych zboczeńców? - zapytałam.

- Stipe'a obchodził tylko czek z wypłatą — odpowiedział Mills. - Jego kariera się skończyła, gdy *Poza Ziemią* zdjęto z anteny. Dojrzał możliwość zarobienia paru groszy i wrócił do gry. Jeśli nowe *Poza Ziemią* okaże się hitem, wygrają wszyscy.

- Poza fanami oryginalnego serialu.

- To drobna część widowni, do której chcemy dotrzeć - powiedział Mills.

- Ale dla nich to coś więcej niż film w telewizji. Mieszacie się w ich życie. Nie boicie się, że mogą się wściec?

- Niezbyt-odparł Mills.

- Czy Stipe'owi grożono? - zapytałam.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A panom?

- Ech, parę nienawistnych e-maili i jakieś petycje z galaktycznego powstania - przyznał Mills. — Ale nie traktuję ich serio.

- Nawet po tym, co się dzisiaj stało?

- To Stipe zdradził fanów, nie ja - odparł Mills. - Wylali złość na tego, na kogo się wkurzyli. Ja jestem tylko wynajętym pistoletem, który wykonuje czarną robotę, czyli stara się wyprodukować program telewizyjny, który ma dotrzeć do jak najszerzej widowni.

- Oni jednak mogą nie dostrzegać tej różnicy - powiedziałam.

- Dostrzegają. Ja jestem outsiderem. Nie mam pojęcia o kulturze związanej z *Poza Ziemią* i nic mnie ona nie obchodzi. Oni o tym wiedzą. Jestem dokładnie tym, za kogo mnie mają. Nic we mnie nie zainwestowali - tłumaczył Mills. - Tymczasem Stipe'owi oddali wszystko. Słuchali jego opowieści jedna za drugą, a potem przez dziesiątki lat utrzy-

mywali go, kupując komiksy. Byli przekonani, że jest jednym z nich, że mieszka razem z nimi w ich ciasnym świątku i poświęca mu się z równą pasją co oni. Cóż, ktoś w końcu dostrzegł, że Stipe się niczemu nie poświęca, że tylko się bawi, a *Poza Ziemią* znaczy dla niego tylko tyle co honorarium. Tyle w każdym razie znaczy dla mnie.

- Jeśli o pieniądzach mowa - wtrąciłam. - Jeśli *Poza Ziemią* pan odniesie sukces, nie będzie pan musiał dzielić ze Stipe'em laurów i pieniędzy, skoro nie żyje, prawda?

- I tak nie dzieliłbym z nim laurów - odparł Mills. - Stipe był przebrzmiałą sławą i taką by pozostał. Z wytwórnią wiązał go kontrakt gwarantowany, zapewniający wypłatę bez względu na okoliczności. Żyje czy nie żyje, honoraria i tak wpływają mu na konto, a formuła udziału w zyskach także się nie zmienia. Pieniądze będą więc dalej powiększać jego majątek.

- Kto teraz zarządza tym majątkiem? - zapytałam.

Mills wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nigdy nie rozmawialiśmy o jego życiu osobistym. Właściwie w ogóle nie rozmawialiśmy. Powiedziałem sekretarce, żeby nie łączyła do mnie jego telefonów.

Monk wstał i odszedł od stolika, niosąc ostrożnie w rękach miseczki z posortowanymi orzeszkami i precelkami.

- Hola! — zawołał za nim Mills. - Gdzie je pan bierze?

- Wrzucę je do osobnych woreczków plastikowych, szczelnie je pozamykam i wyrzucę.

- Dlaczego? - zdziwił się Beck.

- Ponieważ orzeszki są zakażone - wyjaśnił Monk.
- Ależ skąd. Cały czas leżały tutaj w miseczkach.
- Wymieszane - dodał Monk grobowym głosem.
- Posługując się terminologią serialu *Poza Ziemią* - wtrąciłam - to tak jakby wymieszać materię z antymaterią.

- Mało tego. Nieprzebrana rzesza obcych ludzi dotykała tych orzeszków gołymi rękami - powiedział Monk. - Kto wie, gdzie te ręce wcześniej były i czym się zajmowały.

Monk aż się wzdrygnął na samą myśl. Ja również. Kiedy postawił sprawę w ten sposób, sam pomysł skosztowania orzeszków wydał się po prostu niestrawny.

- Ale jestem głodny - zaprotestował Beck. - Jeszcze nie skończyłem jeść.

- Zdrowiej byłoby zjeść miskę szcurzych odchodów — stwierdził Monk, odchodząc z miseczkami. — Później mi pan podziękuj.

Beck patrzył za nim wybałuszonymi oczami.

- O co mu chodzi?

- Jest po prostu autentyczny - odpowiedziałam. - Autentycznie Monkowy.

## Monk i oko

Kingston Mills i Judson Beck wyszli, ja zaczęłam jeść lunch, a Monk chodził od stołu do stołu, zbierał miseczki z orzeszkami, sortował je, przesypywał do woreczków i wyrzucał do śmieci.

To oczywiście nie podobało się bywalcom baru, kelnerkom i barmanowi. Ktoś wezwał ochronę, ale, jak się wydaje, strażnicy byli poinformowani, że Monk jest z policją, bo przekonali barmana, by dał sobie spokój.

Tymczasem Monk czuł się zobowiązany poinstruować personel kuchenny i strażników o stosownej procedurze postępowania przy podawaniu orzeszków do posiłku, która jest następująca: Każdy rodzaj orzeszka czy krakersa musi mieć własną miseczkę. Z miseczki może korzystać więcej osób niż jedna wyłącznie wówczas, gdy wszyscy konsumenci mają na rękach gumowe rękawiczki.

- Jest waszą powinnością pilnowanie, aby tych zasad przestrzegano — poinstruował ochroniarzy. -Dla dobra ludzkości.

Ochroniarze nie wyglądali na takich, którzy byliby gotowi dźwigać brzemień ratowania ludzkości. Barman zaś, zamiast zastosować się do drakońskich zaleceń Mońka, postanowił w ogóle nie serwować

orzeszków i precelków, w każdym razie dopóki w hotelu przebywa Monk.

Mądra decyzja.

Nie włączałam się w scysję, bo byłam już zmęczona, głodna i chciałam w spokoju dokończyć lunch.

Tego, co się działo, nie potrafiłam jednak obserwować z absolutną obojętnością, jakiej bym pragnęła, i chociaż nie uczestniczyłam bezpośrednio w dyspacie, to czułam, jak mięśnie na karku i ramionach napinają mi się boleśnie od wyczuwanego stresu.

Stottlemeyer i Disher zeszli na parter i przysiedli się do mnie, co przyciągnęło do stolika także Mońka, a obsłudze baru dało cenną chwilę wytchnienia.

- Zatrzymaliśmy Rogera — powiedział Disher. — Siedział w pokoju siedemset siedemnaście i sprzedawał diamenty paru tutejszym jubilerom. Nasze wejście przerwało im całą zabawę. Był całkowicie zaskoczony.

- Roger był przekonany, że dokonał zbrodni doskonałej - powiedział Stottlemeyer.

- Ale popełnił jeden zasadniczy błąd. Nie docenił legendarnego geniuszu policji San Francisco -powiedział z dumą Disher.

- Powiedziałbym raczej, że jego ocena legendarnego geniuszu naszej policji była jak najbardziej trafna. Po prostu nie przewidział Mońka. - Stottlemeyer spojrział na Mońka. - Rozwikłałeś jeszcze jakieś morderstwa podczas naszej nieobecności?

- Jest kolejne morderstwo? - zapytał Monk. — Był trup, były mieszane orzeszki, co teraz? To cud, że ten hotel jeszcze nie splajtował.

- Miałem na myśli sprawę Stipe'a. - Stottleme-

yer wyciągnął rękę pojedną z frytek, które zostały na moim talerzu, ale zanim zdążył jej dotknąć, Monk odsunął talerz.

- Powinieneś założyć rękawiczki.

- Frytki nie są dowodem rzeczowym — odpowiedział Stottlemeyer.

- Myłeś ostatnio ręce?

- Zamierzałem dotknąć tylko tej frytki, którą chciałem zjeść.

- Otrułbyś więc tylko siebie, a nie siebie i innych — zawyrokował Monk. — Jesteś człowiekiem czy małpą?

- Nieważne. — Stottlemeyer machnął ręką. -I tak nie powinienem jeść frytek.

Disher sięgnął do kieszeni płaszcza i podał mi płytę DVD.

- To dla Mońka. Zrobiłem kopię nagrania z kamery przemysłowej zabójstwa Stipe'a.

- Dziękuję - powiedział Monk.

- Nie spuszczaaj tej płyty z oka - poradził mi Disher. — Dziennikarze daliby wszystko, gdyby mogli ją dostać w swoje ręce.

- Będziemy jej bronić własną pierśią — zapewniłam.

- Szkoda fatygi - stwierdził Stottlemeyer. — Założę się, że to nagranie będzie można zobaczyć we wszystkich wieczornych wiadomościach. Recepcjonista na pewno skopiował je przed naszym przyjazdem i zapewne prowadzi właśnie licytację ze stacjami, chcąc uzyskać jak najwyższą cenę.

- Jest pan potwornie cyniczny.

- „Cyniczny” to synonim słowa „realistyczny” - powiedział Stottlemeyer. - Macie jakieś tropy od Kingstona Millsa i Judsona Becka?

- Niezupełnie - odpowiedziałam.
- Wręcz przeciwnie - sprostował Monk. - Poznaliśmy jeszcze jeden motyw, który mógłby skłaniać do zabicia Stipe'a.
- Naprawdę? - zdziwiłam się.
- Gaża Conrada Stipe'a za konsultacje przy produkcji serialu i zyski z programu - wyjaśnił Monk. - Jeśli podążymy śladem pieniądza, możemy dotrzeć do zabójcy.

Pomyślałam, że podczas rozmowy z Millsem i Beckiem wcale nie wykonałam złej roboty.

- Twoim zdaniem ktoś upozorował zabójstwo Stipe'a przez zawiedzionego wielbiciela, żeby odwrócić uwagę od prawdziwego motywu zbrodni? - zapytał Stottlemeyer. - To by wyjaśniało, dlaczego Stipe został zastrzelony w świetle dnia, na oczach świadków i przed obiektywami kamer przemysłowych.

- Chyba że zabójca był świrusem odurzonym narkotykami — stwierdził Monk.

- Wygląda na to, że powinniśmy porozmawiać z Arianną Stipe i adwokatem, który prowadził jej oprawę rozwodową, Howardem Eggerem - powiedział Stottlemeyer.

- Będę wam do tego potrzebny? — zapytał Disher. Stottlemeyer spojrział na niego przeciągle.

- Masz jakieś inne niecierpiące zwłoki zajęcie?

- Jest parę śladów w sprawie zbezczeszczenia zwłok Lorbera, które chciałbym zbadać, póki są gorące - wyjaśnił porucznik. - Wiem z doświadczenia, że w tego typu sprawach pierwsze dwa dni są kluczowe.

- Przecież nie masz doświadczenia w tego typu sprawach — zauważył Stottlemeyer.



- Mówię o doświadczeniu, które zdobywam. Czuję dreszczyk emocji.

- Czujesz ciężar mojego zimnego, przenikliwego spojrzenia, Randy — powiedział Stottlemeyer. — Co masz?

Disher ochoczo wydobyl z kieszeni notes i przejrzał pobieżnie parę stron, by przypomnieć sobie ostatnie zapiski.

- Magnetyczna karta do otwierania drzwi, dzięki której sprawca wszedł do siedziby Burgerville'a i z niej wyszedł, jest zarejestrowana na nazwisko Brandona Lorbera. Wydano mu tylko dwie karty, jedną dla niego, a drugą dla żony, Veroniki — mówił Disher. - Kobieta twierdzi, że swoją kartę ma cały czas przy sobie, a jej mąż dwa tygodnie temu zgłosił zaginięcie karty. Strażnik z ochrony budynku, Archie Applebaum, wystawił mu nową.

- Znalazłeś tę nową kartę Lorbera? - zaciekał się Monk.

- Leżała na biurku obok firmowych dokumentów finansowych, które czytał, gdy stracił życie. Nasz księgowy zapoznaje się z tymi dokumentami.

- Po co? - zapytał kapitan.

- Być może w rachunkach jest trop, który wyjaśni nam, dlaczego ktoś strzelał do Lorbera. Musimy go złapać, zanim znowu uderzy.

- Zanim znowu strzeli do kogoś, kto nie żyje, tak? - uściślił Stottlemeyer.

- Z pozoru tak to wygląda.

- Lorber z całą pewnością już nie żył, gdy oddano do niego strzały - przypomniał kapitan. - Lekarz sądowy to potwierdził.

- Być może sprawca myślał, że Lorber śpi, i nie chciał go budzić przed zabójstwem.

- To twoja nowa teoria? - zapytał Stottlemeyer.
- Jedna z kilku, nad którymi aktualnie pracujemy. -  
My?
- Miesiąc temu pewna grupa konsumentów ogłosiła, że Burgerville potajemnie używa ekstraktu z wołowiny w celu wzmocnienia zapachu frytek -mówił dalej Disher.
- Ta rewelacja wywołała furię wśród wegetariańskich klientów sieci, którzy od lat objadali się frytkami.
- Uważasz, że Lorbera zabił żądny krwi wega-nin? — zapytał Stottlemeyer.
- Kiedy weganin zje trochę mięsa, wpada w amok-  
stwierdził Disher.
- Ale skoro Lorber nie żył, po co było się trudzić strzelaniem - wtrącił Monk. - Do tego z chłodną precyzją zawodowego zabójcy?
- Aby pokazać, że przed ich gniewem nie ma ucieczki - odrzekł Disher. - Nawet jeśli jest się już martwym.
- Weganie to twoi jedyni podejrzani? - zapytał Stottlemeyer.
- Rok temu w Burgerville'u w Pleasanton jakiś facet kupował kawę przy okienku dla samochodów i rozlał ją na krocze — powiedział Disher. — Zaskarżył korporację, twierdząc, że gorący napój uczynił go bezpłodnym. Przegrał w sądzie i poprzysiął sobie zemstę.
- Uhuhu... - mruknął Stottlemeyer. - Zatem poszukujesz pomyłonego weganina lub eunucha pa-  
łającego chęcią zemsty.
- E... mam też inne hipotezy — dodał porucznik. — Ale wydaje mi się, że ich ujawnianie będzie przedwczesne, jeśli nie sprawdzę paru istotnych tropów.

- Jasne. To ruszaj do roboty. Może jakoś tu sobie poradzimy bez ciebie.

- Dziękuję, panie kapitanie - ucieszył się Disher. - Jeśli staniecie w miejscu albo będziecie chcieli przekazać mi sprawę, znajdziecie mnie w centrum dowodzenia SJB.

- Czyli przy twoim biurku? - zapytał Stottlemeyer.

- Kiedyś to było biurko. Teraz jest to centrum dowodzenia.

Disher odszedł pośpiesznym krokiem. Stottlemeyer westchnął i przywołał do stolika kelnerkę.

- Co w tym barze trzeba zrobić, żeby ktoś łaska wie podał wreszcie orzeszki? - zapytał.

Poszliśmy z Monkiem schodami na czwarte piętro, do apartamentu Arianny Stipe. Ponieważ Stottlemeyer pojechał windą, był tam przed nami i zdążył już zapowiedzieć naszą wizytę.

Kiedy weszliśmy do środka, Howard Egger, były adwokat pani Stipe, stał odwrócony do nas plecami i przygotowywał drinki przy barku nad małym zlewem.

Arianna stała na środku pokoju z rękami wspartymi na biodrach, przodem do kapitana, ubrana w T-shirt Juicy Couture, polar z kapturem Free City i dżinsy True Religion. Jej codzienny ubiór kosztował więcej niż większość sukni ślubnych. Nie mówiąc już o tym, że rzeczy, które miała na sobie, szyte były z myślą o kobietach o trzydzieści lat młodszych i piętnaście kilogramów lżejszych.

- Nie bardzo wiem, jak mogłabym państwu po móc - mówiła, nieznacznie sepleniąc. - Kiedy Con-

rad został zabity, znajdowałam się w samolocie z Los Angeles do San Francisco.

Mogłam zrozumieć, dlaczego sepleniała. Mówienie musiało stanowić dla niej potworny wysiłek. Jej usta wyglądały bowiem tak, jakby zostały usunięte największemu łososiowi świata i wszczepione w jej twarz, z kolei z twarzy najwyraźniej zdjęto laserem skórę, potem naciągnięto ją ściśle z powrotem na czaszkę, by w końcu utwardzić ją na marmur takimi ilościami botoksu, że mogłyby zetrzeć w pył całe miasto.

Brwi Arianny zapewne powyrywano pracowicie pincetką i zastąpiono je łukowatymi tatuażami, które nadały jej permanentny wygląd kogoś, kto usiadł na czymś bardzo, bardzo zimnym. Jej prostowane przednie zęby były pokryte tak nienaturalnie białymi koronkami, że ich mieniąca się biel zdawała się zbierać i odbijać całe światło w pokoju. Jej piersi były tak wielkie, tak okrągłe i wydawały się tak twarde, że przypominały piłki do koszykówki używane w NBA. Być może były to piłki.

Domyślałam się, że kobieta mogła mieć jakieś sześćdziesiąt lat, ale trudno powiedzieć. Kosmici z *Poza Ziemią*, obwieszeni własnymi wnętrznościami, wyglądali bardziej po ludzku niż ona.

Z trudem powstrzymałam się od krzyku.

- Większość ludzi nie rozpoczyna ze mną rozmowy od podawania alibi - stwierdził Stottlemeyer. — Poczucie winy?

- Wolę od razu przejść do sedna sprawy - odpowiedziała.

- Ja również. - Howard odwrócił się z drinkami w rękach. Jeden podał Ariannie, a drugi zatrzy-

mał dla siebie. — Uważa pan moją klientkę za podejrzaną w sprawie?

Mężczyzna, młodszy od swojej klientki o dobre dziesięć lat, ubrany był w sposób prosty i elegancki, miał na sobie odprasowany, dwurzędowy garnitur w delikatne paseczki i czarną przepaskę na lewym oku. Zupełnie jakby żywcem wyszedł z reklamy Jacka Daniels'a w jakimś kolorowym czasopiśmie.

Monk schował się za Stottlemeyera jak przestraszone dziecko.

—Mam wrażenie, że śmierć męża nie przygnębiła zbyt wiele pańskiej klientki - powiedział kapitan, oglądając się przez ramię na Mońka.

—Byłego męża — poprawiła go Arianna i wytwornym gestem podniosła szklaneczkę do ust.

—Są już oficjalnie po rozwodzie — wyjaśnił Howard.

- Ale przez jakiś czas byli małżeństwem - powiedział Stottlemeyer, odsuwając się o krok od Mońka, który natychmiast za nim podążył.

- Przez trzydzieści lat byłam oddaną i kochającą małżonką, na dobre i na złe, znosiłam jego niewierność, picie, chroniczny brak zatrudnienia oraz niezliczone dowody nielojalności i powody do wstydu. Szczególnie trudnych było ostatnich kilka lat, kiedy żyliśmy wyłącznie z jego zaproszeń na zloty fanów *Poza Ziemią*. Wreszcie nie wytrzymałam. Mam swoje potrzeby.

Przestała sączyć drinka i jednym haustem wypijała połowę zawartości szklaneczki.

- Więc dlaczego pani tu przyjechała? - zapytałam.

- Żeby go zabić - odparła.

—Oczywiście w przenośni - dodał Howard.

Stottlemeyer znowu zrobił krok w bok, ale Monk posuwał się za nim jak cień. Kapitan, trochę zirytowany, odwrócił się, by spojrzeć na Mońka, a ten zastąpił oczy ręką.

- Znajdujemy się w dużym apartamencie, Monk. Czy naprawdę musisz stać za moimi plecami?

- Tak.

- Może mi powiesz dlaczego? Monk skinął ręką w stronę prawnika.

- Ma przepaskę na oku.

- Straciłem oko w wypadku samochodowym — wyjaśnił Howard.

- Powinien pan tam wrócić i poszukać oka. Natychmiast. Niech pan nie wraca bez oka.

- Obawiam się, panie Monk, że już od dawna go tam nie ma - odparł adwokat. - Wypadek wydarzył się dwadzieścia lat temu.

Stottlemeyer odwrócił się do Arianny, a Monk natychmiast zanurkował za jego plecy.

- Dlaczego chciała pani zabić swojego byłego męża? Oczywiście w przerośni.

- Dwa tygodnie po zamknięciu sprawy rozwodowej otworzyłam „Hollywood Reporter” i zobaczyłam długi artykuł, w którym obwieszczono, że sieć telewizyjna UBS podpisała wielomilionowy kontrakt na emisję nowego serialu *Poza Ziemią* — powiedziała Arianna. - Kiedy dzieliliśmy małżeński majątek i negocjowaliśmy układ rozwodowy, Conrad ani słowem nie pisał, by ktokolwiek był zainteresowany wznowieniem serialu. Z podpisaniem kontraktu czekał na sądowe orzeczenie rozwodu, aby mnie oszukać i odsunąć od zasłużonego udziału w nieoczekiwanej mannie.

- Dopuszczał się malwersacji - dodał Howard. -

Przyjechaliśmy zawiadomić go o tej sytuacji i spróbować polubownie wynegocjować ugodę finansową.

- A w wypadku niepowodzenia? - zapytał Stottlemeyer.

- Sądziłibyśmy jego cienki kuper do upadłego. Przez ostatnie dwa lata kariera Conrada leżała w ryzsztoku. Nikt z branży nie odpowiadał na jego telefony. Pozostało mu jedynie *Poza Ziemią* i fani, którzy widzieli w nim bóstwo - mówiła Arianna. -Wiem, że na zlotach sypiał z tymi całym Ziemiakami. Pogodziłam się z tym, bo zloty były jedyną rzeczą, która trzymała go przy życiu, jedynym sposobem, aby żywił jeszcze do siebie szacunek. Aleja również mam uczucia i nadszedł w końcu moment, kiedy musiałam zakończyć małżeństwo, chcąc zachować resztki honoru.

Ów moment nadszedł zapewne, kiedy Arianna zdała sobie sprawę, że żadne operacje plastyczne nie sprawią, że będzie dla męża równie atrakcyjna jak zakochana Ziemianka. Im częściej szła pod nóż, tym więcej zlotów musiał zaliczać mąż, by opłacić operacje, i tym więcej Ziemiemek trafiało do jego łóżka.

Smutna historia, którą opowiada całe ciało pani Arianny Stipe.

- Powiem tak - odezwała się po chwili. - Nie po to przez te wszystkie lata godziłam się na udrękę z Conradem, żeby dać się wystrychnąć na dudka w chwili, gdy galaktyczny statek z kasą cumuje do doku naszej stacji kosmicznej.

Arianna dopiła drinka i wyciągnęła pustą szklaniczkę w kierunku Howarda, aby znowu ją napelnić. Adwokat usłużnie wziął ją od niej i podszedł do barku.

Teraz, gdy Howard był do nas odwrócony tyłem,

Monk odważnie wychylił głowę zza pleców Stottlemeyera.

- Zastanawiał się pan nad noszeniem opaski na drugim oku? — zapytał prawnika.

- Nie - odpowiedział Howard, nalewając Arian-nie kolejnego drinka.

- Powinien pan — poradził Monk.

- Wówczas nic bym nie widział.

- Może udałoby się panu dostać jedną z tych czarnych przezroczystych opasek.

- Nie słyszałem o takich.

- W takim razie ma pan pecha.

- To nie ja mam problem — powiedział Howard, wracając do Arianny ze szklaneczką w ręku. - To pan ma problem.

- Ja mam oboje oczu — powiedział Monk, znów kryjąc się za Stottlemeyerem. - Pan nie ma i reszta z nas musi to oglądać. Niech okaże pan trochę wrażliwości i spróbuje zrozumieć innych.

- Ja? - Howard osłupiał.

- Niech pan nie zwraca na niego uwagi, panie Egger. - Stottlemeyer obejrzał się na Mońka. - Chociaż raz chciałbym prowadzić przesłuchanie, którego mi nie przerywasz tylko dlatego, że nie daje ci spokoju jakiś drobiazg, puszka 7-Up albo opaska na oku. To mi rujnuje całą rozgrywkę.

- Właśnie o to im chodzi - podchwycił Monk.

- Uważasz, że ten człowiek wyjął sobie oko, żeby rozproszyć twoją uwagę i działać mi na nerwy?

- To prawnik. Prawnicy to, ho, ho, szczone lisy. Kto wie, jak daleko może się posunąć, by obronić kochankę przed zarzutem morderstwa.

- Nikogo nie zamordowałam i nie jesteśmy kochankami - zaprotestowała Arianna Stipe.



- To dlaczego pani balsam do ust i krem do rąk leżą na szafce nocnej po jednej stronie łóżka, a na szafce po przeciwnej stronie leży przyssawka i woda utleniona do wyjmowania i obmywania akrylowego oka, którego akurat teraz ten pan postanowił nie używać? — zapytał Monk.

Odwróciliśmy się wszyscy, by spojrzeć na łóżko. Nie miałam pojęcia, jak Monk zauważył to wszystko zza pleców Stottlemeyera.

- Pani Stipe jest osobą rozwiedzioną - powiedział oburzony Howard. - To, z kim sypia, nie ma znaczenia dla prowadzonego śledztwa.

- Ale ma znaczenie, że kłamie, jak również to, że postanowił pan wyjąć oko i założyć opaskę tylko po to, żeby mnie zdenerwować - dowodził Monk. - Co państwo ukrywacie?

- W czasie popełnienia morderstwa oboje byliśmy w samolocie - powiedziała Arianna. — To fakt nie z b i t y.

- Wciąż to pani powtarza. Do zabójstwa mogliście wynająć jakiegoś Snorka — rzucił Stottlemeyer.

- To absurdalne oskarżenie — oświadczył Howard. - Arianna nic by nie zyskała na śmierci Conrada.

- Tak się składa, że ja też od niedawna jestem rozwiedziony — powiedział Stottlemeyer. - Dopiero ostatnio uświadomiłem sobie, że jest jedna rzecz, o którą muszę jeszcze koniecznie zadbać.

- Co takiego? - zapytałam, by mu pomóc.

- Zmiana testamentu — odpowiedział Stottlemeyer i spojrzął na Ariannę. - Jeśli trafi mnie w pracy zabłąkana kulka, moja żona wciąż będzie jedyną spadkobierczynią, przeciwko czemu właściwie nic nie mam, ponieważ mamy dzieci, które będzie

musiała wychowywać. Państwo nie mieli dzieci, ale założyłam się, że pani były mąż nie zdążył zmienić testamentu. Zapewne nie widział takiej potrzeby, bo przecież cieszył się dobrym zdrowiem i planował sobie jeszcze trochę pożyć na tym bożym świecie. Rety, ciekawe, kto teraz, po jego śmierci, dostanie wszystkie pieniądze.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Arianna.

- Niech pani obróci się dziś w nocy w łóżku i zapyta o to swojego adwokata - poradził kapitan. - Jestem pewien, że będzie potrafił udzielić odpowiedzi.

- Nic więcej nie mów, Arianno - poradził Howard. - Nasza kurtuazyjna rozmowa dobiegła końca.

- W chwili, kiedy wreszcie stała się interesująca. Co za szkoda — stwierdził Stottlemeyer.

Wyszliśmy z pokoju, a Howard zatrzęsął za nami z hukiem drzwi. W korytarzu kapitan stanął przed Monkiem.

- Byłbyś spokojniejszy, gdyby zamiast opaski Egger miał sztuczne oko? - zapytał Stottlemeyer.

- Nie sądzę.

- Tak myślałem.

## 14

### Monk i sekrety brata

Kiedy zajechaliśmy pod dom, Ambrose czekał już na nas przed progiem. Wyglądał na bardzo zaniepokojonego.

- Powiedz, proszę, że prowadzisz śledztwo w sprawie śmierci Conrada Stipe'a - powiedział na przywitanie.

- Skąd wiesz?

- Nie wychodzę z domu, ale nie żyję w pustelni - odparł Ambrose. - Wiem, co się dzieje na świecie. W Internecie nie pisze się o niczym innym.

- Więc wiesz, kim był Conrad Stipe - stwierdził Monk.

- Oczywiście, że wiem. Jestem zdruzgotany. To był wielki człowiek, niepośledni myśliciel, prawdziwy wizjoner. Koniecznie musisz znaleźć jego zabójcę, Adrianie.

Monk spojrział na brata spod przymrużonych powiek.

- Nie chcesz mi czasem czegoś powiedzieć?

- Czego?

- Czegoś o swoim sekrecie? Niegodziwym drugim życiu?

- Nie mam żadnego drugiego życia - odparł Ambrose. - Niegodziwego czy nie godziwego.

- Nie nosisz gumowej trąby słoniowej, kiedy nikogo nie ma w domu?

- U mnie w domu nigdy nikogo nie ma - powiedział Ambrose. - I jeśli masz na myśli narząd węchowy pana Snorka, to wykazujesz się niebywałą indolencją, Adrianie. Być może z wyglądu przypomina trąbę słoniową, ale każdy wie, że anatomicznie różni się pod wieloma istotnymi względami.

- Zatem przyznajesz, że jesteś jednym z tych świrusowatych Ziemian - stwierdził Monk.

- Panie Monk... - zaczęłam, ale Ambrose wyciągnął rękę, aby mnie powstrzymać.

- Nic nie szkodzi, Natalie - powiedział, a potem odwrócił się do brata. - Wolimy, aby nas nazywano Ziemitami. Ziemianin to negatywne określenie, zwłaszcza jeśli użyte z epitetem „świrusowaty”.

- Ile lat ukrywałeś przede mną prawdę?

- Niczego przed tobą nie ukrywałem.

- Nigdy mi nie mówiłeś, że jesteś członkiem sekty.

- To nie jest żadna sekta - zaprzeczył Ambrose. - To grupa twórczych i otwartych ludzi, którym podoba się serial, którzy uwielbiają jego bohaterów i wyznają najczystsze ideały wyłożone w wizji przyszłości Conrada Stipe'a.

Monk pokiwał głową.

- Od jak dawna bierzesz kwas?

- Kwas? - zdziwił się Ambrose.

- Dobrze wiesz, o czym mówię. Dzieci kwiaty. Elektrolit. Purpurowa mgła. Żółte słoneczko. Budyń mamuni.

- Budyń mamuni? — Tym razem ja się zdziwiłam.

- Przecież słyszysz - odparł Monk. - Sok dżungli. Smutny wiwat. Łakocie szatana. Kostki lodu. Rakieta z Frisco. Spacer z brzydkim psem.

- Myślisz, że biorę LSD? - przerwał mu Ambrose i odwrócił się do mnie. - To skrót. Chodzi o diety-loamid kwasu d-lizergowego, nadzwyczaj silny ha-lucynogen.

- Dziękuję, że mnie pan oświecił — powiedziałam.

- Nie wiem już, co myśleć, Ambrose — powiedział Monk. - Bóg jedyny wie, w jakie inne niebywałe akty szaleństwa i deprawacji jesteś wplątany.

To właściwie w żaden sposób nie określiło zachowań, które w mniemaniu Mońka mogłyby wchodzić w grę. Monk był przekonany, że aktem deprawacji jest choćby spożywanie posiłku przy bufecie sałatkowym.

- Coś nie musi być złe tylko dlatego, że ty tego nie pojmujesz — odpowiedział Ambrose. — Nie ma nic niezgodnego z prawem, nic niemoralnego i nic wstydliwego w tym, że ktoś bawi się dziełem sztuki w każdym jego detalu i w całej rozciągłości i dzieli się tą radością z innymi.

- Jeśli to niewinna zabawa, dlaczego nic mi o niej nigdy nie powiedziałeś?

- Nigdy nie pytałeś.

- Teraz jednak się wydała twoja tajemnica.

- Moje zainteresowanie *Poza Ziemią* trudno nazwać tajemnicą - stwierdził Ambrose. - Napisałem dziesiątki książek na temat serialu, jego mitologii i powstałej wokół niego kultury. Wiedziałbyś to, gdybyś choć trochę się interesował moim życiem. Ale ono ciebie nie obchodzi, Adrianie. Nigdy cię nie obchodziło. Co ty o mnie wiesz?

- Teraz wiem, że jesteś świrusem — odpowiedział Monk.

- Ja też lubię *Poza Ziemią* — wtrąciłam się. — Czy to znaczy, że również jestem zdeprawowaną świruską?

- Mówisz językiem Dratchów?

- Nie.

Monk skinął na Ambrose'a.

- On mówi. To fikcyjny język.

- Już nie - zaproponował Ambrose. - Językiem Dratchów mówią dzisiaj setki ludzi, więcej niż sanskrytem. Gdybyś choć trochę wiedział o *Poza Ziemią*, o tym, ile ten serial dla mnie znaczy, nie traktowałbyś go z taką pogardą.

- To tylko program telewizyjny - powiedział Monk.

- Dla mnie to coś znacznie więcej - odpowiedział Ambrose.

- Jak to możliwe?

- Rozejrzyj się, Adrianie. To mój świat. Ściany tego domu. *Poza Ziemią* zabiera mnie do dalekiej galaktyki przygód i cudów, na odległe planety zamieszkałe przez fascynujące kultury i zadziwiające stwory. Dzięki Conradowi Stipe'owi mogłem podróżować w miejsca, o których mi się nawet nie śniło.

- Nigdzie nie podróżowałeś - zaprzeczył Monk. - To nie jest prawdziwe. To czysta fikcja.

- Ideały nie są fikcją — odpowiedział Ambrose. - Nasza społeczność również nie. Dzięki *Poza Ziemią* mam wielu przyjaciół. Stale ze mną rozmawiają. Czytają książki. Zajmują w moim życiu więcej miejsca niż ty. Jak możesz mówić, że nie są prawdziwi? Dla mnie są bardzo prawdziwi.

- Powinieneś częściej wychodzić z domu — po wiedział Monk.

Ambrose odwrócił się i wyszedł do kuchni, trzaskając za sobą drzwiami. Spojrzałam na Mońka. On spojrzał na mnie.

- Co? - Wzruszył ramionami.

- Nie uważa pan, że zbyt surowo potraktował pan swojego brata?

- Jest jednym z tych ludzi, Natalie. Na pewno siedzi teraz w kuchni, pije 7-Up i umawia się telefonicznie na operację plastyczną. Kiedy zobaczymy go następnym razem, będzie miał spiczaste uszy.

- To pana brat.

- To właśnie jest najbardziej wstrząsające. Jak to możliwe, abyśmy dorastali razem w tym domu i wyrosli na tak odmiennych ludzi?

- Ambrose jest bardzo sympatycznym, wrażliwym człowiekiem - powiedziałam. — Co z tego, że trochę się zatraci w jakimś programie telewizyjnym? Jest sam jak palec. Naprawdę wini go pan za to, że ma tak bogatą wyobraźnię? Nie wygląda na to, aby miał tu z kim porozmawiać.

- Dom ma drzwi — stwierdził Monk. — Nie ma problemu, by przez nie wyszedł na zewnątrz.

- Gdyby to były obrotowe drzwi, pan również stałby się więźniem w tym domu.

- Nikt nie montuje obrotowych drzwi we własnym domu.

- Pan zdaje się nie rozumieć sensu mojej wypowiedzi.

- Bo nie było w niej żadnego sensu.

Westchnęłam ciężko i postanowiłam podejść do sprawy z innej strony.

— Kiedy ostatnim razem dzwonił pan do Ambrose'a?  
— Nie korzystam często z telefonu - powiedział Monk. — Nie jest bezpieczny.

— Telefon jest jak najbardziej bezpieczny, panie Monk.

— Nigdy nie słyszałaś o chorobach przenoszonych drogą komunikowania się między ludźmi? — Monk poruszył niezgrabnie ramionami. — Telefony. Tam właśnie komunikacja bierze swój początek.

— No dobrze — powiedziałam, opierając się nieodpartej chęci uduszenia go gołymi rękami. - Kiedy po raz ostatni czytał pan jego książki?

— Jakoś nigdy nie musiałem składać domku dla lalek, naprawiać zmywarki ani uczyć się mówić w fikcyjnym języku, którym posługują się tylko świrusy.

— Naprawdę wolałabym, żeby przestał pan tak mówić o własnym bracie - powiedziałam.

— Dlaczego masz spuszczone ręce i zaciskasz pięści? — zainteresował się Monk.

— To nieważne. Ambrose to wszechstronny i uzdolniony pisarz, o czym świetnie by pan wiedział, gdyby przeczytał pan choć jedną z jego książek. Ja przeczytałam ich mnóstwo. On ma prawdziwy talent, panie Monk. Potrafi znakomicie objaśniać, dzięki czemu łatwo zrozumieć najbardziej zawile koncepty i zadania. W pewnym sensie jest taki jak pan.

— Nie bardzo widzę, w którym miejscu.

— Instalacja nowego programu komputerowego lub podłączenie elementu domowej wieży stereo wielu ludziom wydaje się zadaniem równie zagadkowym i trudnym jak rozwikłanie morderstwa. Ale



Ambrose potrafi im tę tajemnicę rozjaśnić. Być może potrafi pomóc również panu.

- Ambrose nie ma bladego pojęcia, czym jest śledztwo w sprawie zabójstwa.

- Ale wie wszystko o *Poza Ziemią*, a pan nie - powiedziałam. - Być może uniknie pan konieczności spędzenia więcej czasu na zlocie. Poza tym Conrad Stipe wiele dla niego znaczył i pomoc w rozwikłaniu sprawy tego morderstwa pozwoli mu znieść ten ból z bardziej pozytywnym nastawieniem do życia. Oboje wiemy, jakie to ważne.

- To bez sensu. Śledztwo jest prowadzone tam. — Monk kiwnął głową w kierunku drzwi wyjściowych. — Ambrose nigdy nie wyjdzie z domu.

- Więc ściągajmy śledztwo do niego. — Sięgnęłam do torebki i wyciągnęłam płytę DVD, którą dał mi Disher. - Możemy zacząć od tego.

- Nie wiem — powiedział powątpiewająco.

Rzuciłam w niego płytą. Uderzyła go w sam środek klatki piersiowej. Monk starał się ją pochwycić niezdarnie i złapał w ostatniej chwili, zanim spadła na podłogę.

- Bolało - powiedział, rozcierając sobie pierś.

- To dobrze — odparłam. - Zaczynałam już myśleć, że pan nic nie czuje.

Dostrzegł moje gniewne spojrzenie i bez słowa poczłapał w kierunku kuchni.

Powolutku otworzył drzwi. Ambrose siedział przy stole, spryskiwał lizolem butelkę lizolu i polerował ją papierowym ręcznikiem. Nigdy dotąd nie widziałam, aby ktoś dezynfekował środki dezynfekujące.

- Małe sprzątanie? — zapytał Monk.

- Cóż, ja nie mam asystentki — odpowiedział Ambrose. - Nie wszyscy możemy się pławić w luksusach.

- Przydałaby nam się twoja pomoc - wymamrotał cicho Monk.
- Mówiłeś coś, Adrianie?
- Monk chrząknął głośno.
- Przydałaby mi się twoja ekspertyza w sprawie zabójstwa Stipe'a.
- Nie wstydzisz się mnie?
- Nie wstydzę się ciebie, Ambrose - odpowiedział Monk. - Ale musisz mi obiecać, że nie będziesz nosił trąby słoniowej w miejscach publicznych.
- Nigdy się nie pojawiam w miejscach publicznych.
- W takim razie zgoda — powiedział Monk.
- Chętnie pomogę.
- Mimo że Conrad Stipe się sprzedał, a Kingston Mills „przeobraża” wszystko w *Poza Ziemią*?
- Nowy serial wcale mnie nie cieszy, ale z drugiej strony nie jest on niczym więcej niż tylko nowym filmem o tym samym tytule. Zaczynają od początku, nie kontynuują historii w momencie, w którym się kończy poprzedni serial, zatrudnili nowych aktorów. Tak więc niewiele to zmienia. Oryginalne odcinki wciąż można oglądać. Zawsze będzie można.
- Nie byłeś zły na Stipe'a? - zapytał Monk.
- Jestem pewien, że miał swoje powody, kiedy udzielał wytwórni i Kingstonowi Millsowi pozwolenia na nową produkcję - odpowiedział Ambrose. - Kim jestem, by go osądzać?
- Myślę, że może pan należeć do mniejszości - zauważyłam.
- Wręcz przeciwnie - powiedział Ambrose. — Większość fanów ucieszy wznowienie serialu w każdej formie, ponieważ w ten sposób wróci zainteresowanie oryginalną wersją. Galaktyczne powstanie

wspiera tylko margines. Musisz pamiętać, że wielu fanów bezwzględnie sprzeciwiało się animowanej wersji *Poza Ziemią*, a dzisiaj to już kanon.

- Kanon?

- Część oficjalnej mitologii *Poza Ziemią* i oficjalnego kalendarium wydarzeń serialu.

- Kto decyduje, co jest oficjalne, a co nie jest? - zapytał Monk.

- To wypływało z konsensusu uzyskanego między fanami, ekspertami i oczywiście Conradem Stipe'em.

Przeszliśmy do małego salonu. Usiadłam obok Ambrose'a na kanapie przed telewizorem. Na stoliku do kawy leżał komplet wszystkich odcinków *Poza Ziemią* i pudełko papierowych chusteczek do nosa. Domyśliłam się, że Ambrose odbył mały maraton serialowy na cześć Stipe'a.

Monk zaczął od wyjaśniania wszystkiego, co wie, i kim są nasi podejrzani.

- Na tym etapie śledztwa podejrzewamy, że Stipe'a zamordował albo zawiedziony fan, albo zawiedziona była żona. Nie dysponujemy jednak żadnymi dowodami poza nagraniem z czterech różnych kamer przemysłowych zainstalowanych wokół parkingu i centrum konferencyjnego hotelu San Francisco Airporter Motor Inn.

Monk włożył płytę do odtwarzacza i zawahał się, zanim na pilocie nacisnął przycisk PLAY.

- Za chwilę zobaczysz prawdziwe morderstwo, Ambrose. Tu nie ma gry aktorskiej. To się dzieło naprawdę - uprzedził Monk. - Jesteś pewien, że wytrzymasz?

Ambrose zagryzł wargi i przytaknął. Monk wcisnął PLAY.

Choć widziałam to nagranie i doskonale wiedziałam, co zobaczę, to wciąż było dla mnie potworne i uderzało okrutną przemocą. Ekran był podzielony na cztery ćwiartki, w każdej można było obejrzeć śmierć z odmiennej perspektywy.

Podjeżdża taksówka. Stipe wysiada. Zza kontenera na śmieci wychodzi pan Snork, strzela w pierś i ucieka do sali konferencyjnej.

Tym razem całą uwagę skupiłam na ćwiartce monitora, na której widać było twarz Conrada Stipe<sup>^</sup>, a na niej uporne pomieszenie szoku i niedowierzania, jakiegoś głębokiego smutku, gdy padał na kolana, aż w końcu runął na ziemię jak kłoda, martwy.

Spojrzelśmy z Monkiem na Ambrose'a. W oczach zbierały mu się łzy.

- Przepraszam - wychrypiał cicho, a potem wstał i wyszedł pośpiesznie z pokoju.

Monk spojrzał na mnie gniewnym wzrokiem.

- Zadowolona?

- Oczywiście, że nie, panie Monk - odpowiedziałam.

- To był twój pomysł - przypomniał. - Jedyne, co nam się udało osiągnąć, to przygnębić go jeszcze bardziej.

- Sądziłam, że to może mu pomóc.

- Oglądanie, jak zostaje zastrzelony ktoś, kogo się uwielbia? - zdziwił się Monk. - Po co ja ciebie w ogóle słuchałem? To był błąd, Natalie. Duży, duży błąd.

Musiałam przyznać mu rację. Czulałam się okropnie. Monk pochylił się, wyjął płytę z odtwarzacza i schował ją do etui. W tej samej chwili wrócił Ambrose.

- Co robisz, Adrianie? - zapytał.
- Wystarczy — powiedział Monk. — Powinienem był to przewidzieć. Przykro mi, że musiałeś to oglądać.
- Mnie też przykro — powiedział Ambrose, siadając znowu obok mnie na kanapie. - Puść to jeszcze raz.
- Chyba nie mówisz poważnie?  
Ja również byłam zaskoczona.
- Muszę to zobaczyć jeszcze raz, Adrianie. Za pierwszym razem ovladnęły mną emocje i szok. Teraz zapewne też tak będzie, ale będę to nagranie oglądał dopóty, dopóki nie zapadnie mi w pamięć każdy, nawet najdrobniejszy szczegół.  
Położyłam dłoń na kolanie Ambrose'a.
- Nie musi pan tego robić.
- Tak, Natalie. Muszę. Na nagraniu jest zabójca. Złapiemy go.

## Monk i drobne szczegóły

Za każdym razem kiedy oglądaliśmy nagranie, usi-  
łowałam się skoncentrować na wydarzeniach roz-  
grywających się na jednej z czterech ćwiartek ekranu,  
ale nie potrafiłam się powstrzymać od zerkania na  
pozostałe.

Oglądaliśmy zabójstwo raz po raz, bez słowa ko-  
mentarza. Gdy nagranie dobiegało końca, Ambrose albo  
Monk mówili: „Jeszcze raz” i któryś z nich znowu  
wciskał na pilocie przycisk PLAY.

Im więcej razy Ambrose oglądał nagranie, tym mniej  
emocji po sobie okazywał, a w końcu siedział tylko na  
skraju kanapy zapatrzony w ekran jak Monk. Doskonale  
widziałam teraz ich rodzinne podobieństwo i tę samą  
intensywność koncentracji.

W końcu Monk poruszył niezgrabnie ramionami i  
przechylił niezdarnie głowę w jedną i drugą stronę,  
jakby próbował rozsypać ten swój psychosomatyczny  
węzeł w karku, odzwierciedlający jakąś skazę w jego  
toku myślenia, jakiś fragment informacji, który nie  
chciał mu pasować do całości.

—To jest kompletnie bez sensu. - Zatrzymał ob-  
raz w chwili, kiedy pan Snork podnosi pistolet i lada  
moment ma pociągnąć za spust.

- Dla mnie to proste - powiedziałam. - Ktoś

strzela z pistoletu i już. Bywały o wiele trudniejsze sprawy.

- Ale spójrz na pana Snorka, gdy strzela do Stipe'a...  
- zaczął Monk.

- To nie jest pan Snork - przerwał mu Ambrose.

- To ktoś przebrany za Snorka, ale dla ułatwienia nazwijmy go po prostu panem Snorkiem.

- Pan Snork nigdy nie pogwałciłby „Kosmicznych przykazań stosunków międzyplanetarnych” - upierał się Ambrose. - On sam je stworzył.

- Oczywiście, że nie jest to pan Snork, bohater serialu. Mówię, że to ktoś za niego przebrany - powiedział Monk. — Pojawia się nagle i bez wahania strzela Stipe'owi w serce.

- Hańbi mundur — mruknął ponuro Ambrose.

- Pan Snork nie zastanawia się, nie celuje, strzał jest doskonały - ciągnął Monk, nie słuchając Ambrose^.

- Może to myśliwy — podesunęłam. — Albo ktoś, kto ćwiczy strzelanie do celu.

- Mundur. — Ambrose wskazał palcem ekran. — Popatrzcie tylko na ten konfederacki mundur.

Monk pokiwał głową z powątpiewaniem.

- To nie to samo co strzelanie do człowieka. On nawet nie mrugnął na widok przelanej krwi ani na odgłos wystrzału. Zupełnie jakby robił to już tysiące razy.

- Ma pomarańczową koszulę ze srebrnym symbolem rozchodzących się promieni światła - zauważył Ambrose, wstając z kanapy i podchodząc do monitora. - To strój z pierwszego sezonu.

- Jeśli jednak był to jakiś rozsierdzony fan, to gdzie jego emocje? — ciągnął Monk. - Dlaczego jest taki spokojny?

—Adrianie.— Ambrose postukał palcem w ekran. - On ma na sobie koszulę z pierwszego sezonu.

—I co z tego? — rzucił oschle Monk.

—Tymczasem uszy ma z sezonu drugiego - oznajmił Ambrose znaczącym głosem. - Dobrze się przyjrzyj. To widać gołym okiem. Co za kretyn ze mnie, że od razu nie zauważyłem.

—Jest jeszcze jedna rzecz - mówił Monk. -Tutaj widzimy pana Snorka jak na dłoni. Jestem pewny, że w San Francisco znajdują się setki rozmaitych miejsc, w których Snork mógłby zamordować Stipe'a, nie narażając się na to, że zobaczy go jakiś świadek lub zarejestrują kamery przemysłowe. Tymczasem wybrał miejsce, w którym jest doskonale widoczny, nie tylko przez jedną kamerę, ale nawet cztery! Zupełnie jakby chciał być pewny, że będzie dobrze widziany. Dlaczego morderca chciałby podjąć takie szalone ryzyko?

—Żeby dać nam coś do zrozumienia - powiedziałam. — To miałyby sens, jeśliby rzeczywiście był członkiem powstania galaktycznego.

—Lub jeśli Arianna Stipe chciałaby, abyśmy tak pomyśleli - dodał Monk. - Tak czy siak, zabójca jest idealnie zamaskowany.

—Właśnie w tym sęk, Adrianie. Wcale nie idealnie. Absolutnie nie tak jak trzeba - gorączkował się Ambrose. - W sezonie drugim sieć telewizyjna zażądała od producentów, aby Snork miał mniej spiczaste uszy. Obawiali się, że wygląda zbyt antypatycznie i budzi strach. Domagali się nawet od Stipe'a, żeby zmienił je na uszy szczeniaka, bo wówczas, ich zdaniem, Snork byłby sympatyczniejszy. Ale na to Stipe się nie zgodził. Modyfikację uszu wytłumaczono na ekranie rzadką chorobą, na którą zapadł pan Snork.



- To bardzo ciekawa historia, Ambrose, jeśli człowiek nie ma życia i nie wychodzi z domu -stwierdził Monk. - Poza tym jest bez znaczenia dla naszej sprawy.

- Jest jeszcze coś... - zaczął Ambrose.

- Proszę, Boże, nie - jęknął Monk, pocierając skronie.

To mi nagle przypomniało, jak wyglądał Stottlemeyer przez większość czasu, gdy przychodziło mu przebywać z Monkiem. I zapewne ja również. Ta chwila była czymś więcej niż małą poetycką sprawiedliwością dziejową i chętnie się nią delektowałam.

- W drugim sezonie insygnia konfederackie znajdowały się na złotym mundurze, a nie na srebrnym — ciągnął Ambrose. — Nieustannie trwa dyskusja, dlaczego podjęto właśnie taką decyzję, ale nigdy się nie pojawiły żadne przekonujące powody. Niestety, nie ma żadnej dokumentacji, a ludzka pamięć okazuje się zawodna.

- Co to wszystko ma do rzeczy? — zniecierpliwił się Monk.

- Zabójca ma mundur z pierwszego sezonu, a uszy z drugiego! - zawołał Ambrose. - Czy ty mnie choć trochę słuchasz?

- Nie, chyba niezupełnie - odpowiedział Monk. -To jest śledztwo w sprawie morderstwa. Zajmujemy się przede wszystkim hierarchizacją wagi informacji. Nie można sobie pozwolić, aby rozpraszały człowieka błahsze detale, które nie mają nic wspólnego ze sprawą.

Postanowiłam, że zapamiętam sobie tę uwagę i wykorzystam ją następnym razem, gdy Monk będzie się domagał od Stottlemeyera albo Dishera,

żeby przerwali pracę i dodali kłębki zmechaconych nitek do kieszeni ofiary.

- Żaden z członków powstania galaktycznego nigdy nie popełniłby takiego błędu - oświadczył Ambrose. - Za dobrze znają i za wysoko sobie cenią *Poza Ziemią*, dlatego tak zaciekle walczą przeciwko nowej wersji. Z całą też pewnością Arianna Stipe, była żona twórcy serialu, nie dopuściłaby do tego, aby ktoś, nawet wynajęty zabójca, miał na sobie mundur nie pasujący do uszu. Zabójca pogwałcił kanon, posunął się stanowczo za daleko.

- Kogo to obchodzi?

- Mnie - stwierdził Ambrose. - Każdego Ziemite.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę, co mówisz, Ambrose? Obsesyjnie czepiasz się absurdalnych rzeczy, które nie mają żadnego znaczenia. Bierz przykład ze mnie i koncentruj się na tym, co jest istotne. Hierarchizacja informacji. Tylko tak się rozwiązuje zagadki kryminalne.

- Ja tylko mówię, Adrianie, że mundur jest z sezonu pierwszego, a uszy z sezonu drugiego - powtórzył Ambrose. - To jest nie byle co.

- Myślę, że na dzisiaj skończymy - westchnął Monk, wyłączając telewizor i wyjmując płytę z odtwarzacza. - Może jutro kapitan będzie miał dla nas więcej informacji, nad którymi trzeba będzie popracować.

- Dzięki za pomoc, Ambrose - powiedziała czułym głosem, próbując załagodzić całą sytuację.

- Zrobiłem, co mogłem — odpowiedział Ambrose, a potem spojrzął spode łba na Mońka. -Ale on jest taki uparty. Dobranoc, Natalie.

Ambrose odszedł, a Monk odprowadził go wzrokiem i pokiwał smętnie głową.

- Jakie to smutne — powiedział. — Wyobraź sobie, że przez całe życie przywiązujesz wielką wagę do drobnych, nieistotnych rzeczy.

Spojrzałam Monkowi prosto w oczy.

- Pan oczywiście jest zupełnie inny, prawda?

- Tak. To dlatego, że jestem człowiekiem obytym w świecie - odparł. - Ambrose jest obyty tylko w domu.

Wróciłam do siebie zbyt wyczerpana długim i ciężkim dniem, by zrobić coś bardziej pożytecznego, niż zanurzyć się w gorącej kąpieli z pianką. Woda była ciepła, przyjemna, relaksująca, ale nie mogłam się pozbyć uczucia, że marnuję wolne od macierzyńskich obowiązków chwile wakacji. Powinnam robić w tym czasie coś naprawdę ekscytującego, pasjonującego i radosnego, coś, czego nie mogę robić w zwykły wieczór, gdy jestem w domu z córką.

Tymczasem bawiłam się mydlinami w wannie i rozmyślałam nad tym, dlaczego ktoś postanowił strzelać trzy razy do martwego człowieka, dlaczego ktoś przebiera się za postać z serialu telewizyjnego i zabija człowieka w obiektywach kamer przemysłowych i dlaczego bracia Monkowie są tak nieprawdopodobnie pokręceni?

Oczywiście nie potrafiłam znaleźć odpowiedzi na żadne z tych pytań, ale z drugiej strony nie umiałam też przestać o nich myśleć. Były nieodparcie wciągające.

Pierwsze miejsce na scenie moich myśli zajęło pytanie najbliższe mojemu sercu. Pytanie o Mońków. Wiedziałam, że pozostałe dwie zagadki znajdą w końcu swoje rozwiązanie, ale tajemnica Mońków

była czymś, nad czym psychologowie mogliby debatować dziesiątkami lat i do niczego by nie doszli.

Braci wychowywała chłodna i despotyczna kobieta, od której szybko uciekł ojciec chłopców. Mama nigdy nie okazywała synom głębszych uczuć i nigdy nie uczyła ich, jak sobie radzić w najprostszych sytuacjach społecznych.

Nic więc dziwnego, że w chłopcach rozwinęły się psychiczne słabości, podcinające im skrzydła. Monk miał zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Każda rzecz musiała pasować do jego subiektywnego poczucia ładu. Z kolei jego brat cierpiał na agorafobię, nie potrafił sobie radzić z niczym, co znajdowało się poza pieczołowicie porządkowanym przez niego środowiskiem.

Obaj tkwili w swoich światach jak w pułapkach, światach, które sami stworzyli i których zasad surowo przestrzegali, nawet jeśli miało to odstręczać wszystkich dookoła.

W moich oczach było to smutne nie do zniesienia.

Jednocześnie obaj byli przemili, uczciwi i zdumiewająco inteligentni. Obaj potrafili dostrzec detal pozwalający im z niezwykłą jasnością widzieć rzeczy, które dla reszty ludzi pozostawały nieprzeniknione, zagmatwane i niemożliwe do pojęcia. Umieeli dostrzec mechanizm działania rozmaitych spraw i wyjaśnić go w taki sposób, aby inni także potrafili go zobaczyć.

Jak lubił mówić Monk, był to ich dar i przekleństwo. Była to także ich tragedia i tajemnica.

Im więcej nad tym myślałam, tym bardziej się zastanawiałam nad panią Monk. Kim była? Jak wyglądała jej dzieciństwo? Jakie nadzieje i marzenia

więzała ze swoimi synami i czy udało im się je zrealizować?

Wydała mi się fascynująca prawdopodobnie dlatego, że sama byłam matką i nawet jeśli chciałam mieć dla siebie więcej wolnego czasu, to tęskniłam za córką, a moje myśli zawsze wokół niej krążyły. Rozmyślając o pani Monk i jej synach, myślałam jednocześnie o Julie, choć nie wprost.

Mam przekonanie, że nasze dzieci stanowią odbicie nas samych i podoba nam się to, choć chcielibyśmy, aby przejmowały nasze najlepsze cechy i wartości, a unikały naszych wad i słabości. Chcemy, aby ich życie było lepsze niż nasze. Chcemy też, aby rozwinęły w sobie własną, niepowtarzalną osobowość, różną od naszej, i aby potrafiły w pełni zgłębić cały jej potencjał.

Wciąż pamiętam, jak Julie pierwszy raz wyraziła własną opinię. Miała cztery, może pięć lat. Wskazała palcem jakąś kobietę na ulicy i powiedziała: „Brzydka sukienka”. Byłam zaskoczona, głównie dlatego, że wydawało mi się, iż sukienka była wyjątkowo ładna. Tak też jej powiedziałam. Pokręciła główką i powtórzyła tylko: „Brzydka”. Julie spojrzała na coś, oceniła to względem własnych wartości i smaku i uznała to za mało atrakcyjne. Względem jej wartości i smaku. Nie moich. Jej.

Oho! W tej jednej chwili przestała być wyłącznie moim słodkim bobaskiem. Stała się osobą. Uściskałam ją z całych sił i obsypałam całusami. Potem Julie do końca dnia mówiła, że coś jest brzydkie, byle znowu przyciągnąć moją uwagę.

Jest to zapewne jakaś lekcja, ale to mało ważne. Skupmy się na Mońkach.

Nie potrafiłam zrozumieć, jak panią Monk mo-

gła cieszyć społeczną izolacją synów, która się zaczęła, jak wiem, gdy byli jeszcze dziećmi. Widziałam parę ich rodzinnych filmów. To bodaj najsmutniejsze chwile uchwycone kiedykolwiek na taśmie filmowej.

Pragnęłam, aby Julie była szczęśliwa i wolna. Z całą pewnością nie chciałam, aby była samotna, aby była odszczepieńcem. Marzyłam, aby miała bogate życie, pełne rodziny i przyjaciół.

Miała dopiero dwanaście lat, ale już teraz widziałam, że o tę stronę życia nie muszę się martwić. Julie miała mnóstwo przyjaciół i znakomicie potrafiła funkcjonować w społeczeństwie, w każdym razie w bezzwłędnym społeczeństwie siódmoklasistów.

Miałam jednak wrażenie, że nie tego chciała dla swoich dwóch synów pani Monk. Może tak się bała o ich bezpieczeństwo, że stała się nadopiekuńcza i nakłaniała ich do życia we własnym, uporządkowanym przez nich świecie, który z założenia miał być niegościnnie dla obcych? Świecie, który był dla nich w pełni bezpieczny, ponieważ nie było w nim nikogo poza nimi?

Jak mówiłam, nie znam odpowiedzi na te pytania. Ale jest się nad czym zastanawiać. Kiedy doszłam wreszcie do tego ostatecznego wniosku, pianka mydlin dawno już znikła, a woda stała się nieprzyjemnie chłodna. Wytarłam się szybko, natarłam skórę kremem i w błogim nastroju weszłam do łóżka. Zasnęłam, gdy tylko złożyłam głowę na poduszce.

Nie pamiętam dobrze, co mi się tej nocy śniło, poza tym, że w pewnej chwili znalazłam się wewnątrz pomieszczenia z błyszczącej nierdzewnej

stali, w którym składałam skarpetki w pary, a przez małe okienko w drzwiach obserwował mnie Skuter. Nie słyszałam, co mówi, ale doskonale mogłam to odczytać z ruchu jego ust.

„Potrzebujesz dla siebie zbyt wiele”, powtarzał w kółko.

## Monk i sesja

Kapitan Stottlemeyer miał rację. Kiedy rano przy śniadaniu włączyłam telewizor, zobaczyłam pana Snorka celującego z pistoletu w Conrada Stipe'a. Stacja miała przynajmniej na tyle wyczucia, by nie pokazywać samego morderstwa, ale mimo to film był wstrząsający. Jego treść się nie zmieniła, ale zmienił się kontekst, dlatego nagranie poruszało w zupełnie inny sposób. Oglądałam je teraz w przygotowanym wcześniej materiale reporterskim, poddanym wyrafinowanemu montażowi i wzbogaconym dramatyczną grafiką. Stacja emitowała materiał raz po raz, w cynicznie wykalkulowanym celu utrzymania widzów w ciągłym napięciu. Najgorsze było to, że cel ten prawdopodobnie osiągała.

Trudno było mi przełknąć słodką bułeczkę. Straciłam apetyt.

Po materiale nadawano relację na żywo sprzed kostnicy, gdzie tłum oddanych wielbicieli serialu czuwał z zapalonymi świeczkami w dłoniach. Jeden z nich, otyły mężczyzna po czterdziestce, w przyciasnym kostiumie, z trąbą pana Snorka bujającą się smętnie między pulchnymi policzkami, tłumaczył rozgorączkowanej reporterce, Mindy Drake, cel zgromadzenia się fanów.

- Czekamy, by powstał - oświadczył grubas.



Mindy popatrzyła na niego z głupim wyrazem twarzy, ale widziałam kiedyś, jak równie głupio patrzyła na meteorologa, który zapowiadał deszcz.

- Jak Jezus? - zapytała.

- Nie, oczywiście, że nie - odpowiedział fan. — Jak Starella, kiedy się odrodziła na Tryptonii.

- Ale my nie jesteśmy na Tryptonii - powiedziała reporterka. — Tylko na Ziemi.

- Tryptonia to Ziemia w równoległym świecie - wyjaśnił fan.

- Och! — powiedziała Mindy z całą powagą. — Nie wiedziałam.

Nie wiedziała też, że stolicą Kalifornii jest Sacramento. Dokonała tego odkrycia, kiedy podczas „Festiwalu begonii” w Capitoli ogłosiła przed kamerami, że nadaje na żywo ze stolicy stanu.

- Conrad Stipe postanowił opowiedzieć nam o tym w fikcyjnym kontekście, ponieważ społeczeństwo nie było gotowe na poznanie prawdy - tłumaczył dalej mężczyzna. - Mógł tego dokonać, bo duchowo i twórczo żył na obu planetach, na tej Ziemi równoległej i na naszej. Tak więc Stipe z tamtej planety przemieści się tutaj i ożywi jego cielesną powłokę, aby mógł kontynuować swoje wielkie dzieło. Tak samo było ze Starella w najważniejszym odcinku.

- Skąd pan będzie wiedział, że to już się stało?

- Najlepszym dowodem będzie Conrad Stipe, który wyjdzie do nas przez te drzwi.

Reporterka odwróciła się do obiektywu.

- Kiedy pojawi się pan Stipe, my też tu będziemy my razem z państwem.

Powiedziała to bez cienia ironii.

Po relacji na żywo pojawił się w telewizji nagra-

ny wcześniej wywiad z producentem Kingstonem Millsem, który siedział na tle plakatu *Poza Ziemią*.

Powiedział, że „branża straciła giganta, prawdziwego pioniera”, a on stracił „kolegę, serdecznego przyjaciela i mentora dającego natchnienie”.

Mills otarł łzę, a potem przypomniał widzom, aby oglądali przeobrażony serial *Poza Ziemią*, bo będzie to najlepszy sposób na uczczenie pamięci Conrada Stipe'a i jego życia, które było „pasmem wielkich osiągnięć”.

Miałam ochotę wyrzucić telewizor przez okno, ale przypomniałam sobie, ile kosztowałby mnie nowy, więc postanowiłam wybrać o wiele tańsze rozwiązanie i po prostu go wyłączyłam.

Kiedy podjeżdżałam pod dom Ambrose'a, zaczęłam się zastanawiać, czy to czasem nie Mills zamordował Conrada Stipe'a, żeby niecznie przypisać sobie zasługi za nowy serial i zrobić sobie krótko przed premierą gigantyczną reklamę. Im więcej o tym myślałam, tym bardziej wydawało mi się to chore i tym bardziej możliwe. Być może za dużo mam do czynienia z morderstwami w ostatnich latach.

Podbiegłam do domu Ambrose'a, pragnąc jak najszybciej podzielić się swoją hipotezą z Monkiem. Zapukałam do drzwi. Otworzył mi Ambrose, wymamrotał szybkie „Witaj”, odwrócił się i popędził z powrotem do jadalni. Robił wrażenie wymęczonego i kompletnie rozkojarzonego.

Poszłam za nim i to, co zobaczyłam, przeszło moje najśmielsze oczekiwania. Ambrose wziął taśmy z kamer przemysłowych, zapisał je cyfrowo, powiększył kilka klatek, na których widnieje zabójca, i wydrukował jego ujęcia. Następnie oprawił zdjęcia w antyramy i rozwiesił je z innymi powięk-

szonymi fotografiami, rysunkami mundurów konfederackich, insygniów i uszu pana Snorka. Połączył to wszystko jakimiś strzałeczkami i różnymi, wykonanymi ręcznie zapiskami.

Musiał nad tą prezentacją pracować przez całą noc.

- Co to jest? — zapytałam.

- Niepodważalny dowód na to, że zabójca miał koszulę z pierwszego sezonu, a uszy z drugiego.

- Nie wydaje mi się, by ktokolwiek podawał to w wątpliwość, Ambrose - powiedziałam.

- Owszem. Adrian.

- Wcale nie — zaproponował Monk, pojawiając się za moimi plecami. — Mówiłem tylko, że to nie ma znaczenia dla śledztwa.

- Ależ ma — upierał się Ambrose.

Wyciągnął wskaźnik i zaczął objaśniać.

- Mundur z sezonu pierwszego, który ma na sobie zabójca, został wymodelowany na podstawie projektu z pilota serialu i różni się od munduru, który się pojawia w następnych odcinkach, ponieważ projektant z pierwszej fazy produkcji dalej nie pracował. Najłatwiej zauważyć to przy nacięciu kołnierza i mankietów.

Monk potrząsnął głową.

- Nikogo to nie obchodzi.

- Ursulę Glemstadt obchodzi.

- Kto to jest Ursula Glemstadt? - zapytał Monk.

- Szyje i sprzedaje mundury konfederackie — wyjaśnił Ambrose. - Ona jedna jedyna wciąż się upiera, aby używać oryginalnych krojów z pilota serialu, dokładnie takich samych, co do szwu i niteczki.

- Uważasz, że to ona sprzedała kostium zabójcy? - zapytałam.

—Ja to wiem - podkreślił Ambrose. - Glemstadt ma stoisko na zlocie.

—To dobry trop, panie Monk - powiedziałam.

Monk westchnął i spojrzął na brata.

—Jak myślisz, ile mundurów przez te wszystkie lata uszyła i sprzedała pani Glemstadt? Osobiście czy na zamówienie przez Internet?

—Setki - odparł Ambrose.

—Zabójcą mógłby być każdy z jej klientów - stwierdził Monk. - To doprawdy żadna pomoc.

—Jeśli spojrzycie na wystrzępienia, a raczej na ich brak, na intensywność kolorów, sami przyznacie, że to nowiuteńki kostium, który nie był ani razu prany. Zabójca kupił go w ciągu paru ostatnich dni, podczas zlotu.

—Albo kupił go miesiące lub lata temu i włożył pierwszy raz w życiu.

—W każdym razie warto to sprawdzić - powiedziałam.

—Nie sądzę - odparł Monk.

—Przestudiowałem też uszy - powiedział Ambrose. - Wydaje mi się, że zawęziłem obszar zainteresowań do trzech możliwych szablonów i trzech warsztatów, które je wyrabiają.

Monk podniósł oczy do nieba.

—Rzeczywiście, wielka pomoc. Chodźmy, Natalie, bo spóźnimy się na spotkanie z doktorem Krogerem.

Ambrose zaczął zbierać antyramy.

—Czekaj. Nie weźmiecie ich?

—Po co?

—Pokażesz swoim kolegom na policji.

—Nie będą zainteresowani.

Monk odszedł, aleja została trochę z tyłu.

- Oczywiście, Ambrose, wezmę je. Kapitan Stottlemeyer na pewno doceni twoją ciężką pracę.

Ambrose uśmiechnął się z wdzięcznością i wręczył mi antyramy oraz jakąś szarą kopertę.

- Załączyłem list polecający ode mnie oraz informacje, jak się skontaktować z Ursulą Glemstadt i trzema warsztatami, gdzie produkują uszy. To powinno ułatwić detektywom pracę.

- Dziękuję, Ambrose. Dopilnuję, żeby wszystko trafiło w ręce kapitana.

Monk czekał na mnie w samochodzie z rękami założonymi na piersi. Patrzył krzywo, jak pakuję antyramy do bagażnika.

- Nie powinnaś mu dawać zachęty - powiedział.

- Dlaczego? Ambrose stara się pomóc, i tyle.

- Wzmacniasz w nim tylko absurdalną obsesję zwracania uwagi na nic nieznaczące detale — pouczył mnie Monk. — Jak on się nauczy funkcjonować w życiu, jeśli wciąż będzie się koncentrował wyłącznie na drobiazgach bez znaczenia. Ambrose musi się wyluzować na wielką skalę.

Zatrzymałam się i spojrzałam na Mońka, człowieka, który nie usiądzie przy stole z trzema krzesłami i który, idąc każdą ulicą, zlicza parkometry.

- Słyszał pan kiedyś takie przysłowie: „Przygarnął kocioł garnkowi, a sam smoli”? — zapytałam.

- To zdanie pozbawione sensu. Kotły to przedmioty nieożywione, które nie mówią, a jeśli nawet, to dlaczego miałyby rozmawiać z garnkami?

Pokręciłam głową i usiadłam za kierownicą. W drodze do gabinetu psychiatry przedstawiłam Monkowi hipotezę dotyczącą Kingstona Millsa i motywu, który mógłby go nakłonić do zamordowania Stipe'a.

- Może coś w tym jest - powiedział Monk.  
Bardzo mi to schlebilo.
- Naprawdę pan tak myśli?
- Nie - odparł Monk.
- To dlaczego pan tak powiedział?
- Co powiedziałem?
- Że może coś w tym jest.
- Może jest - powiedział Monk. - Mówiąc tak, myślę oczywiście, że za diabła nic w tym nie ma.
- To dlaczego nie powie pan po prostu, że nic w tym nie ma?
- Nie chcę się okazać niewrażliwy.
- Ale nie ma pan problemu, żeby człowiekowi bez oka kazać szukać swojej gałki ocznej, a własnego brata nazwać świrusem odurzonym narkotykami.
- Gdzie tu brak wrażliwości? - zdziwił się Monk.

Spojrzałam na niego z ukosa, chcąc sprawdzić, czy nie żartuje, ale przypomniałam sobie, że Monk jest pozbawiony poczucia humoru. Mówił najzupełniej poważnie. Jak zawsze.

Przed gabinetem doktora Krogera stanęliśmy dokładnie cztery minuty przed czasem. Zawsze przyjeżdżamy osiem albo dziesięć minut wcześniej i czekamy na zewnątrz, aż będą cztery minuty przed godziną spotkania, i dopiero wtedy wchodzimy do środka.

Doktor Kroger był eleganckim, wysportowanym mężczyzną po pięćdziesiątce, jak Brandon Lorber, i miał opalenizną golfisty. Nie mam pojęcia, czy rzeczywiście grywał w golfa, ale wyglądał na kogoś, kto dużo gra.

Doktor Kroger miał niezmiennie spokojne oblicze, co, jak przypuszczam, było cechą niezbędną

w jego profesji. Jeśli jednak człowiek jest już spokojny, jak ja przez większość czasu, to podczas rozmowy z Krogerem ryzykuje, że zapadnie w śpiączkę.

Kiedy weszliśmy, w poczekalni nikogo nie było i niebawem doktor Kroger otworzył drzwi swojego gabinetu. Monk wszedł do środka bez słowa powitania.

Gabinet był czysty i nowocześnie urządzone, z ogromną ścianą ze szkła wychodzącą na wewnętrzne atrium z fontanną, której strugi ściekały po betonowym murze wprost do baseniku z błyszczącymi, mokrymi otoczkami.

Gdyby kiedyś przyszło mi szukać porady u psychiatry, wolałabym, żeby jego gabinet był przytulny, ciepły i swojski jak pokój rodzinny. Tymczasem gabinet doktora Krogera był sterylny i tak chłodny, że można by przechowywać w nim świeżą żywność. Nic dziwnego, że Monk czuł się w nim doskonale.

- Potrzeba nam pilnej psychiatrycznej interwencji — powiedział Monk, siadając na swoim stałym miejscu.

Doktor Kroger podniósł jedną brew. Jeśli ponosiły go emocje, to był to najdalej idący wyraz tego stanu uczuć.

- Nam?

- Nie chodzi oczywiście o mnie — wyjaśnił Monk.

Doktor Kroger pokiwał głową ze zrozumieniem. Mam wrażenie, że nawet dłużej w nosie ze zrozumieniem. Był tego rodzaju człowiekiem.

- Chodzi o wszystkich innych - powiedział doktor.

Wychodziłam z gabinetu, kiedy Monk jeszcze do mnie zawołał:

- Widzisz, Natalie? On rozumie.

Nie mogłam wyjść, pozostawiając tę uwagę bez komentarza.

- Pan Monk mówi o prowadzonym śledztwie - powiedziałam.—Zajmuje się sprawą morderstwa Conrada Stipe'a, twórcy serialu telewizyjnego *Poza Ziemią*, dzisiaj już kultowego, mającego rzeszę fanów.

- To mocno skrzywione jednostki-mówił Monk. W miejscach publicznych pokazują się z organami wewnętrznymi wypuszczonymi na zewnątrz.

- Doprawdy - powiedział doktor Kroger, jakby codziennie oglądał takie indywidua.

Usiadł w fotelu naprzeciwko Mońka i dał mi znak, abym nie wychodziła. Stałam przy drzwiach, czując się trochę dziwnie.

- Wczoraj byliśmy na zlocie fanów *Poza Ziemią*, gdzie ludzie przebierali się za postaci z serialu — powiedziałam i usiadłam na kozetce przodem do Mońka i doktora Krogera. — Jedną z serialowych postaci jest kosmita, którego narządy wewnętrzne znajdują się na zewnątrz.

- Rozumiem. - Doktor Kroger zerknął na detektywa.  
- Takie zachowanie jest w twoich oczach nienaturalne i stresujące, tak?

- Oni powinni trafić do zamkniętego szpitala - stwierdził Monk. - Chyba może ich pan tam skierować, doktorze?

- Tylko wtedy, jeśli są moimi pacjentami i stanowią zagrożenie dla siebie samych lub bezpieczeństwa publicznego.

- A jeśli jest mowa o członku mojej rodziny? — zapytał Monk.

- A jest?

- Mój brat, Ambrose, jest jednym z nich. Należy do tej sekty.



- To nie sekta, panie Monk - zaprotestowałam.
- Sama przed chwilą powiedziałaś, że serial jest otoczony kultem - przypomniał Monk.
- Ale nie miałam na myśli kultu w złym sensie tego słowa, lecz w pozytywnym - wyjaśniłam.
- Nie ma czegoś takiego jak dobry kult - stwierdził Monk. - Ani się człowiek spostrzeże, jak zabija kozły w ofierze, tańczy nago w lesie i sprzedaje ciasteczka, chodząc od domu do domu.
- Uważa pan, że harcerki sprzedające swoje wypieki to też sekta?
- Nie widziałaś tej pustki w ich oczach?
- Przy panu każdy prędzej czy później zaczyna mieć pustkę w oczach, panie Monk.
- Myślałem, że Ambrose nie wychodzi z domu - przerwał nam doktor Kroger.
- Nie wychodzi - potwierdził Monk. - Jest wariatem w domu.
- Moim zdaniem to wspaniale, że Ambrose jest członkiem fanklubu. Powinieneś go w tym wspierać, Adrianie - powiedział doktor Kroger. - To dla niego wielki krok naprzód.
- Oni się porozumiewają fikcyjnym językiem! -nie wytrzymał Monk.
- To niegroźny rytuał budujący więź, a w przypadku Ambrose'a zdrowa praktyka, może nawet niezbędna dla dobra jego umysłowego i emocjonalnego samopoczucia.
- Niegroźny? - zżymał się Monk. - Oni przez trzydzieści lat przechowują płatki śniadaniowe. Niektórzy przechodzą operacje plastyczne, by mieć spiczaste uszy!
- No tak, to już może lekka przesada, ale to jeszcze nie objaw choroby umysłowej — powiedział

doktor Kroger. - Każda istota ludzka wykazuje instynktowną potrzebę przynależności do grupy społecznej, pragnąc przetrwać oraz zachować zdrowie fizyczne i emocjonalne. Dla osiągnięcia tego celu zdolna jest posunąć się niezwykle daleko. Ty również, Adrianie.

- Nie sędzę - odparł Monk.

- Twoim marzeniem jest powrót do departamentu policji - zauważył doktor Kroger. - To właśnie odzwierciedlenie potrzeby przynależności grupowej.

- To praca - odpowiedział Monk. — Nie serial telewizyjny.

- To grupa społeczna posiadająca własną kulturę, kod zachowań, wspólne wartości i cele. Każdy nosi mundur lub odznakę policyjną i w ten sposób jest rozpoznawalny jako członek grupy przez innych członków, a także „obcych”. To niewiele się różni od kostiumów, które noszą miłośnicy science fiction. Ponadto, podobnie jak oni, twoja grupa wypracowała i utrzymuje system wzajemnego wsparcia.

- Departament policji zaprowadza porządek i dba o przestrzeganie prawa - stwierdził Monk. - To wspiera przede wszystkim.

- Oczywiście, ale policjanci wspierają również siebie - powiedział doktor Kroger. - Popatrz choćby, jak kapitan Stottlemeyer i porucznik Disher od lat wspierają ciebie. Dlatego, że jesteś jednym z nich. Kto wspiera Ambrose'a?

- Ja - odpowiedział Monk.

- Tak jak dzisiaj? — wtrąciłam. - Zignorował pan cały jego wysiłek, by nam pomóc.

- Bo to nie była żadna pomoc, tylko strata czasu.

- Każdy odczuwa potrzebę przynależności — mówił dalej doktor Kroger. - Ja mam rodzinę, mam krąg

przyjaciół, mam środowisko zawodowe. To mnie określa, buduje moją tożsamość i daje poczucie przynależności. Ambrose nigdy nie wychodzi z domu, zatem jego pragnienie bycia częścią grupy musi być jeszcze większe i zapewne jest trudniejsze do zaspokojenia. Cieszę się, że, jak widać, wreszcie coś dla siebie znalazł.

- Jak pan myśli, dlaczego Ambrose czuje się związany właśnie z *Poza Ziemią* i fanami serialu? — zapytałam doktora Krogera.

- Science fiction to gatunek nadzwyczaj pobudzający wyobraźnię, nie ograniczają go realia ani zasady współczesnego życia. Znajduje dużą popularność, a najbardziej atrakcyjny jest dla osób, które, z rozmaitych powodów, zostały wyrzucone na margines społeczeństwa lub spotykają się z ostracyzmem ze względu na swoje widoczne fizyczne, umysłowe czy towarzyskie niedoskonałości. Takim ludziom łatwiej jest przeniknąć w bujny świat fantastyki, gdzie wszystko jest możliwe, niż w świat rzeczywisty, który ich wyklucza. Wcale nie jestem zdziwiony, że Ambrose zainteresował się serialem. To coś więcej niż system wzajemnego wsparcia, to sposób ucieczki.

Powiedziałam doktorowi o przeobrażeniu serialu i gwałtownej opozycji, która przybrała postać powstania galaktycznego.

- Uważa pan, że jakiś fan mógłby zabić Conrada Stipe'a z powodu zmian w *Poza Ziemią*?

- Myślę, że człowiek jest zdolny zabić z każdego powodu - powiedział doktor Kroger. - Ale szczególnie wtedy, gdy coś lub ktoś grozi mu zniszczeniem wszystkiego, w co wierzy.

- To tylko serial telewizyjny — powiedział Monk.

- Dla ciebie i dla mnie, Adrianie. Dla tych ludzi to życie.

- Jak wyciągnąć z tego Ambrose'a?

- To proste, Adrianie. Bardziej się zainteresuj jego życiem. Im silniej twój brat będzie związany z tobą i z innymi, tym mniej będzie mu potrzebne to, co podsuwa serialowy fanklub. - Doktor Kroger zerknął na zegarek. - Cóż, obawiam się, że nasz dzisiejszy czas dobiega końca.

- Przecież jeszcze nie zaczęliśmy spotkania — powiedział Monk.

- Nie tylko zaczęliśmy — powiedział Kroger, wstając. - Ale nawet je zakończyliśmy.

- Ale była z nami Natalie. To się nie liczy.

- Potraktuj to jako terapię grupową, Adrianie, i to bardzo owocną. Dziękuję ci, Natalie, za udział w naszym spotkaniu.

T Cała przyjemność po mojej stronie.

- Ale przecież nie rozmawialiśmy na mój temat - stwierdził Monk.

- Rozmawialiśmy głównie na twój temat, Adrianie.

- Nie bardzo widzę, w którym miejscu.

- Pomyśl nad tym. — Doktor Kroger odprowadził nas do progu i otworzył drzwi. - To będzie punkt wyjścia do naszej następnej sesji.

- Chyba nie wystawi mi pan rachunku za dzisiejsze spotkanie - wyraził nadzieję Monk.

- Ależ oczywiście, że tak - odparł Kroger.

- Ma pan szczęście, że nie jestem policjantem.

- Dlaczego? - zapytał zaintrygowany doktor Kroger.

- Zatrzymałbym pana pod zarzutem rabunku - odpowiedział Monk i wyszedł obruszony.

## Monk milczy, aby przemówić

Kapitan Stottlemeyer i porucznik Disher rozpoczęli dzień pracy na miejscu zbrodni pod Filbert Steps, tam więc musieliśmy pojechać, by poinformować ich o nowych tropach w śledztwie.

Filbert Street kończy się ślepo u podnóża wzgórza Telegraph, skąd betonowo-stalowe schody przecinają porośnięte chwastami zbocze, pnąc się w górę, aż do Montgomery Street, a stamtąd biegną dalej schody drewniane, ciągnąc się między urokliwymi domkami i bujnymi, przepięknymi ogrodami, w których mieszkają dzikie papużki nierozłączki.

Tę spokojne miejsce kojarzyło mi się zwykle z samotnością i pięknem. Ale dzisiaj ślepy zaułek okazał się dla kogoś rzeczywiście drogą bez wyjścia i rzucił ponury cień na całą okolicę.

Oglądanie rano ludzkich zwłok zazwyczaj wprawia mnie w przygnębiający nastrój na resztę dnia, jednak coraz częściej przychodziło mi tak zaczynać dzień. Mimo to nie byłam aż tak zblazowana, żeby stać nad trupem i popijać poranną kawę, co robili kapitan Stottlemeyer i Disher. Obaj trzymali w rękach kubeczki ze Starbucksa. Stottlemeyer miał nad górną wargą wąsik mlecznej pianki.

Ciało znajdowało się w wąskim, zachwaszczonym przejściu obok schodów, między stromizną a ślepią

ścianą niedużego biurowca, niemal stykającego się ze wzgórzem.

Przy krawężniku obok posesji stała pusta taksówka. Drzwi kierowcy były lekko uchylone, dzięki czemu błyskotliwie wydedukowałam, że ofiarą jest zapewne taksówkarz.

Przeszliśmy z Monkiem nad żółtą taśmą policyjną i stanęliśmy nad ciałem obok kapitana i porucznika. Mężczyzna leżał twarzą do góry. Nogi miał podwinęte pod siebie w jakiejś nienaturalnej pozycji. Na pierwszy rzut oka mógł mieć nieco ponad trzydzieści lat. Został trafiony jedną kulą w głowę.

- Dzień dobry - przywitał nas Stottlemeyer.

- Trudno mówić, że dobry, gdy patrzy się na martwego człowieka — powiedziałam.

Stottlemeyer przytaknął i pociągnął głośno łyk kawy.

- Gdybym tak przeżywał każde morderstwo, nic by ze mnie nie zostało.

- A jeśli pan nie przeżywa, to czy jest pan wciąż człowiekiem, jakim chciałby pan być? - zapytałam.

- Wiesz co? Już nigdy nie powiem ci „dzień dobry” - odpowiedział kapitan. - Co was sprowadza?

Otarłam ukradkiem górną wargę. Kapitan zrozumiał, co chciałam powiedzieć, i wytarł usta wyciągniętą z kieszeni chusteczką.

- Sprawa Stipe'a - odpowiedziałam.

- Kim jest ofiara? - zapytał Monk, obchodząc ostrożnie ciało i przypatrując mu się ze wszystkich stron.

- Phil Bisson - powiedział Disher. - Taksówkarz. Ciało zauważył przed dwiema godzinami przechodzący tędy turysta i natychmiast zawiadomił po-

licję. Według wstępnych oględzin koronera śmierć mogła nastąpić około pierwszej w nocy.

Monk spojrział w górę schodów, a potem z powrotem na ciało.

- Co się stało? - zapytałam Dishera.

- Zabójstwo na tle rabunkowym - odparł porucznik.

Monk przechylił głowę w jedną stronę, a potem w drugą. Przetwarzał informacje. Jego zdaniem nie biegły właściwymi torami. Był człowiekiem, którego język ciała zdradzał, o czym myśli i co czuje. Całe szczęście, że nie próbował grać w pokera.

- Oto, co się stało - zaczął Disher. - Taksówkarza zatrzymuje jakiś facet, który po chwili wyciąga spluwę i każe mu wysiąść z samochodu. Potem pro wadzi kierowcę przez posesję za budynek, z dala od ulicy, gdzie byłiby widoczni, i strzela. Okrada go z pieniędzy i ucieka.

Próbowałam wyobrazić sobie, jak ten ślepy zaułek musiał wyglądać o pierwszej w nocy, w przyćmionym świetle ulicznych latarni, przy ciemnych budynkach i na kompletnie opustoszałej ulicy. To cudowne miejsce, ale w takich okolicznościach za nic w świecie nie zatrzymałabym tu samochodu.

- Taksówkarzowi musiało bardzo brakować gotówki, żeby się zatrzymać w takim miejscu - powiedziałam.

- Albo był nowy w branży - dodał Stottlemeyer. - Albo totalnie głupi.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami.

- Waszym zdaniem taksówkarz, gdy zauważył swojego przyszłego rabusia, jechał Sansome Street?

- Uhm - odparł kapitan.

- Jesteście pewni, że taksówkarz nie był wzywany telefonicznie? — zapytał Monk.

Disher przytaknął.

—Sprawdziliśmy u dyspozytora. Nikt nie dzwonił. Taksówkarz nie informował też przez radio, że bierze pasażera. Według dyspozytora nie ma nic w tym dziwnego. Taksówkarze nie łączą się z centralą, dopóki nie znają docelowego adresu kursu.

Monk wyszedł poza żółtą taśmę, wszedł na chodnik i spojrzął w prawą stronę, w kierunku San-some Street, Levi Plaža i lśniącej z tyłu zatoki.

- Gdyby ktoś chciał kiwnąć stąd na taksówkę, kierowca by go nie zauważył — stwierdził Monk. - Rabuś musiał stać na rogu.

—No dobrze - zgodził się Stottlemeyer. — Stał na rogu.

—Ale zobacz, jak jest ustawiona taksówka -mówił dalej Monk. - Kierowca wjechał w uliczkę i zawrócił, ponownie stając przodem do ulicy. Po co miałby to robić, skoro brał pasażera z rogu?

Wszyscy troje wyszliśmy poza obręb żółtej taśmy i dołączyliśmy do stojącego na chodniku Mońka.

—To proste. W momencie gdy rabuś przywoływał taksówkę, ta jechała w przeciwnym kierunku — wyjaśnił kapitan. - Kiedy kierowca zawracał, rabuś IJodszedł za nim do tego miejsca.

- Czy to nie wzbudziłoby u taksówkarza podejrzeń? - zapytał Monk.

- Powinno — przyznał Stottlemeyer. - Najwidoczniej jednak nie wzbudziło i facet zapłacił za błąd.

Monk zmarszczył brwi. Stottlemeyer również zmarszczył brwi, a za nim Disher. Byłam całkowicie pewna, że każdy marszczy brwi z zupełnie innego powodu. Monk marszczył brwi, ponieważ coś mu



nie grało w sprawie morderstwa. Stottlemeyer marszczył brwi, bo uważał, że wszystko zostało już wyjaśnione, i nie chciał, by Monk komplikował stan rzeczy. Disher marszczył brwi, bo jeśli Monk bardziej wszystko skomplikuje, będzie to dla niego oznaczało więcej pracy i mniej czasu na śledztwo w sprawie Lorbera.

Monk wyciągnął do mnie rękę.

—Woreczek proszę.

Sięgnęłam do torebki i podałam Monkowi woreczek. Zawsze noszę w torebce mnóstwo woreczków na zużyte chusteczki higieniczne, a także na różne dowody rzeczowe, które Monk znajduje na miejscach przestępstwa.

Po chwili Monk wrócił na posesję i zniknął za ścianą biurowca. Odwróciłam się do Stottlemeyera i Dishera.

- Macie jakiś nowy trop w śledztwie w sprawie Stipe'a? — zapytałam.

—Trudno to nazwać tropem, ale zdobyliśmy parę ciekawych informacji. - Porucznik otworzył notes. - Pisarz o nazwisku Willis Goldkin parę dni temu wniósł pozew sądowy przeciwko Stipe'owi, domagając się połowy zysków z serialu.

—Na jakiej podstawie?

- Twierdzi, że jest jego współtwórcą, a Stipe go oskubał. Teraz, kiedy Stipe nie żyje, szanse Goldkina na zwycięstwo mogą się zwiększyć.

- Dlaczego czekał z pozwem?

- Wcześniej nie wiązały się z tym żadne pieniądze - wyjaśnił Stottlemeyer. - Teraz owszem.

—To nie wszystko - mówił dalej Disher. — Przed miesiącem sąd wydał Ernestowi Pinchukowi, przy wódcy powstania galaktycznego, zakaz zbliżania się

do Stipe'a za śledzenie go i wysyłanie mu pogróżek pocztą internetową.

- Pisał je po angielsku czy w języku Dratchów?
- Co to jest język Dratchów? - zdziwił się kapitan

Stottlemeyer.

W tym momencie usłyszeliśmy głośne huknięcie, jakby strzał z broni palnej. Odgłos dobiegł z podwórza za biurówcem. Dwaj umundurowani policjanci instynktownie sięgnęli po pistolety. Rzuciliśmy się biegiem na podwórze i zobaczyliśmy Mońka stojącego nad ciałem i trzymającego w ręku rozdarty woreczek.

- Co ty, do diabła, robisz? - zapytał Stottlemeyer.
- Dowodzę tezy — odparł spokojnie Monk.
- Mogłeś się postrzelić - powiedział kapitan.

- W małym wąwozie ukształtowanym przez budynki i stromizną wzgórza powstaje donośne echo. Jeśli wystrzał nadmuchanego woreczka czyni taki hałas, przy pełnym ruchu ulicznym na Sansome Street, wyobraźcie sobie, jaki huk musiał w środku nocy spowodować wystrzał z pistoletu. Tymczasem żaden z mieszkańców przy Filbert Street nie zgłosił policji, że coś słyszał, prawda?

- Prawda, nikt nic nie zgłaszał - przyznał Stottlemeyer.

- W takim razie rabuś musiał użyć tłumika — stwierdził Disher.

Stottlemeyer pokręcił tylko głową. Monk podszedł do taksówki. Kapitan westchnął z rezygnacją.

- Musimy spojrzeć prawdzie w oczy, Randy — powiedział Stottlemeyer. - To nie rabunek. Upozorowano go tylko, by wprowadzić policję w błąd.

- Skąd takie przypuszczenie? - zapytał po rucznik.

- Bo takich małych napadów rabunkowych do konują ludzie zdesperowani, a ci raczej nie noszą przy sobie tłumików - mruknął kapitan. - Wiedziałem, że nie powinienem pić dzisiaj bezkofeinowej kawy. Idę przez to śledztwo jak lunatyk.

Stottlemeyer nieraz zbyt surowo oceniał siebie za niezauważanie szczegółów, które nie umknęły uwagi Mońka. Jestem pewna, że kapitan doszedłby do takich samych wniosków co Monk. Tyle tylko, że zabrałoby mu to o wiele więcej czasu.

- Ja piłem kawę z kofeiną - powiedział Disher. - Co mnie może tłumaczyć?

- Nie wiem, Randy. Może rozpraszają cię zbyt wysokie standardy pracy w jednostce do spraw bezczeszczenia?

- Taak... — przyznał Disher. - To pewnie to. Nie muszę panu mówić, kapitanie, jak wymagające jest stanowisko dowódcy.

Stottlemeyer odwrócił się do Mońka, który z wyrazem wstrętu na twarzy obchodził dookoła taksówkę.

- Dzięki, Monk. Dalej już damy sobie radę.

- To auto jest obrzydliwie zabrudzone — powiedział. - Kiedy ten taksówkarz je mył?

- Nie wiem, ale obiecuję, że umyjemy taksówkę, gdy tylko technicy skończą swoją robotę.

Monk wyjął z kieszeni chusteczkę i otworzył nią tylne drzwi samochodu.

- Nie musisz tego robić, Monk. Jestem wdzięczny za pomoc i ustawienie nas na właściwym torze, teraz damy sobie radę sami. Wolę, żebyś się skoncentrował na znalezieniu zabójcy Conrada Stipe'a.

Ale Monk go nie słuchał, tylko pochylił się nad tylnym siedzeniem taksówki.

—Dlatego tu jesteśmy — wtrąciłam. - Mamy nowe tropy.

—Naprawdę? — Stottlemeyer spojrział na mnie z nadzieją.

—Mundur, który miał na sobie zabójca pochodził z pierwszego sezonu emisji - powiedziałam. — Tymczasem jego uszy były z sezonu drugiego.

Nadzieja, która jeszcze przed chwilą tliła się w oczach kapitana, teraz raptownie zgasła.

—To jest trop?

—Zaraz panu pokażę.

Poprowadziłam ich do mojego samochodu, otworzyłam bagażnik i wyciągnęłam antyramy. Wskazałam na jedno z powiększeń postaci zabójcy.

—Przyjrzyjcie się z bliska, a zobaczycie, że to nie jest kostium z tego samego sezonu. Pochodzi z pilota serialu. Tylko jedna osoba szyje i sprzedaje mundury według tego projektu. Nazywa się Ursula Glemstadt. Ma stoisko na zlocie fanów *Poza Ziemią*.

Pokazałam fotografie, które Ambrose ułożył w specjalnym porządku, by zilustrować typowe zużycia munduru pod wpływem czasu i wielokrotnego prania. W czasie tych objaśnień zauważyłam drobniutki przypis, w którym Ambrose odwoływał się do własnej książki: *Encyklopedia mundurów konfederacyjnych i innych ubiorów w serialu Poza Ziemią*.

—Biorąc pod uwagę intensywność koloru i brak wystrzępień na mundurze - mówiłam -jest prawdopodobne, że zabójca miał go na sobie pierwszy raz.

—Co znaczy, że mógł go kupić dzień lub dwa przed zabójstwem —wtrącił Stottlemeyer, podejmując wątek, a na jego twarzy znowu się pojawił cień nadziei - Randy, skontaktuj się z naszą panią Ursula i sprawdź, czy ma coś ciekawego do powiedze-

nia na temat swojej niedawnej klienteli. Weź rysownika od portretów pamięciowych.

—Jasne - powiedział Disher.

Stottlemeyer spojrział na mnie.

—To cały Monk, żeby znaleźć trop na podstawie informacji, kto kiedy prał ostatni raz swoje brudy. Ale prawdę mówiąc, pierwszy raz widzę, by przygotował taką prezentację.

—To nie Monk - odpowiedziałam. - To jego brat.

—Ambrose? - zdziwił się Stottlemeyer. - Od kiedy Ambrose pomaga Monkowi w śledztwach?

—Ambrose to ekspert w tematyce *Poza Ziemią*.

—Jest Ziemianinem? - zainteresował się Disher.

—Raczej Ziemitą — poprawiłam go. Stottlemeyer uśmiechnął się od ucha do ucha.

—Monk pewnie umiera ze szczęścia.

W tej chwili Monk wyszedł zza taksówki.

—Wiem, kto zabił taksówkarza — oświadczył.

Odwróciliśmy się do niego jak na zawołanie, kompletnie zaskoczeni.

Nie pierwszy raz Monk potrafił rozwikłać morderstwo na miejscu zbrodni - dokonał tego choćby poprzedniego dnia w hotelu Belmont - ale zawsze jesteśmy tym tak samo zaskoczeni.

—Wiesz? — zapytał Stottlemeyer.

—Ta sama osoba, która zabiła Brandona Lorbe-ra — powiedział Monk.

—Rozwikłał pan moją sprawę zbezczeszczenia zwłok? - zapytał Disher z wyraźną nutą zawodu w głosie. — Coś łączy te dwie sprawy?

—Bez najmniejszych wątpliwości - oznajmił Monk.

—Zaraz, zaraz - wtrącił kapitan. - Twierdzisz, że ten sam człowiek, który zamordował taksówka-

rza i upozorował napad rabunkowy, dwie noce wcześniej wślizgnął się do siedziby Burgerville'a i wpakował tam w martwego mężczyznę trzy kulki?

- Tak twierdzą.

- To niczego sobie twierdzenie... - mruknął kapitan.

- To nie wszystko - dodał Monk.

- Nie mów, że wiesz, kto to jest - powiedział Stottlemeyer.

Monk nic nie powiedział. Stał tylko i patrzył na nas.

- Słucham? - ponaglił go Stottlemeyer.

- Przecież powiedziałeś przed chwilą, żebym nie mówił.

- To tylko takie powiedzenie, Monk. Oznacza tyle co „mów”.

- W jaki sposób „nie mów” znaczy to samo co „mów”? Nie lepiej powiedzieć od razu „mów”?

- Mów!

Monk znowu nic nie powiedział.

- Czekam, Monk - niecierpliwił się kapitan. - Wyduś to wreszcie z siebie.

- Przed chwilą powiedziałeś, żebym nie mówił.

- Powiedziałem „mów”!

- Skoro „nie mów” znaczy to samo co „mów”, to czy nie oznacza to, że „mów” znaczy to samo co „nie mów”?

Stottlemeyer potarł nerwowo skronie.

- Jeżeli w tej chwili nie zdradzisz mi nazwiska za bójcy, zawiążę sobie but na jedną kokardkę, a drugi zostawię zawiązany na dwie kokardki i będę tak chodził przez cały dzień.

Monk zbladł jak ściana.

- Dobrze, dobrze. Nie trzeba sięgać od razu po

tak drastyczne środki. Jeśli zawsze dzieją się z tobą takie rzeczy, gdy zapominasz o kofeinie, to błagam, więcej nie zapominaj. Zaczynasz się zachowywać jak wariat, zupełnie nieracjonalnie.

- Kto zabił taksówkarza i strzelał do ciała Brandona Lorbera? - zapytał stanowczo kapitan.

Monk milczał przez chwilę, by zwiększyć dramatyzm sytuacji. Wydaje mi się, że kocha takie momenty i chciałby się nimi jak najdłużej delectować.

- Pan Snork - odpowiedział.

## Monk łączy kropeczki w jedną linię

Pamiętacie, jak mówiłam, że byliśmy kompletnie zaskoczeni, kiedy Monk oznajmił nam, iż rozwiłkła sprawę morderstwa taksówkarza? Cóż, kiedy powiedział nam, że zrobił to pan Snork, byliśmy su-perkompletnie superzaskoczeni. Szczęki opadły nam głośno i równo, bo zatraciliśmy motoryczną zdolność trzymania buzi zamkniętej.

- Pan Snork? - powtórzyłam po chwili, żeby się upewnić, czy dobrze słyszałam.

- No wiesz, ten człowiek z trąbą słonia i spiczastymi uszami.

- Dobrze wiemy, kto to jest pan Snork - powiedział Stottlemeyer. - Nie wiemy natomiast, co cię skłoniło do przypuszczeń, że jedna i ta sama osoba strzeliła do zwłok Brandona Lorbera oraz zabiła Conrada Stipe'a i tego taksówkarza.

- Mogę powiedzieć już teraz, że kule wyjęte z ciała Lorbera pochodzą z innego pistoletu niż kule znalezione w ciele Stipe'a — powiedział porucznik Disher.

Odniosłam wrażenie, że Randy bardzo by nie chciał, aby jego „specjalna jednostka do spraw bezczeszczenia” została rozwiązana, zanim zdąży zamknąć sprawę Lorbera.

- Analizy balistyczne nie są mi potrzebne -



powiedział Monk. — Mam coś bardziej obciążającego i przekonującego.

- Co takiego? - zapytał Disher.

- Gumę.

- Gumę - powtórzył jak echo Stottlemeyer. Wiele razy bezwiednie powtarzaliśmy to, co

mówił Monk. Myślę, że, podobnie jak ja, Stottlemeyer chciał się tylko upewnić, czy Monk rzeczywiście wypowiedział niedorzeczność, którą wszyscy przed chwilą słyszeliśmy.

Monk wskazał ręką tylne siedzenie taksówki.

- Pod siedzeniem jest kawałek dwudniowej gumy do żucia.

- I? — zapytał Stottlemeyer.

- To znaczy, że tą taksówką jechał Conrad Stipe.

- Każdy mógł przykleić pod siedzenie gumę - stwierdził Disher. — Założę się, że jest tam więcej przeżutych gum.

- Są — przyznał Monk z takim wyrazem twarzy, jakby miał za chwilę z wymiotować. — Ale ta jest przyklejona dokładnie w tym samym miejscu, w którym Stipe przykleił gumę w tamtej drugiej taksówce. Ma ponadto ten sam kolor i tę samą konsystencję jak tamta i liczy sobie mniej więcej dwa dni.

- Skąd wiesz, że jest sprzed dwóch dni? - zapytał Stottlemeyer.

- Mam naturalny instynkt gumowy.

- Instynkt gumowy?

- Wyrobiłem go sobie podczas długich lat pracy na ulicy — wyjaśnił Monk.

- Chce pan powiedzieć, że kiedy patrolował pan ulice jako mundurowy, głównie zajmowała pana obserwacja gum do żucia na chodnikach? - zapytał porucznik.

- Dużo wcześniej, drogi przyjacielu. Od urodzenia wypatruję gum na chodniku. To zaraza naszego społeczeństwa. Jeśli zrobicie test DNA z próbki gumy przyklejonej do siedzenia tej taksówki, zobaczycie, że mam rację co do niewątpliwej winy Stipe'a. Powinniśmy zdrapać gumy z chodników w całym San Francisco i również poddać je analizie DNA.

- Dlaczego mielibyśmy to robić? - zapytałam.

- Aby ścigać winowajców - odparł Monk.

- Ludzi, którzy wypluwają na ulicę gumy do żucia?

- Nadszedł czas, aby te nikczemne potwory dopadła ręka sprawiedliwości. Wreszcie mamy odpowiednie możliwości technologiczne.

- To, że Stipe jechał tą taksówką, gdy przebywał w mieście, nie dowodzi, że zabił go ten sam człowiek, który zastrzelił taksówkarza i zbezczeszczył zwłoki Lorbera.

- Dowodzi tego paperek po cukierku.

Wyjął z kieszeni pincetę, pochylił się do wnętrza taksówki i po chwili wyprostował się, trzymając w górze jakiś mały, złocisty, celofanowy paperek.

- Znalazłem go na podłodze tego obrzydliwie brudnego auta - powiedział do Stottlemeyera. - To paperek po cukierku z kielicha na biurku Lorbera. Ten, kto strzelał, poczęstował się nim podobnie jak ty i porucznik Disher.

Monk dał mi znak, bym podała mu woreczek.

- Takie cukierki sprzedawane są jak kraj długi i szeroki — stwierdził Disher. — Kupują je dziesiątki tysięcy ludzi. Skąd pan wie, że właśnie ten paperek pochodzi z kielicha w gabinecie Lorbera?

Wyjęłam woreczek, otworzyłam go szeroko i podsunęłam Monkowi, by mógł wrzucić papierek do środka. Monk powstrzymał się jeszcze i mrużąc oczy, spojrzał na nadruki na papierku.

—Numer serii towaru jest ten sam - orzekł. - Powtórzony jest również błąd w zawijaniu.

Stottlemeyer westchnął ciężko.

—Błąd w zawijaniu?

—Zwykle każdy cukierek zawijany jest w papierek osobno, a maszyna skręca obie końcówki w tym samym kierunku - objaśniał Monk. - Jednak w wypadku tych cukierków końcówki są skręcone w przeciwnych kierunkach, co spowodowało drobne rozdarcie na brzegu. Można je dostrzec na końcówkach papierka po jego rozprostowaniu.

-Ty możesz je dostrzec. Ale żadna inna istota ludzka tego nie dostrzeże.

—Nawet jeśli jedna i ta sama osoba zabiła tak sówkarza i strzelała do ciała Brandona Lorbera, to wciąż nie wiemy, co mogło ją łączyć z Conradem Stipe'em - zauważył porucznik Disher. - To zbyt wielki zbieg okoliczności, by można było mówić o zbiegu okoliczności.

Zapadła długa cisza, którą kapitan Stottlemeyer przerwał wreszcie kolejnym, ciężkim westchnieniem.

—Słusznie — powiedział. - Co zatem łączy Lorbera, Stipe'a i taksówkarza?

—Jak na razie tylko jedna rzecz. Ten samobieźny kontener na śmieci - powiedział Monk i wskazał palcem taksówkę.

Taksówkę odholowano do policyjnego laboratorium, by rozłożyć ją na części pierwsze w poszukiwaniu kolejnych śladów, a także, jeśli Monk postawi na swoim, dokładnie ją potem umyć i wydezynfekować.

Monk kazał przenieść wszystkie dowody rzeczowe i fotografie z biura Brandona Lorbera do jednego z pokoiów przesłuchań. Podczas gdy uważnie je przeglądał, porucznik Disher wykonał kilka telefonów, chcąc dowiedzieć się czegoś więcej o taksówkarzu i o tym, co robił w ciągu paru ostatnich dni.

Monk nie miał wiele do przeglądania. Jedyne pociski wyjęte z ciała Lorbera i jakieś dokumenty, które leżały na jego biurku. Wśród dowodów było też zakrwawione krzesło, na którym Lorber siedział, kiedy do niego strzelono, ale na szczęście Monk nie prosił o jego przyniesienie.

Wszystkie dowody oglądał bez wyciągania ich z woreczków.

Przejrzałam fotografie z miejsca przestępstwa i podałam je Monkowi, który porównywał je z tym, co znajdowało się w woreczkach z dowodami. Nie bardzo wiedziałam, czego w ogóle powinnam szukać, w każdym razie nie widziałam na półkach żadnych książek czy zabawek związanych z *Poza Ziemią*.

Wtedy właśnie coś sobie przypomniałam.

- Panie Monk, pamięta pan tę kobietę, która sprzedawała płatki śniadaniowe w pudełku *Poza Ziemią*?

- Będę ją pamiętał do końca życia - mruknął Monk.

- Nie wiem, czy to ma znaczenie, ale sprzedawała też zabawki, które trzydzieści lat temu dołą-

czano w Burgerville'u do zestawów hamburgero-wych dla dzieci. To chyba jest jakieś ogniwo, prawda?

- Owszem - odpowiedział Monk. — Ale też nie wiem, czy to ma znaczenie.

- Znalazł pan coś?

- Pewną niekonsekwencję w spinaniu dokumentów.

- To coś istotnego?

Monk ułożył na stole woreczki z dowodami.

- Dokumenty na biurku spinane były kolorowymi spinaczami - mówił Monk. - Lorber miał spi-naczowy system porządkowania dokumentów do pracy. Jednak dokumentacja finansowa, którą czytał w chwili śmierci, spięta była zwykłymi, metalowymi spinaczami.

- Może to również część jego systemu? - zapytałam.

- Ale inne dokumenty na jego biurku nie były spięte metalowymi spinaczami - powiedział Monk. — Jeśli przyjrzesz się uważniej tym kartkom, zobaczysz, że są na nich jakieś smugi. Co dwa, trzy milimetry w poprzek kartki biegnie błada pręga.

- Może to jakaś słaba kserokopia? - wyraziłam przypuszczenie.

- Nie inaczej — powiedział Monk. - To jest słaba odbitka dokumentu, który został pocięty w wąskie paski, a następnie zrekonstruowany. Ciemne smugi nie pochodzą od słabej kserokopiarki. To ślady po cięciach.

- Ciekawe, co takiego ważnego zawiera ów dokument, że Lorber posklejał go ze strzępów. Może mamy przed sobą dowód szpiegostwa gospodarczego. Może Lorber wykrał to konkurencji z kosza na śmieci? — zastanawiałam się.

Na słowo „śmieci" Monk wzdrygnął się mimowolnie.

- Biegły księgowy z pewnością nam wyjaśni, co oznaczają te liczby - stwierdził. - Jednak bez względu na to, co one oznaczają, nie sądzę, aby Lorber czytał je w chwili swojej śmierci.

- W takim razie co ta dokumentacja robiła na jego biurku?

- Ktoś chciał, abyśmy myśleli, że Lorber je czytał w chwili śmierci. Nie wiem, kto to był, ale gdyby zwrócił baczniejszą uwagę na spinacze, o mały włos by nas przechytrzył.

Kolorowe spinacze. Zasuszone bryłki przeżutej gumy. Papierki po cukierkach. Kostium filmowy z *Poza Ziemią*. Trudno powiedzieć, aby były to najbardziej seksowne dowody rzeczowe w historii kryminalistyki, ale niewątpliwie na coś się składały. Ale na co? Wiedzieliśmy tylko tyle, że nie żyją trzy osoby.

Brandon Lorber był prezesem zarządu sieci restauracji sprzedających hamburgery i został trafiony trzema kulami w chwili, kiedy już nie żył. Śmierć nastąpiła wskutek ataku serca. Ten, kto strzelał, poczęstował się cukierkiem i jakiś czas potem wsiadł do taksówki, którą prowadził Phil Bisson.

Conrad Stipe był twórcą serialu *Poza Ziemią*, na podstawie którego powstawał właśnie nowy program telewizyjny. Lubił żuć gumę i jedną z nich przykleił pod siedzeniem taksówki, która wiozła go na zlot fanów serialu, gdzie zabił go przebrany za pana Snorka zamachowiec. Tak się złożyło, że w ciągu dwóch ostatnich dni Stipe jechał też taksówką Bissona.

Phil Bisson wiozł w swojej taksówce zarówno

Conrada Stipe'a, jak i jego zabójcę. Czy Stipe i zabójca znajdowali się razem w taksówce? Dlatego taksówkarz musiał zginąć? Ponieważ mógł zeznać, że obaj mężczyźni się spotkali, i mógł zidentyfikować mordercę?

Podzieliłam się tymi spostrzeżeniami z Monkem.

- To dobra hipoteza - stwierdził Monk.

- Czyli, innymi słowy, to zła hipoteza.

- Gdybym uważał, że jest to zła hipoteza, to tak bym powiedział. W odróżnieniu od kapitana Stottlemeyera, którego męczy głód narkotyczny po odsunięciu kofeiny. Nie mówię inaczej, niż myślę. W związku z twoją hipotezą nasuwa mi się tylko jedno pytanie. Gdzie tu jest miejsce dla Brandona Lorbera?

- Może nie ma? - powiedziałam. - Może myli się pan w kwestii papierka po cukierku?

Monk potrząsnął głową.

- To niemożliwe - oświadczył.

- Raz czy drugi już się pan przecież pomylił.

- Nigdy w tak istotnej kwestii jak papierek po cukierku.

Ta absurdalna uwaga dała mi wreszcie możliwość wytknięcia Monkowi hipokryzji w sposób, który powinien być dla niego zrozumiały.

- Jak to możliwe, że sposób zawijania cukierka w papierek jest daleko istotniejszy od stwierdzenia, że ktoś ma mundur konfederacki z pierwszego sezonu serialu, a Snorkowe uszy z drugiego sezonu?

- Och, różnica jest zasadnicza.

- Jaka?

- Papierek od cukierka jest prawdziwy, a *Poza Ziemią* to fikcja - odparł Monk.

—Jednak mundury są prawdziwe — powiedziałam.  
— Zabójca miał na sobie mundur i był on dla niego równie prawdziwy jak cukierek, którego włożył sobie do ust. Nie może pan ignorować rzeczy istotnych dla Ambrose'a tylko dlatego, że panu się wydają nieistotne.

—Wydają się takie mnie oraz każdej innej poczytalnej, przystosowanej do życia w społeczeństwie istocie ludzkiej - stwierdził Monk.

—Ale to pan się upiera, że jest niezwykle ważne dla ludzi, jak są zawijane cukierki.

—Jest to dla nich ważne, jeśli są istotami poczytalnymi i przystosowanymi do życia w społeczeństwie, a nie świrusami odurzonymi narkotykiem.

Miałam ochotę ciągnąć ten wątek choćby do samej śmierci, ale Monk nagle wstał i skierował się do drzwi.

—Chodźmy porozmawiać z biegłym księgowym — powiedział. - Dowiemy się, co zabójca tak bardzo pragnął, abyśmy wiedzieli.



## Monk i tysiące podejrzanych

Dział biegłych księgowych Departamentu Policji San Francisco mieścił się w pomieszczeniach piwnicznych, jednak brak okien i pięknych widoków z naddatkiem rekompensowało jego najnowocześniejsze wyposażenie. Ciemne biura tonęły w bladobłękitnym świetle dziesiątek jarzących się płaskich monitorów, które zdawały się pokrywać każdy skrawek powierzchni z wyjątkiem sufitu i podłogi.

Przy komputerach siedzieli jacyś dwaj mężczyźni i kobieta, którzy pracowicie stukali w klawiatury wydające ciche odgłosy kliknięć niczym chór elektronicznych cykad. Na biurkach nie widać było cienia bałaganu — żadnych kubków z kawą, stosów papierów, luźnych kartek, rodzinnych fotografii czy jakichkolwiek rzeczy osobistych.

W podziemnych pomieszczeniach panował absolutny chłód, zarówno w sensie emocjonalnym, jak i fizycznym, ale byłam pewna, że Monk coś takiego uwielbia. W całym departamencie policji nie było czystsze miejsce.

Księgowi byli młodymi, atrakcyjnymi ludźmi, ubranymi bardzo stylowo, w idealnie dobrane, czarne rzeczy, które w pokoju pogrążonym w cieniu czyniły ich niemal niewidzialnymi. Przypominali ninja, tyle że korzystających z usług osobistych

wizażystów i dysponujących kartą wstępu do klubu odnowy biologicznej.

Na nasz widok kobieta podniosła się od obu swoich płaskich monitorów i zbliżyła się do nas bez szmeru, jakby frunęła. Była mniej więcej w moim wieku, miała krótko przystryżone jasne włosy i bladą cerę. Domyśliłam się, że nieczęsto wychodzi na słońce. Jednak najbardziej uderzyła mnie kabura z wielkim pistoletem przy pasku jej spodni.

Dobrze wiedzieć, że kobieta jest uzbrojona po zęby, na wypadek gdyby arkusze kalkulacyjne stawily opór podczas aresztowania. Jestem pewna, że gdzieś w kangurzej torbie na brzuchu nosiła ostre jak brzytwa, śmiertcionośne gwiazdki ninja.

Przedstawiła się jako porucznik Sylvia Chase, dowódca Wydziału Księgowości Sądowej. Domyśliłam się, że reputacja Mońka w departamencie obila się jej o uszy, ponieważ nie wyciągnęła do niego ręki na przywitanie. Chyba że była po prostu równie zimna jak jej pokój.

— Witam na szpicie zaprowadzania prawa i porządku - powiedziała, skłaniając lekko głowę.

— Nie miałem pojęcia, że taki wydział istnieje - powiedział Monk, rozglądając się z uznaniem po pokoju.

— Walczymy z przestępstwami finansowymi w taki sam sposób, w jaki zostają one popełnione - powiedziała Chase. - W ciszy i głębokim cieniu.

Myślę, że tę ostatnią uwagę nasza księgowa wzięła sobie do serca zbyt poważnie. Gdyby jej skóra nie była blada jak papier, w ogóle bym jej nie widziała.

— Podoba mi się wasze biuro - powiedział Monk. - Jest czyste i takie swojskie.

- Dziękuję - odpowiedziała Chase. - Wierzę w porządek.

- Ja też - ucieszył się Monk. - Mógłbym tu pracować?

- Słyszałam o pańskich nieprzeciętnych umiejętnościach śledczych w sprawie zabójstw - powiedziała.

- Ale czy ma pan równie solidne doświadczenie w księgowości?

- Nie mam. Ale lubię parzyste liczby i jestem bardzo czysty.

- Obawiam się, że to nie wystarczy - odparła.

Nie widziałam wyraźnie twarzy Mońka, ale byłam przekonana, że jest bliski płaczu.

- Co sprawia, że ta jednostka jest „szpicą” zaprowadzania prawa i porządku? - zapytałam.

- Morderstwo to zbrodnia z epoki kamienia łupanego, pani Teeger. Nie zmienia się od stuleci - odpowiedziała Sylvia Chase. - Tymczasem finansowość to przyszłość przestępczości. Dzisiaj, nie wychodząc z własnego domu, jednym przyciskiem klawiatury może pani ukraść miliony dolarów i zniszczyć życie dziesiątek tysięcy ludzi. Za pomocą palmtopa może pani pogrążyć korporację, a nawet rząd.

- Nie mógłbym tu trochę pomieszkać? - zapytał Monk. - W moim mieszkaniu kładą nową wykładzinę.

- Z powodu jednej plamki po kawie - wtrąciłam.

Monk wbił mi łokieć w żebro. Najwidoczniej ujawniłam zbyt wiele.

- Proszę nie brać tego pod uwagę, pani porucznik. Tu nigdy nie przyniosłbym kawy - zarzekął się Monk. - Już rzuciłem kawę, w ogóle jej nie piję,

Nawet o niej nie myślę. Przegnałem już kawę z mojej egzystencji.

- Doceniam to. Ale niestety nasze pomieszczenia to strefa ściśle zamknięta. Właściwie państwo nie powinni się tu teraz znajdować.

- Mój zegarek na rękę ma więcej pamięci RAM niż komputery, z których korzystają detektywi na piętrze - powiedziałam. — Jakim cudem udało się wam ściągnąć takie cacka?

- Walka z przestępczością finansową wymaga policjanta innego gatunku, nowych metod śledczych i najnowszych technologii — wyjaśniła Chase. — Otrzymywane przez nas środki pozostają w ściślejszej proporcji do dochodów, które wnosimy do skarbu państwa.

- Myślałam, że waszym zadaniem jest walka z przestępczością - powiedziałam. - Nie miałam pojęcia, że wasza działalność ma przynosić dochód.

- W ubiegłym roku odzyskałiśmy w gotówce, papierach wartościowych i innych aktywach prawie dwadzieścia dwa miliony dolarów utraconych w wyniku przestępczej działalności gospodarczej - pochwaliła się pani porucznik. - Kiedy po zakończeniu śledztwa nasze sprawy zostają poddane orzecznictwu sądowemu, a ewentualnym ofiarom zostaje zrekompensowana strata, znaczny odsetek tego, co zostaje z niegodziwych zysków, trafia do departamentu policji na dalsze wsparcie naszej walki z przestępczością.

- Dlaczego przynajmniej część tych pieniędzy nie zasili wydziału zabójstw piętro wyżej? Zwłaszcza budżetu utrzymywania czystości? - zapytał Monk.

- Jestem pewna, że trochę funduszy tam trafia -

odpowiedziała Chase. - Ale nam potrzebne są doskonałe narzędzia, aby nasza praca była skuteczna i abyśmy mogli dotrzymać kroku postępowi technicznemu, jaki reprezentują ścigani przez nas przestępcy. To wiele kosztuje.

- Zarabianie pieniędzy kosztuje wiele pieniędzy.

- Siedzenie pieniędzy kosztuje wiele pieniędzy — stwierdziła porucznik Chase.

- To nie wydaje się sprawiedliwe - wtrącił Monk. - Każdy w tym budynku powinien mieć możliwość cieszenia duszy błogim nastrojem tego wnętrza, a już szczególnie ja.

- Domyślam się, że nie przyszlście tu państwo rozprawać o tym, jak departament policji dzieli budżet — powiedziała porucznik Chase.

- Chcielibyśmy się dowiedzieć, co wyczytała pani z dokumentu, który znaleźliśmy na biurku Brandona Lorbera. Dla nas przedstawia on tylko gołe liczby.

Chase uśmiechnęła się do Mońka.

- Na tej kartce kryje się coś znacznie więcej niż gołe liczby - wyjaśniła. - W zasadzie liczby są jak ludzie. Wszystkie mają swoją przeszłość. Wszystkie mają ze sobą coś wspólnego. Bawią. Informują. Zwodzą. Dają szczęście lub zadają ból. Trzeba umieć nakłonić je do mówienia.

Mogłam tylko przyklasnąć. Porucznik Chase mimowolnie pomagała mi wesprzeć argumentację, jaką usiłowałam przedstawić Monkowi w mieszkaniu Ambrose'a i w pokoju przesłuchań. Być może coś jednak zrozumie, kiedy to samo usłyszy od pani Sylvii Chase, kogoś, kogo najwyraźniej poważa. Chciałam być jednak pewna, że złapie sens jej słów.

- Inaczej mówiąc, panie Monk, pani porucznik

ma na myśli - wtrąciłam - że to, co panu wydaje się mało ważne, dla kogoś innego może mieć ogromne znaczenie. Dla pani porucznik liczby są jak uszy z drugiego sezonu.

Chase i Monk spojrzeli na mnie, nic nie rozumiejąc. Albo próbowali zmiażdżyć mnie spojrzeniami. Nie jestem pewna. Trudno było cokolwiek dostrzec przy takim świetle, ale nawet w tych egipskich ciemnościach było dla mnie oczywiste, że żadne z nich nie zrozumiało tego tak jasno jak ja.

- Nieważne - rzuciłam szybko. - Co więc po wiedziały pani liczby, kiedy wzięła je pani do pokoju przesłuchań i pobiła książką telefoniczną?

Chase potrząsnęła głową i odwróciła się do Monka.

- Uszy? Książka telefoniczna? - pytała. - Co to ma wspólnego ze sprawą?

Monk wzruszył ramionami.

- Od rana plecie trzy po trzy. Proszę nie zwracać na nią uwagi, pani porucznik.

- Mówiąc ogólnie, ten dokument to tajny wewnętrzny raport finansowy, który ujawnia, że lada moment korporację Burgerville ścisną za gardło skutki wielu lat nieprawidłowości, złego zarządzania i niewłaściwych decyzji. Firma jest na skraju totalnego bankructwa.

- Ależ to jedna z największych sieci barów szybkiej obsługi w kraju — powiedziała z niedowierzaniem. - Wszędzie mają restauracje.

- Agresywna ekspansja kosztowała mnóstwo pieniędzy przy jednoczesnym spadku popularności produktu. Firma trąbiła o wielkim sukcesie, ale prawda jest taka, że średnia sprzedaż od lat spadała na łeb na szyję, by w ostatnim kwartale minio-

nego roku podatkowego osiągnąć aż dwadzieścia jeden procent strat. Spółka nadal generuje żałośnie niski przepływ gotówki i na koniec roku odnotuje straty netto rzędu stu milionów dolarów.

- Ukrywają to wszystko przed opinią publiczną? - zapytał Monk.

- Również przed inwestorami i rządem - powiedziała Chase. - Jednak największym przestępstwem będzie to, co się stanie z funduszem emerytalnym pracowników, w całości sponsorowanym przez Burgerville i składającym się z giełdowych akcji spółki.

- Gdy tylko rozniesie się wieść o finansowych problemach firmy, ceny akcji zaczną gwałtownie spadać - zgadłam. - Tysiące ludzi popadnie w ruinę.

- To nowy Enron, tyle że na mniejszą skalę.

- Dla ludzi, którzy utracą swoje życiowe oszczędności, to nie będzie mała skala — powiedziałam. -To katastrofa. Jak to się stało, że nikt nie zauważył, co się dzieje?

- Dla ministerstwa sprawiedliwości nic nie jest tajemnicą. Od miesięcy pracują nad pozwem przeciw spółce Burgerville - wyjaśniła Chase. - Natomiast wszystko było trzymane w tajemnicy przed pracownikami.

- Może nie przed wszystkimi - powiedział Monk. - Przynajmniej jeden z nich coś wiedział.

- Człowiek z pistoletem i wiadomością dla Lorbera — powiedziałam.

Monk przytaknął.

- Tyle że dotarł tam za późno, aby mu ją prze kazać.

Porucznik Chase udostępniła nam dużo więcej informacji dotyczących przestępstw finansowych Brandona Lorbera. Na przykład przekonał zarząd spółki do wykupu od pewnego franszyzobiorcy siedmiu regionalnych restauracji Burgerville po cenie wyższej niż rynkowa. Jak się okazało, franszyzo-biorcą był jego szwagier.

Chase powiedziała nam również, że Burgerville wystawiał dzierżawcom zawyżone rachunki za dostawy i sprzeniewierzał pieniądze, które restauracje przelewały na fundusz promocyjny i marketingowy.

Lista nieprawidłowości wydawała się ciągnąć w nieskończoność, a pocięty dokument z biurka Lorbera był kamieniem z Rosetty, który wszystko to odkrywał.

Teraz, kiedy Brandon Lorber nie żył, uwaga śledczych skoncentrowała się na Andrew Cahillu, długoletnim dyrektorze finansowym firmy, który po śmierci Lorbera zaczął pełnić obowiązki prezesa zarządu.

Było oczywiste, że Brandon Lorber niebawem zostałby zwolniony jako kanalia, która dla własnej korzyści bezlitośnie zniweczyła przyszłość pracowników swojej firmy. Czekala go publiczna hańba, proces sądowy i furia tysięcy pracowników. Nic dziwnego, że dostał ataku serca albo że ktoś miał ochotę go zabić.

Nawet zbezczeszczenie zwłok wydawało mi się w tym wypadku dość logiczne. Jakoś potrafiłam zrozumieć, dlaczego ktoś, kto stracił wszystko, posłał kilka pocisków w ciało faceta, który za to odpowiadał. Zrobił tak z wściekłości i rozgoryczenia, że po raz drugi został w okrutny i niesprawiedliwy sposób oszukany - tym razem dlatego, że pozbawiono



go możliwości zemsty i zadośćuczynienia sprawiedliwości.

Nie wiedziałam co prawda, co problemy finansowe sieci Burgerville i śmierć Lorbera, a w konsekwencji zbezczeszczenie jego zwłok, mogły mieć wspólnego z Conradem Stipe'em i taksówkarzem, ale w każdym razie mieliśmy teraz tysiące osób podejrzanych o te przestępstwa. Nie byłam tylko pewna, czy to miało nam ułatwić rozwikłanie zagadki, czy uczynić ją jeszcze trudniejszą.

Wróciliśmy na górę, aby podzielić się naszymi wiadomościami ze Stottlemeyerem i Disherem.

Kontrast między wydziałem do spraw zabójstw a Wydziałem Księgowości Sądowej był piorunujący. Pokój detektywów skąpany był w szarawym świetle lamp fluorescencyjnych i prześwitującego słabo słońca, którego blade, rozproszone smugi wpadały do wnętrza przez zabrudzone okna i wykrzywione żaluzje.

Brudne ściany wyglądały w takim świetle nie biało, lecz żółto, a szare metalowe biurka zdawały się mieć jeszcze więcej wgnieceń i zadrapań i wyglądały na jeszcze starsze, niż w rzeczywistości były. Wielkie, nieporęczne monitory komputerów, ustawione na środku biurek zarzuconych papierzyskami, wydawały się jakieś potwornie opasłe, poobijane i liczące sobie chyba z pół wieku.

Wiem, pięćdziesiąt lat temu nie było jeszcze komputerów osobistych, ale jakoś tak jest ze sprzętem elektronicznym, że kiedy przestaje być nowoczesny, wydaje się jeszcze bardziej wiekowy. Oczywiście, większość sprzętu elektronicznego przestaje być nowoczesna dwa miesiące po pojawieniu się na rynku, ale wiecie, o co mi chodzi, prawda?

W wydziale zabójstw nawet ludzie wydawali się starsi, grubszy, bardziej zmęczeni i gorzej zorganizowani niż odziani w obcisłą czerń księgowi z piwnicy.

Monk wyglądał na załamane.

- To jakaś kloaka.

- Nigdy dotąd to panu nie przeszkadzało - powiedziałam.

-- Dopóki nie spojrziałem w niebiosa. Teraz nie ma odwrotu.

Jestem przekonana, że podobnie czuła się większość policjantów z wydziału zabójstw. Może prawdziwym powodem, dla którego księgowi nosili przy sobie broń, była obrona przed swoimi zazdrośnymi współpracownikami.

Disher siedział przy biurku. Zauważyłam, że na tabliczce z jego nazwiskiem pojawiła się teraz dodatkowa informacja: JEDNOSTKA SPECJALNA DO SPRAW BEZCZESZCZENIA.

- Gdzie byliście? — zapytał.

- Rozmawialiśmy z porucznik Sylwią Chase - odpowiedziałam. - Byłeś kiedyś w jej biurze?

Disher zniżył głos.

- To nie są gliny z krwi i kości, jeśli chwytasz, o co mi chodzi. Na amen ugrzęźli w tej ciemnej norze bez okien. Przyprowadziłem ją tu niedawno, żeby zobaczyła prawdziwych facetów i zrozumiała, co znaczy prawdziwa robota.

- Hm, musiała być zafascynowana.

- Coś do niej dotarło, a to najważniejsze - stwierdził Disher.

- Kiedy zacząłeś się zajmować biurowymi intrygami?

Disher postukał znacząco palcem w tabliczkę z nazwiskiem.

- To przychodzi wraz z nową odpowiedzialnością, kochanie.

Nie widziałam sensu przypominać mu, że jego jednostka została rozwiązana z chwilą, gdy Monk dowiódł powiązania aktu bezczeszczenia zwłok ze sprawą zabójstwa. Randy zasłużył sobie, by cieszyć się swoim stanowiskiem jak najdłużej. Przebaczyłam mu nawet nazwanie mnie „kochaniem” - proszę, jaka ze mnie wrażliwa osoba.

- Dobrze, że przyszliście. - Porucznik wstał z krzesła. - Ja i kapitan mamy dla was mnóstwo ciekawych informacji.

- My dla was również — odparłam i weszłam za nim do gabinetu Stottlemeyera.

- Miałeś rację, Monk - powiedział Stottlemeyer zza biurka. - Stipe rzeczywiście był w tej taksówce.

- Dostaliście wyniki testów DNA z gumy do żucia? — zapytał Monk.

- Postanowiliśmy wykorzystać mniej zaawansowane metody działania. Jeszcze raz przejrzelśmy rzeczy osobiste Stipe'a — wyjaśnił kapitan.

- Znaleźliśmy w portfelu paragon z taksówki za kurs z lotniska do hotelu Belmont - powiedział Disher. - Wystawił go Phil Bisson, ten zastrzelony taksówkarz.

- Nie myliłeś się również w wypadku papierka od cukierka - ciągnął kapitan. - W tej samej taksówce jechał również człowiek, który strzelał do Lorbera.

- Udało się wam sprawdzić numer serii towaru i kierunki zawijania papierka?

- Byłem w centrali firmy taksówkowej i dostałem wyciąg wszystkich kursów Phila Bissona z ubie-

głego tygodnia - powiedział Disher. - W ten sam wieczór, w który oddano strzały w siedzibie Burgerville'a, dwie przecznice od siedziby spółki nasz taksówkarz wziął pasażera i zawiózł go na lotnisko, a tam wsiadł do jego taksówki Stipe, który kazał się zawieźć do hotelu Belmont.

- Podobno miałeś coś ciekawego w kwestii kostiumów z *Poza Ziemią* - zagadnął Mońka Stottlemeyer.

- Ja? - zdziwił się Monk.

- To Ambrose — powiedziałam.

- Otóż nasza krawcowa, Ursula Glemstadt, pamiętała, że w czasie zlotu sprzedawała mundury Morrisowi Hiblerowi, organizatorowi zlotu, oraz Ernestowi Pinchukowi, przywódcy powstania galaktycznego - powiedział Disher. - Poza tym sprzedała je wielu innym osobom, których kompletnie nie znała. Kazaliśmy jej więc przejrzeć zdjęcia gości zlotu i zaraz posadzimy ją przy rysowniku, żeby sporządzili portret pamięciowy.

Nagle Monk poruszył niezgrabnie ramionami i uśmiechnął się szeroko. Dobrze znałam ten uśmiech. Wszyscy go znaliśmy.

Wywołał on uśmiechy również na naszych twarzach.

- Już wszystko wiesz - stwierdził Stottlemeyer. - Tak?

- Tak. Wiem.

## Monk i śmiertelny trójkąt

To była moja ulubiona chwila, gdy wszystkie wątki śledztwa wydawały się jasne jak słońce, a ja czułam się jak ostatni dureń, nie mając pojęcia, jak mogą tworzyć jedną całość. Monk jednak długo się napawał tą chwilą i nie śpieszyło mu się z wyjaśnieniami.

- Jestem ci winien przeprosiny, poruczniku -zwrócił się do Disher.

- Za co? - nie rozumiał Disher.

- Tym razem mnie ubiegłeś - przyznał Monk.

- Ubiegłem pana?

- Byłem tak roztrzęsiony moim zaplamionym dywanem, że brakowało mi jasności myślenia, by w porę docenić dostrzeżony przez ciebie klucz do rozwiązania całej sprawy.

- To zrozumiałe, Monk - powiedział Stottlemeyer protekcyjnym tonem. - Każdy z nas byłby wstrząśnięty plamą z kawy na dywanie.

- Dziękuję, kapitanie - odpowiedział Monk, nie wyczuwając ironii w słowach kapitana.

- Co ja takiego zauważyłem? - dopytywał się Disher.

- Śmiertelny trójkąt, dwa strzały w klatkę piersiową i jeden w głowę - odparł Monk. - Od razu się zorientowałeś, że do Lorbera strzelał z zimną krwią zawodowy zabójca.

- Zatem miałem rację - ucieszył się porucznik.
- Tak.
- Więc właściwie rozwikłałem tę sprawę przed panem — powiedział z dumą Disher, a potem zerknął na Stottlemeyera. - Dokonał pan kiedyś czegoś takiego?
- To niemożliwe - powiedział kapitan.
- Nie lubię się puszyć swoim talentem szybkiej dedukcji, bo wtedy przeciwnik mnie nie docenia i opuszcza gardę. Tymczasem pod moim czerepem kryje się przenikliwy intelekt. Jestem jak Colum-bo, tyle że bez prochowca, cygara i szklanego oka.
- Stottlemeyer rzucił Disherowi gniewne spojrzenie.
- Chodziło mi o to, że zawodowy zabójca zorientowałby się, że Lorber już nie żyje.
- Właśnie dlatego do niego strzelił - stwierdził Monk.
- Nie rozumiem - powiedział Stottlemeyer.
- Wypiłeś dziś kawę z kofeiną? — zapytał Monk.
- To by nic nie pomogło - odrzekł Stottlemeyer.
- Oto, co się stało - zaczął Monk. - Do zabicia Brandona Lorbera został wynajęty zamachowiec. Połowę zapłaty miał otrzymać w formie zaliczki, a drugą połowę po wykonaniu zadania. Tymczasem kiedy się pojawił u Lorbera, ten już nie żył, pozbawiając zabójcę reszty zarobku.
- Chciał więc, aby się wydawało, że człowiek, który zmarł z przyczyn naturalnych, padł ofiarą morderstwa - zauważyłam.
- Właśnie - potwierdził Monk.
- Zwykle zabójcy starają się udowodnić coś odwrotnego — powiedziała.
- Dlatego nikt nie wątpił, że to było morderstwo - mówił dalej Monk.

- Pan wątpił - przerwałam.
- Ale poza Monkiem nikt, nie wyłączając mnie i naszego Columbo - powiedział Stottlemeyer, spoglądając na Dishera. - Kiedy znajdujemy ciało osobnika, który został postrzelony dwa razy w klatkę piersiową i raz w głowę, to raczej wychodzimy z prostego założenia, że mamy do czynienia z morderstwem.
- Te czasy już się skończyły. - W głosie Dishera brzmiał smutek. - Teraz nawet proste sprawy nie będą proste.
- Będziemy liczyć na przenikliwy intelekt, który wszystko przejrzy - mruknął kapitan. - Czy poza nami i lekarzem sądowym ktoś jeszcze wie, że Lorber zmarł z przyczyn naturalnych?
- Nie - odpowiedział porucznik.
- Niech tak zostanie — polecił kapitan.
- Nałykałam się dzisiaj sporo kofeiny, ale wciąż nie wszystko rozumiem - stwierdziłam. - Co Stipe i taksówkarz mają z tym wspólnego?
- Znaleźli się w niewłaściwym czasie w niewłaściwym miejscu - powiedział Monk. - Po oddaniu strzałów do Lorbera zamachowiec przeszedł parę przecznic, zatrzymał taksówkę i pojechał na lotnisko. Ta sama taksówka zabrała potem z lotniska Stipe'a i zawiozła go do hotelu.
- Tyle to sami wiemy - wtrącił Stottlemeyer. - Nie wiemy natomiast, dlaczego zamachowiec wrócił stamtąd, dokąd odjechał, żeby zabić Stipe'a i taksówkarza.
- Taksówkarz mógłby go rozpoznać — powiedział Disher.
- Ale Stipe nie - powiedziałam.
- Myślę, że zamachowiec zostawił w taksówce coś, co go obciążało - powiedział Monk. - Co wi-

dział zarówno Stipe, jak i taksówkarz, i co mogło doprowadzić śledczych do zabójstwa Brandona Lorbera.

- Ale Lorber przecież nie został zamordowany - powiedziałam. - Zamachowiec zabił Stipe'a i taksówkarza, aby nie kojarzyli go z morderstwem, którego nie było?

- Tak jest - przyznał Monk.

- Wiedział, że Jednostka do spraw bezczeszczenia" będzie niestrudzenie deptać mu po piętach - wtrącił Disher. - I wiedział, że kiedy go dopadniemy, na długie lata pójdzie za kratki. To była tak przerażająca perspektywa, że bał się nawet o niej myśleć.

- Co było tą obciążającą rzeczą, którą zamachowiec zostawił w taksówce? — zapytał Stottlemeyer.

- Tego nie wiem. Ale w jakiś sposób się dowiedział, że następnym pasażerem w taksówce był Conrad Stipe, który przyleciał do miasta na zlot fanów *Poza Ziemią*. Przebrał się więc za pana Snorka i zadbał o to, aby jego strzały do Stipe'a widzieli świadkowie i nagrały kamery. Chciał być pewien, że poszukiwania zabójcy pójdą błędnym torem.

- Jeśli dobrze rozumiem, Monk - powiedział Stottlemeyer - mówisz, że cała sprawa z serialem *Poza Ziemią* miała odwrócić naszą uwagę, a Stipe zginął tylko dlatego, że jadąc do hotelu, wsiadł do złej taksówki, tak?

- Wszystkie nitki prowadzą do Brandona Lorbera — powiedział Monk. - Musimy się dowiedzieć, kto chciał go zabić i kto wynajął do tego zadania zawodowego zabójcę.

- Za to mamy mnóstwo ludzi, którzy mieliby ochotę zabić Stipe'a - powiedział Disher.



- Zamachowiec miał szczęście — przyznał Monk.  
- Jeśli jednak nasz zamachowiec nie zabił Stipe'a ani taksówkarza, to największym przestępstwem, jakie by popełnił, było zbezczeszczenie zwłok - powiedział Stottlemeyer.

- To straszna zbrodnia — stwierdził porucznik Disher.

- Nie tak straszna jak morderstwo - powiedział Stottlemeyer. - Posuwamy się mocno do przodu, dysponujemy tylko gumą do żucia i papierkiem po cukierku. Nie mamy nawet tej obciążającej rzeczy, która, jak mówisz, jest kluczem do reszty. Jesteś pewien, że masz rację, Monk?

- Zawsze mam rację.

Jeśli zamachowiec rzeczywiście był zawodowym zabójcą, to wyjaśnialoby, dlaczego zachował stoicki spokój, gdy strzelał do Stipe'a, i dlaczego tak umiejętnie w niego wycelował. Ale dowodziłoby to również czegoś innego, co pozwalało Monkowi wszystko zrozumieć.

- Nie zawsze, panie Monk - powiedziałam. - Porucznik Disher nie jest jedyną osobą, której jest pan winien przeprosiny. Powinien pan też przeprosić Ambrose'a.

- Nie rozumiem dlaczego.

- Ambrose wskazał panu istotny trop, a pan go nieładnie zignorował.

- Jaki trop? - zainteresował się Disher.

Rzuciłam Monkowi zimne spojrzenie. Jeśli sam nie powie, ja to zrobię i Monk dobrze o tym wiedział.

- Zamachowiec miał mundur z pierwszego sezonu *Poza Ziemią*, a uszy z drugiego sezonu — przyznał Monk. - Atrybuty nie pasowały do siebie, po-

nieważ zabójca nie miał zielonego pojęcia o... mało istotnych detalach z serialu.

—Czy nie tak rozwiązuje pan zwykle zagadki kryminalne? Dostrzegając mało istotne detale, które uszły uwagi zabójcy? — zapytałam.

—To co innego - powiedział Monk.

—Nie, to nie jest co innego — odparłam. — Żle dobrane przebranie dowodzi, że zamachowiec nie pochodził z kręgu fanów *Poza Ziemią*. Ambrose zauważył też, że mundur był nowiutki, a to pomogło dowieść, że zabójca kupił go w dniu morderstwa.

Monk spojrział na mnie gniewnie.

—Dzięki za posypanie mi rany środkiem antyseptycznym - powiedział ponurym głosem.

—Mówi się: „za posypanie mi rany solą” — poprawił go Disher.

—Kto wcierałby w ranę sól — zachnął się Monk. — Sól nie czyści i nie dezynfekuje.

—Ale rozjątrza ranę i zadaje potworny ból - powiedział Disher.

—Odrąbanie ręki siekierą też zada ci ból. Ale nie wiem tylko, co to ma wspólnego z tym, że Natalie próbuje zrobić ze mnie pośmiewisko w oczach pracodawcy.

—Nie to było moim zamiarem — powiedziałam. - Broniałam tylko pańskiego brata.

—Czy on jest tu z nami? - zapytał zgryźliwie Monk.

—Oczywiście, że nie. Nigdy nie wychodzi z domu. Właśnie dlatego muszę go bronić.

—Rozumiem - powiedział Monk. - Więc pracujesz u niego czy u mnie?

Nigdy wcześniej nie widziałam takiego spojrzenia w oczach Mońka, w każdym razie gdy patrzył

na mnie. Był to czysty gniew. Zrozumiałam, że przekroczyłam delikatną granicę.

- U pana - odrzekłam. - Mam nadzieję.

Poczułam, że serce zaczyna mi mocno bić. Nie-wykluczone, że swoim przemądrzalstwem pozbawiłam się najlepszej pracy, jaką w życiu miałam.

Monk nie uczynił nic, by uspokoić moje obawy. Po prostu odwrócił się i wyszedł z gabinetu kapitana.

- Co takiego zrobiłam? - zapytałam Stottlemeyera i Dishera.

- Spokojnie - odpowiedział kapitan. - Nie potraktowałaś go surowiej niż Sharona.

- Sharona to był twardy orzech do zgryzienia -dodał Disher. - Nie było mowy, żeby Monkowi coś uszło na sucho.

- I już jej nie ma — dodałam tonem pełnym wątpliwości.

- Monk nie zwolnił jej z pracy - powiedział Stottlemeyer. - To Sharona od niego uciekła.

- To nie znaczy, że mnie nie zwolni.

- Monk ma swoje słabostki, właściwie ma ich tysiące, ale ma też nazbyt wybujałe ego - powiedział Stottlemeyer. — Nic się nie stanie, jeśli ktoś mu czasem przypomni, że nie jest pępkiem świata i nie wolno mu lekceważyć uczuć innych ludzi. To dobrze wpłynie na jego zdrowie.

- Jestem pewna, że niejeden szef powinien czasem usłyszeć coś takiego. - Odwróciłam się do Dishera. - Kiedy ostatnim razem mówiłeś kapitanowi, że jest gruboskórny i za mało chwali podwładnych za dobrze wykonaną robotę?

Disher przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

- E... nie musiałem, kapitan nigdy taki nie jest...

- Lizus.
- Monk cię potrzebuje, Natalie. Nie tylko do jeżdżenia samochodem i podawania chusteczek higienicznych - rzekł Stottlemeyer. — Doskonale o tym wie.
- Mam nadzieję, że się pan nie myli - westchnęłam i wyszłam szukać swojego szefa.

Dogoniłam go na zewnątrz. Szedł ulicą, dotykając każdego mijanego parkometru.

- Dokąd pan idzie, panie Monk?
  - Błąkam się bez celu do siedziby Burgerville.
- Nie zamierzałam mu tłumaczyć, że skoro wie, dokąd idzie, to się nie błąka, a już z pewnością nie bez celu. Jeszcze pół godziny wcześniej bym mu to wytknęła.
- Po co?
  - Jest tam Andrew Cahill, pełniący obowiązki prezesa spółki. Chcę z nim porozmawiać.
  - Mogę pana podwieźć — zaproponowałam. - Do staniemy się tam o wiele szybciej.
  - Żebyś mogła zrobić ze mnie pośmiewisko w obecności podejrzanego w sprawie o morderstwo? -stwierdził Monk. - Wolę nie.
  - Nie chciałam z pana robić pośmiewiska, panie Monk - powiedziałam. - Jeśli tak wyszło, to przepraszam.
  - Masz mnie chronić, a nie wbijać mi nóż w plecy. Wiesz, jaki jestem podatny na razy, gdy zostaję wyrwany niespodziewanie z domu i rzucony w nieznane.
  - Mieszka pan ze swoim bratem - przypomniałam. - Czy to nieznane?

Powiedziałam to bez specjalnego namysłu i natychmiast pożałowałam wyzywającego tonu. Monk się zatrzymał.

- Znowu zaczynasz. Nie zgadzasz się ze wszystkim, co robię, podajesz w wątpliwość wszystko, co mówię.

- Nieprawda - zaprzeczyłam.

Rzucił mi gniewne spojrzenie i ruszył dalej. Po chwili go dogoniłam.

- Dobrze, w porządku, tak, nie zgadzałam się z tym, co pan mówił, ale nie robię tego przez cały czas. To, co powiedziałam w gabinecie kapitana, powiedziałam tylko po to, aby panu pomóc.

- Jak ma mi pomóc wytykanie moich potknięć na oczach ludzi, którzy płacą mi za to, że jestem doskonałą?

- Przede wszystkim nikt nie oczekuje od pana doskonałości. Sam pan się poddaje takiej presji - powiedziałam. - Chciałam tylko przybliżyć pana do brata.

- Nie po to cię zatrudniam.

- Zatrudnił mnie pan, abym była pana asystentką i ułatwiała panu życie. W każdym razie myślę, że takie są moje obowiązki, choć nigdy ich pan nie sprecyzował. To daje mi dość dużo swobody w domyślaniu się, jak najlepiej wykonać pracę.

- Dałem ci listę - przypomniał Monk.

- Listę fobii - stwierdziłam. - Wiedza, że boi się pan ozdobnych poduszek na kanapę, trampoliny i kłębków kurzu, w niczym nie ułatwia mi zadania. Mam natomiast głębokie przekonanie, że poprawa stosunków z bratem zdecydowanie może ułatwić panu życie.

- Świetnie dajemy sobie radę - stwierdził Monk.

- W ogóle się nie widujecie.
- Właśnie.
- On pana potrzebuje, panie Monk, i myślę, że pan jego również.
- Więc teraz jesteś terapeutą od spraw rodzinnych, tak?
- Wiem, że obaj jesteście samotni, a nie musicie — powiedziałam. — Boli mnie, jak na to patrzę.
- Monk znowu się zatrzymał.
- Boli?
- Oczywiście, panie Monk.
- Dlaczego?
- Bo nie lubię patrzeć, jak ludzie, na których mi zależy, są nieszczęśliwi.
- Zależy ci na mnie?
- Jest pan dla mnie kimś znacznie więcej niż pracodawcą - powiedziałam. - Zakładając oczywiście, że wciąż jestem pana pracownicą.
- Oczywiście, że jesteś - powiedział Monk.
- Odetchnęłam z ulgą.
- Dziękuję, panie Monk.
- Bardzo się cieszę, że jestem dla ciebie kimś więcej niż tylko pracodawcą - powiedział.
- Ponieważ ja jestem dla pana kimś więcej niż tylko pracownicą?
- Ponieważ to nie jest praca - odpowiedział Monk. - To zobowiązanie na całe życie.

## Monk idzie do siedziby Burgerville'a

Monk stanął przed drzwiami obrotowymi, jakby miał się za chwilę zmierzyć z odwiecznym wrogiem. Zezował na nie spod przymrużonych powiek i nerwowo poruszał zwieszonymi rękami. Nie było mowy, by drugi raz miał przejść przez te drzwi.

- Wygląda pan jak szeryf, który mierzy wzrokiem rewolwerowca i lada moment wyrwie broń z kabury - powiedziałam.

- Już kiedy zobaczyłem te drzwi, powinienem się był domyślić, że Brandon Lorber to typ, który okrada swoich pracowników i niszczy ich przyszłość.

Pomachałam do Archiego Applebauma, który siedział przy ochroniarskim stanowisku w środku holu. Archie wstał i podszedł do drzwi. Podniósł do góry swoją kartę magnetyczną, dając do zrozumienia, że wie, iż ma nas wpuścić do środka bocznymi drzwiami.

- Tylko dlatego, że w jego biurówcu znajdują się obrotowe drzwi? - zapytałam Mońka.

- To oczywiście, że cierpienia innych ludzi sprawiały mu przyjemność - wyjaśnił Monk. - Z jakiego innego powodu kazałby ludziom przechodzić przez taki koszmar?

- Może po to, aby goście mogli płynnie wcho-

dzie i wychodzić z budynku, a on mógł oszczędzić na ogrzewaniu i klimatyzacji w holu głównym? Monk prychnął.

- Jakaś ty naiwna.

Archie przeciągnął kartą przez czytnik przy drzwiach ewakuacyjnych, otworzył je szeroko i dał ręką znać, abyśmy weszli.

Normalnie z tych drzwi korzystano tylko po godzinach pracy lub w wypadku gości niepełnosprawnych, jednak Monk tylko w ten sposób był w stanie wejść do hotelu, a potem z niego wyjść.

- Witamy ponownie w naszych progach - przywitał nas Archie. - Leland dzwonił i uprzedził, że możecie się pojawić. Czym mogę służyć?

- Chcielibyśmy porozmawiać z Andrew Cahillem — powiedziałam.

- Zadzwoń do niego na górę i zapytam, czy znajdzie dla was trochę czasu.

- Na górę? - zaniepokoił się Monk.

- Urzęduje na dziesiątym piętrze - wyjaśnił Archie.

- Mógłby pan go poprosić, żeby zjechał na dół? - zapytałam.

- Nie - zaprotestował Monk. - Musimy iść na górę.

- To mnóstwo stopni, panie Monk — starałam się go zniechęcić.

- Jednak chcę się z nim zobaczyć w jego gabinecie — powiedział Monk.

Archie podszedł do swojego stanowiska, zatelefonował i po chwili wrócił do nas.

- Pan Cahill chętnie was przyjmie - oznajmił.

Odprowadził nas do schodów, otworzył kartą kolejne drzwi i przytrzymał je szeroko otwarte.



- Bardzo tu dbacie o bezpieczeństwo — zauważył Monk.

- To główna siedziba potężnej ogólnokrajowej korporacji - powiedział Arenie. - Przyciąga wielu frustratów.

- Czy każdy ma w gabinecie niszcarkę? - zapytał Monk.

- Oczywiście - odpowiedział Archie.

- Co się dzieje z pociętymi dokumentami?

- Sprzątacze zbierają je do osobnych kubłów i znoszą na dół — wyjaśnił Archie. — Do przyjazdu firmy, która się zajmuje niszczeniem dokumentacji, trzymam je pod kluczem w specjalnym pomieszczeniu.

- Jest taka firma?

- Przyjeżdżają raz na tydzień — mówił dalej Archie.

- Zabierają wszystkie skrawki i je spopielają.

- Ja też trzymam odpady w specjalnym pomieszczeniu - zwierzył się Monk.

- Naprawdę? - zdziwił się Archie.

- Naprawdę - potwierdziłam.

- Chyba każdy tak robi, prawda? - stwierdził Monk.

- Myśli pan, że to możliwe, aby również do mnie przyjeżdżali raz w tygodniu, odbierali odpady i je spopielali?

- Nie wiem, musiałby pan ich zapytać. Ale szczerze mówiąc, nie wydaje mi się.

- Kto ma klucz do tego pomieszczenia? - zapytał Monk.

- Jeden miał pan Lorber, drugi kierownik administracyjny budynku, a trzeci ja wspólnie z dwoma pozostałymi strażnikami, którzy pracują na inne zmiany. Dlaczego pan pyta?

- Pasjonują mnie pocięte dokumenty. Uwiel-

biam składać w całość rzeczy, które wcześniej się rozpadły na kawałki.

- Bawiliby pana odtwarzanie dokumentów poszatkowanych w niszczarce?

—Byłbym wniebowzięty — odpowiedział Monk i ruszył po schodach.

Kiedy doszliśmy do dziesiątego piętra, czułam w ciele każdy najmniejszy mięsień, a powietrze wciągałam całymimi płucami.

Monk, sądząc po jego ciężkim oddechu i bolesnym wyrazie twarzy, nie miał się lepiej ode mnie, ale jakimś sposobem udało mu się opanować wydzielanie potu przez organizm. Na jego skórze nie widziałam najdrobniejszej kropelki. Zdziwiająca. Musi mnie nauczyć, jak to się robi.

Byłam ciekawa, nad jakimi jeszcze niekontrolowanymi reakcjami ciała udaje mu się zapanować. Może potrafi powstrzymać łzawienie oka albo napływ śliny do ust? Może umie zapanować nad ro-śnięciem włosów?

Kiedy usiłowałam sobie przypomnieć, kiedy Monk był ostatni raz u fryzjera, u szczytu schodów zobaczyłam sekretarkę Cahilla z dwiema butelkami wody w ręce.

Nie była to woda Sierra Springs, więc Monk podziękował. Ale ja z olbrzymią chęcią wzięłam obie butelki i kiedy sekretarka prowadziła nas do gabinetu szefa, duszkiem je opróżniłam.

Andrew Cahill robił wrażenie mężczyzny, który na ławce w siłowni zdolny byłby dźwignąć mój samochód. Jego mięśnie, niczym fale oceanu, kaskadami marszczyły się pod białą, szytą na zamówień-

nie koszulą. Choć nie wiedziałam, czy to one tak falują, czy też ja, bliska omdlenia, słańiałam się na nogach.

Gabinet Cahilla był urządony identycznie jak Brandona Lorbera, nie wyłączając porozwieszanych na ścianach fotografii przedstawiających go na tle różnych restauracji Burgerville'a w całym kraju. Jedyne wyjątek stanowił leżący na biurku szklany przycisk do papieru z zatopionym w środku motylem.

—Miło pana widzieć, panie Monk - przywitał się Cahill, wyciągając rękę. - Chętnie pomogę w śledz twie, na ile tylko będę mógł.

Szybko podałam Monkowi chusteczkę higieniczną, zanim nawet zdążył poprosić. Po naszej niedawnej sprzeczce byłam gotowa dogadzać mu we wszystkim.

- Zapewniam pana, że mam czyste ręce — po wiedział z uśmiechem Cahill. —W każdym znacze niu tego słowa.

—Zabrzmiało to tak, jakby na użytek ewentualnego procesu ćwiczył pan swoją biegłość w zaprzeczaniu - powiedziałam. - Taki uśmiech mógłby rozłożyć ławę przysięgłych.

—Nie zamordowałem Brandona Lorbera - oznajmił Cahill. - Byłem w tym czasie w Chula Vista na otwarciu nowej restauracji Burgerville'a.

- Lorber zginął od kuli zawodowego zabójcy. Żadne alibi nie oczyści pana z podejrzania, że mógł go pan wynająć. Ale wydaje mi się, że moja asystentka miała na myśli proces w sprawie sza-chrajstw finansowych.

- Nie mam pojęcia, o czym pan mówi - oburzył się Cahill.

Ludzie bardzo często wypowiadali przy Monku to zdanie. W kontekście śledztwa w sprawie zabójstwa najczęściej było to łgarstwo. W kontekście przestrzegania surowych zasad, którymi się kieruje Monk, jak choćby jedynie słuszny sposób grabienia liści, była to prawda. Ale tym razem nie mówiliśmy o grabieniu liści. Mowa była o grabieniu pieniędzy i morderstwie, które miało tę grabież ukryć.

- W takim razie kiepski z pana prezes spółki - powiedziałam. - Policjanci księgowi wzięli już pana pod lupę, a właściwie pod mikroskop elektronowy. Dobrze wiemy o wykupach po zawyżonych cenach franszyz, które po cichu należały do szwagra Lorbera. Wiemy o przekrętach funduszami promocyjnymi i wielu innych grzeszkach. Pana robota polega chyba na tym, żeby wiedzieć, jak krążą firmowe pieniądze, prawda?

- Chodziło mi tylko o to, że nie jestem zamieszany w finansowe nieprawidłowości - stwierdził Cahill. - To sprawka Brandona. To on manipulował danymi, które otrzymywałem, kłamał i opłacał moich podwładnych, aby przekazywali mi nieprecyzyjne informacje. Byłem wstrząśnięty rozmiarami jego przestępczej działalności, dlatego już od paru miesięcy współpracuję w tej sprawie z wymiarem sprawiedliwości.

Monk podszedł do biurka Cahilla i uważnie się przyjrzał niszczarce.

- Kiedy przestępstwa ujrzą światło dzienne, zamierza więc pan oskarżać o szwindle Brandona Lorbera. Potrafię zrozumieć dlaczego. Lorber nie będzie mógł się bronić i wskazać na pana.

- Lorber bierze ciężki, pan bierze spółkę - po-

wiedziała. - Jego morderstwo obróci się na pana korzyść.

Cahill chciał coś powiedzieć, ale Monk nie dopuścił go do głosu.

- Ładna niszczarka. Mogę ją wypróbować?

- Proszę bardzo - odpowiedział Cahill i wyciągnął w moją stronę palec; miałam wrażenie, że ma w tym palcu więcej mięśni niż ja w udzie. — Uważa pani, że wyjdę z tego bez skazy? Prasa mnie zniszczy. Stracę miliony dolarów w akcjach i cały plan emerytalny.

Monk wziął z biurka Cahilla pustą kartkę papieru i wsadził ją do niszczarki, która po chwili wyrzuciła skrawki wąskich pasemek. Cahill wskazał wielkim palcem poszatkowany papier.

- Na dodatek tak będzie wyglądała moja przyszłość jako prezesa spółki - powiedział. — Chyba że uda mi się uratować firmę. Choć szanse są nikłe.

Monk wziął do ręki dwa pocięte paski i podniósł je pod światło, a potem upuścił je z powrotem do kosza.

- Może być gorzej - powiedział. - Może pan trafić do więzienia.

- To mało prawdopodobne. W zamian za składanie zeznań mam gwarancję nietykalności.

- Jestem pewien, że gwarancja nie obejmuje morderstwa.

- Jeśli szuka pan kogoś, kto miałby motyw do zabicia Brandona, nie musi pan szukać daleko, wystarczy zajrzeć do jego domu — powiedział Cahill. — Wszystko przejmuje jego żona i nie ma nikogo, kto po śmierci Brandona będzie mógł jej coś zabrać. Gdyby żył, stanąłby przed sądem, a cały majątek zostałby zajęty. Kobieta straciłaby rezydencję na Pacific Heights, jacht, samolot Gulfstream, dom na

Hawajach, dom w Vail i dwa srebrne bentleje, jeden jej, drugi jego. Znowu musiałyby obnosić na wybiegu swój zaokrąglony po operacjach plastycznych tyłek.

- Była modelką? - zaciekałam się.

- Striptizerką. Brandon poznał ją piętnaście lat temu w nocnym klubie w Dallas i rzucił dla niej żonę. Tymczasem dziewczyna szukała po prostu nadzianego męża. Miała bardzo wygórowane wymagania, których Brandon nie byłby w stanie zaspokoić, gdyby rzad się do niego dobrał.

- Myśli pan, że mogła zabić, aby zatrzymać majątek dla siebie? - zapytałam.

- Swojego bentleja kochała sto razy bardziej od męża - stwierdził Cahill. - Takie kobiety nie grzeją długo miejsca przy bogaczu, gdy jego majątek się ulotni. Zaczynają polować na następnego.

- Nie rozumiem, jak ludzie mogą komuś płacić za to, żeby zdjął odzież - powiedział Monk ze wstrętem, kiedy schodziliśmy schodami; mogłabym mu wyjaśnić, ale nie dopuścił mnie do głosu. - Ja zapłaciłbym nagiej osobie, żeby się ubrała.

Proszę, ciekawa sprawa.

- I patrzyłby pan, jak się ubiera?

- Nie przebywałbym nawet na tej samej ulicy - odpowiedział Monk. - A nawet wówczas zakrywałbym oczy.

- To po co chciałby pan jej płacić?

- Dla spokoju ducha. Wiedziałbym, że jednego golasa na świecie mniej.

- Nie sądziłam, że nagość przedstawia tak wielki problem - powiedziałam.

- To potężny problem. Większy niż globalne ocieplenie.

- Może ludzie się rozbierają, bo na świecie robi się za ciepło.

Z zadumanej miny Mońka mogłam się jednak domyślić, że moja dowcipna uwaga nie zakończy jego medytacji nad arcyważną kwestią nagości.

- Kto chciałby wejść w związek małżeński z nagą osobą? — zapytał Monk.

Przypominało mi to rozmowy z moją córką. Często zadawała mi dziwne pytania, na które nie umiałam znaleźć łatwej odpowiedzi. Niedawno zapytała mnie, dlaczego chorych ludzi nie można uśpić jak kota czy psa. W sprawach śmierci moja córka wydaje się bardzo pragmatyczna, co budzi we mnie lekki lęk, wzięwszy pod uwagę, że na stare lata będę zdana na jej łaskę.

Odpowiedziałam Monkowi tak, jak odpowiedziałabym Julie, gdyby zadała to samo pytanie.

- Każdy człowiek jest nagi.

- Ja nie - odparł Monk.

- Teraz nie - przyznałam. - Ale nie można być nieustannie ubranym.

- Oczywiście, że można.

- W pewnym momencie dnia nawet pan zdejmuje rzeczy, panie Monk.

- Ależ skąd.

- Jak to możliwe?

- To norma w cywilizowanym społeczeństwie. Człowiek powinien się ubierać i rozbierać etapami - tłumaczył Monk. - W czasie czynności ubierania czy rozbierania zawsze zachowuje na sobie jakąś część ubioru. Nie czytałaś literatury instruktażowej?

- Jakiej literatury?  
- Podręcznika, który wręczyła mi kiedyś moja matka i który tobie wręczyła twoja matka - mówił Monk. - Może przyda ci się trochę odświeżyć wiedzę i przeczytać rozszerzone wydanie, które podarowałaś Julie. Wiele się zmieniło od czasów naszego dzieciństwa.

- Nie dawałam Julie żadnego podręcznika.

Monk spojrział na mnie z przerażeniem w oczach.

- Co z ciebie za matka!?! Radzę ci, załatw sobie jakiś egzemplarz, zanim zastuka do twoich drzwi opieka społeczna.

Matka Mońka dała mu podręcznik ubierania się? Chyba sama go pisała. Pomyślałam, że taka lektura musiałaby być pasjonująca, a jednocześnie nieco przerażająca, może nawet więcej niż nieco.

- Mogłabym pożyczyć pański egzemplarz? -- zapytałam.

- Chętnie bym ci pożyczył — odpowiedział Monk. - Ale już go nie mam.

- Co się z nim stało?

- Kiedyś Trudy poprosiła, żebym dał jej go do przeczytania — wyznał. — Od tego czasu go nie widziałem. Wielka zagadka.

Dla mnie żadna zagadka.

Dobrze wiem, co zrobiłabym z takim podręcznikiem, gdybym była żoną Mońka i kochała go tak jak Trudy. Spaliłabym go. Zaczęłam się zastanawiać, czy dla Mońka, który rozwiązał w życiu mnóstwo o wiele bardziej skomplikowanych zagadek, sprawa podręcznika rzeczywiście była taka tajemnicza.

- Jeśli nigdy pan się całkowicie nie rozbiera, to jak bierze pan natrysk? — zapytałam.

Monk oblał się rumieńcem.



- Nie uważasz, że zadajesz zbyt osobiste pytania? W końcu jestem twoim szefem. Nie powinnaś myśleć o mnie, jak się kąpię pod natryskiem.

- Wcale nie myślę.

- Nawet ja nie chcę myśleć o sobie, jak się kąpię pod natryskiem.

Monk stanął na piątym piętrze, wziął głęboki oddech, by dodać sobie odwagi, i puścił się biegiem przed siebie. Przebywanie na nieparzystym piętrze było dla niego jak przejście po moście linowym nad przepaścistym wąwozem, musiał więc mieć poważny powód, aby się tu zatrzymać.

Poszłam za nim do gabinetu Brandona Lorbera.

- Po co tu przyszliśmy?

- Przeprowadzić pewien bardzo ważny test.

Wziął z biurka Lorbera pustą kartkę i wsadził ją do jego niszczarki.

- Jeśli zamierza pan sprawdzić w ten sposób, z której niszczarki pochodzi pocięty na skrawki dokument, to może pan dać sobie spokój - powiedziałam. — To taka sama niszczarka jak w gabinecie Cahilla.

- Nie ma dwóch takich samych niszczarek - odpowiedział Monk.

- To ta sama marka, ten sam model i identyczne ostrza.

- I tu się mylisz. - Monk wziął dwa pocięte paski i podniósł je pod światło. - Ostrza się tępią i szczybią w różnych miejscach. Wystarczy, że ktoś wsadzi do niszczarki dokument ze zszywaczem, a na krawędzi ostrza powstaje niemal niedostrzegalny karb.

- Niemal niedostrzegalny? - zapytałam. - Żeby coś takiego dostrzec, trzeba chyba mikroskopu.

- Ja widzę gołym okiem - odpowiedział Monk.

- Naprawdę?

Monk wrzucił skrawki papieru do kosza na śmieci.

- Pocięty na skrawki dokument finansowy pochodził z gabinetu Andrew Cahilla - oświadczył. - Chciałem się tylko upewnić.

- Zatem świetnie wiedział, co się dzieje w firmie, ale zamiast zgłosić wszystko odpowiednim władzom, zniszczył dokument - stwierdziłam. — Kłamca.

- Większość morderców to kłamcy - rzucił Monk.

- Cahill jest mordercą?

- Nie wiem — odpowiedział Monk. — Jeszcze.

Podziwiałam tę niezachwianą pewność siebie, z jaką Monk wypowiadał słowo „jeszcze”. We wszystkich śledztwach, które prowadził, nigdy nie miał cienia wątpliwości, że schwyta zabójcę.

Z jednym wyjątkiem, a była to sprawa, na której najbardziej mu zależało. Sprawa morderstwa Trudy. Z wyęsknieniem czekałam dnia, kiedy to się zmieni.

## Monk i dom strachów

Nie bardzo wiem, dlaczego ludzie tak bardzo podkreślają różnicę między majątkiem odziedziczonym a wypracowanym przez siebie. Pieniądz to pieniądz. Czy się go ma czy nie. Liczy się przede wszystkim to, na co człowiek go wydaje.

Wiem z własnego doświadczenia, co znaczy być bogatym i co znaczy być biednym. Pochodzę z bardzo zamożnej rodziny, która na produkcji pasty do zębów dorobiła się niemałej fortuny. „Każdy ma zęby i nikt nie chce ich stracić”, mawiał mój dziadek i dodawał: „To najpewniejszy interes świata”.

Był to jednak interes, na którym mój dziadek o mały włos nie zbankrutował, kiedy ujawnił, że dla wypromowania hasła „słodki ząbek” oryginalną recepturę pasty okrasił zwykłym cukrem. W istocie rzeczy przyspieszył rozwój próchnicy wśród klientów. Firma jakimś cudem wygrzebała się ze skandalu, przeorientowała, a niebawem zaczęła kwitnąć, stając się korporacją o światowym zasięgu, jaką pozostaje po dziś dzień.

W dzieciństwie niczego mi nie brakowało, może z wyjątkiem odrobiny niepewności. Moje życie było zbyt bezpieczne, zbyt rozpieszczone i zbyt ograniczone.

Wiem, myślicie sobie teraz: „Ho, ho, ho, panien-

ka z bogatego domu". Ale wierzcie mi, pieniądze wcale nie są takie dobre, jak się wszystkim wydaje. Nie tylko nie kupicie za nie szczęścia, ale nawet niekoniecznie zapewnią wam wolność. Oczywiście jesteście wolni od strachu o zaspokojenie podstawowych potrzeb: nie grozi wam głód ani utrata dachu nad głową. Ale kiedy wszystko przychodzi łatwo i człowiek żyje w przeredzonym świecie, to tak naprawdę nie ma poczucia, że żyje.

Więc się zbuntowałam. Wyrzekłam się rodzinnej fortuny i zakochana uciekłam w świat z mężczyzną, który miał bogatą osobowość, za to kieszenie puste. Był to jednak najszczęśliwszy okres w moim życiu i mam dzisiaj Julie, która zawsze mi będzie o nim przypominać.

Od tamtego czasu ledwie wiązę koniec z końcem. Bycie samotną matką to żadna zabawa. Na pewno łatwiej byłoby ulec i sięgnąć do konta ojca, ale wówczas nie byłabym samodzielna i jaka nauka popłynęłaby z tego dla mojej córki? Poza tym nie spotkałabym. Mońka, a moje życie byłoby zapewne mniej nieprzewidywalne i mniej fascynujące.

Dzięki temu, że wiem, co znaczy być biednym i co znaczy być bogatym, wielki majątek i zamożni ludzie nie robią na mnie wrażenia. Podobnie zresztą na Monku, ale z zupełnie innego powodu. Monk jest społecznym analfabetą. Po prostu nie wie, czym jest potulność, zazdrość i poczucie niższości, których oczekują od ciebie ludzie mający więcej pieniędzy niż ty. Monk właściwie w każdej sytuacji nie ma pojęcia, jak się zachować. Kieruje się własnymi regułami i jest zdumiony, że nie kieruje się nimi cała ludzka rasa i cała natura.

Nieważne, w każdym razie ani na mnie, ani na

Monku nie zrobiła wielkiego wrażenia wiktoriańska rezydencja Brandona Lorbera na Pacific Heights i rozpościerający się z niej imponujący widok na most Golden Gate, hrabstwo Marin i wyspę Alcatraz.

W dziewiętnastym wieku na Pacific Heights mieszkały elity San Francisco. Kupcy i królowie złodziei, z majątkami zbitymi na złocie, cukrze czy kolei żelaznej, potrzebowali swojego Olimpu - podniebnego wzgórza, na którym mogli pędzić żywot, patrząc z góry na bezlitośnie wyzyskiwaną tłuszcę, i gdzie pomniki ich sukcesu były dobrze widoczne.

Ta prawda funkcjonuje jeszcze dzisiaj, czy twój majątek jest odziedziczony czy wypracowany, czy też istnieje tylko na papierze.

Kapitan Stottlemeyer i porucznik Disher — słabo opłacani funkcjonariusze państwowi - czuliby się w otoczeniu bogactwa nieswojo i niewykluczone, że właśnie dlatego woleli, abyśmy sami wybrali się na rozmowę z Veronicą Lorber. Jak myślę, kapitan wyszedł z założenia, że czarna owca zamożnej rodziny i detektyw nie mający pojęcia o życiu społecznym osiągną podczas spotkania z wdową po Lorberze więcej niż oni razem wzięci. Dla ludzi, których zasobność portfeli zależy od kaprysu polityków, pieniądze i wpływy są prawdziwą piętą achillesową.

Zaparkowałam na samym końcu Broadwayu. Ulicę zamykał bujny lasek dzielnicy Presidio i Baker Steps biegnące w dół, ku dzielnicy Marina.

Na szczycie schodów, skąd rozciągał się wspaniały widok, zobaczyłam dwóch artystów ze sztalugami. Jeden z nich malował pejzaż z zatoką, a drugi malarza, który malował zatokę.

Idąc do rezydencji Lorbera, obejrzałam się przez ramię, żeby sprawdzić, czy powyżej nie stoi ktoś, kto być może maluje malarza, który maluje malarza, który maluje zatokę. Założę się, że nie da się tego szybko powtórzyć.

Po obu stronach bramy wjazdowej do posiadłości Lorberów stały kamienne lwy, z których każdy trzymał łapę na kamiennej kuli. Monk czuł się z tym trochę niewyraźnie; podobała mu się symetria pasujących do siebie lwów, ale czuł, że powinny opierać obie łapy na dwóch kamiennych kulach. Nie powiedział tego głośno, ale byłam o tym przekonana. Znam Mońka od dawna i jak już mówiłam, nie potrafi dobrze ukrywać swoich uczuć.

Jakoś nie padłam na kolana przed kamiennymi lwami. Mnóstwo bogaczy je miało i nie mogłam zrozumieć, co takie posągi miały symbolizować. Dlaczego w ogóle lwy? I dlaczego kamienne kule?

Drzwi frontowe, wielkości bramy do krainy Oz, otworzył nam kamerdyner w liberii. Wyglądał jak zółw, który przed pięćdziesięcioma laty przeistoczył się w wyniku ewolucji w człowieka i przehandlował skorupę na frak.

- Każdy z lwów ma tylko jedną kulę - powiedział Monk na powitanie.

Kamerdyner podniósł brwi.

- Słucham pana?

- To Adrian Monk, a ja jestem jego asystentką. Nazywam się Natalie Teeger - wtrąciłam szybko. — Kapitan Leland Stottlemeyer z policji San Francisco umówił nas na spotkanie z panią Victorią Lorber.

- Istotnie - przytaknął kamerdyner. - Pani przyjmie państwa w gabinecie. Proszę za mną.

Poszliśmy długim marmurowym korytarzem. Mój dziadek miał rację, twierdząc, że „każdy ma zęby”, ale teraz odniosłam wrażenie, że wiele więcej można zarobić na sprzedaży pożywienia, które tymi zębami trzeba rozgryzać.

Po chwili kamerdyner wprowadził nas do ogromnego pokoju, tak wysokiego, że mógłby się w nim pomieścić wahadłowiec kosmiczny.

Monk cofnął się gwałtownie o krok z wyrazem obrzydzenia i przerażenia na twarzy. Kiedyś widziałam u niego podobne zachowanie, gdy niespodziewanie zobaczył przed sobą miskę wielosmakowych płatków granoli.

Nie sufit go przestraszył, lecz wystrój wnętrza. Przypominało ono salę z trofeami w myśliwskiej chacie. Ściany były obwieszane rybami oraz głowami saren, jeleni, antylop, niedźwiedzi i Bóg jeden wie, jakich jeszcze stworzeń. Zwierzęce skóry leżały na podłodze i wisiały na meblach. W rogu stał olbrzymi wypchany niedźwiedź, który wydawał wieczny niemy ryk w kierunku tygrysa ze szklanymi oczami, skradającego się po przeciwnej stronie pokoju.

Ciekawe, czy Brandon Lorber osobiście zastrzelił każdą krowę, z której Burgerville brał wołowinę na hamburgery. W każdym razie nie ograniczał swojego zabijania do gromady ssaków. Posiadał też kolekcję różnobarwnych motyli, wystawionych w gablotkach na kilku stolikach.

Veronica Lorber siedziała na krześle obok niedźwiedzia. Zapewne stanowiła jedyne trofeum myśliwskie Lorbera, którego ten nie uśmiercił i nie wypchał.

Gdyby Dolly Parton wpadła do kontenera z lo-

dami bakaliowymi Ben&Jerry's i musiała się przez nie przegryźć, aby wyjść na zewnątrz, wyglądałaby właśnie jak wdowa po Brandonie Lorberze.

Kobieta miała zaczerwienione oczy, a po policzkach spływały jej strużki łez. W pięści zaciskała zwiniętą w kulkę chusteczkę, trzymając się jej jak liny ratunkowej. Całe szczęście, że chusteczka znajdowała się w jej dłoni, a nie na podłodze, bo Monk wezwałby służby epidemiologiczne z centrum w Atlancie.

Kamerdyner zaanonsował naszą obecność, jakbyśmy przybyli na wielki bal.

- Pan Adrian Monk i pani Natalie Teeger!
- Dziękuję ci, Maxwellu — powiedziała Veronica.

Kamerdyner lekko skłonił głowę i oddalił się bez szmeru.

- Proszę, niech pan wejdzie, panie Monk - zaprosiła wdowa, pociągając nosem.

- Nie mogę - szepnął do mnie Monk.

- Proszę o chwilę cierpliwości — powiedziałam z uśmiechem do pani Lorber, a potem odwróciłam się do Mońka. - Cos jest nie tak?

- A coś jest tak? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

Obejrzałam się na pokój i spróbowałam ujrzeć jego wnętrze z punktu widzenia Mońka. Zobaczyłam wszędzie zwierzęce głowy; rozmaitej wielkości, różnych kształtów i różnych gatunków. Nic do niczego nie pasowało.

W Monkowym pojmowaniu świata panował tutaj istny chaos. Jeśli Lorberowie musieli już mieć wywieszane na ścianach sarnie głowy, to powinna ich być parzysta liczba, powinny być dokładnie tej



samej wielkości i powinny wisieć w równiutkim rzędzie i równych odstępach, rzecz jasna nie przemieszane z głowami jeleni i antylop. Każde zwierzę powinno mieć własny rząd. O motylach nawet nie wspominajmy. W ogóle nie powinny się znaleźć w tym pomieszczeniu.

- Wiem, że tu panuje potworny bałagan, panie Monk, a saren nie powinno się mieszać z jeleniami i motylami - powiedziałam. - Ale da pan sobie radę.

- Komu przeszkadza bałagan?

- Panu. Panu zawsze przeszkadza bałagan.

- To najmniejszy problem - stwierdził Monk.

- Rozumiem, rozprasza pana posmarkiwanie pani Lorber?

- Kobieto, otwórz wreszcie oczy! — Monk wskazał wnętrze pokoju. - To rzeźnia!

- Co pan powiedział? — zapytała Veronica.

- Pan Monk powiedział, że ma pani piękny dom — wyjaśniłam szybko i ściszyłam głos. - Niech pan tak nie krzyczy. To przecież zwykłe trofea myśliwskie.

- Nie widzę tu trofeów. Widzę rozrzucone wszędzie fragmenty ciał — powiedział Monk, znowu podnosząc w rozdrażnieniu głos. — Te ściany ociekają krwią.

- Czy on coś powiedział o krwi? — zapytała Veronica. - Coś ocieka krwią?

- Musiała pani źle usłyszeć. Pan Monk powiedział, że z zachwyty kolana mu drżą. To taki brytyjski komplement. Proszę nam dać jeszcze sekundę - poprosiłam i odciągnęłam Monka, by pani Lorber nie mogła nas słyszeć.

Wierzyć mi się nie chciało, że parę wypchanych zwierzęcych łbów wytrąciło go z równowagi. Był de-

tektywem wydziału zabójstw. Nieraz oglądał gorsze rzeczy. Ja zresztą również, odkąd zostałam jego asystentką.

- Wielka mi rzecz - szepnęłam. - Codziennie pan patrzy na zwłoki.

- Nigdy nie przebywałam w pomieszczeniu, gdzie setki okaleczonych ciał przybito gwoździami do ściany, rozciągnięto na podłodze i rozwieszono na meblach. To wywołuje odruch wymiotny, nie mówiąc już, że urąga podstawowym zasadom sanitarnym.

- A kostnica? Przecież uwielbia pan kostnicę. Tam również wszędzie znajdują się ciała i fragmenty ciał.

- Ale to są czyste ciała, a ich części są pieczołowicie uporządkowane w sterylnym środowisku — wyjaśnił. - Czyste, uporządkowane i sterylne. Jak powinno wyglądać wszystko w życiu.

Warknęłam cicho ze złości i wsunęłam głowę do gabinetu.

- Nie przeszkadzałoby pani, gdybyśmy odbyli naszą rozmowę w innym pokoju? — zapytałam Veronicę. - Jak mi się wydaje, pan Monk ma alergię na jelenie.

- Zostanę tutaj - oświadczyła Veronica. — Nie ruszyłam się z tego miejsca od chwili, gdy otrzymałam potworną wiadomość o śmierci Brandona. Być może nigdy już nie wyjdę z jego gabinetu.

- Dlaczego?

- Kiedy tu siedzę, czuję, że jestem blisko niego.

- Czy jego głowa również wisi na ścianie? - zapytał Monk.

Veronica wstrzymała oddech. Ja również.

- Panie Monk! - powiedziałam tylko, a potem

odwróciłam się do Veroniki, która miała równie osłupiały wzrok jak wisząca nad nią sarna. — Proszę mi wybaczyć. Pan Monk dzisiaj nie jest sobą.

- To dlatego, że zachłysnąłem się powalającą wonią śmierci - powiedział Monk.

Twarz Veroniki gwałtownie się zaczerwieniła. Kobieta wydeła wściekle policzki. Wyglądała jak wystraszona nadymka ponakłuwana zastrzykami z kolagenu.

- To był ukochany pokój mojego męża. Jeśli nie każę Maxwellowi wyrzucić pana za drzwi, to tylko dlatego, że wiem, iż jest pan genialnym detektywem i znajdzie pan mordercę Brandona - powiedziała. - Niech mi pan powie, panie Monk, w czym problem? Czy pan również należy do rzeszy tych oszołomów walczących o prawa zwierząt, którzy pikietują nasze restauracje, bo podajemy w nich wołowinę?

- Nie - odpowiedział Monk.

- Nie rozumiem więc, jak można być tak zimnym i niewrażliwym. Straciłam męża, który został okrutnie zamordowany. Ma pan pojęcie, jak ja się teraz czuję?

- Mam - odparł Monk. - Tym bardziej nie rozumiem, dlaczego otaczanie się śmiercią sprawia pani przyjemność. Nawet w tej chwili siedzi pani na zwierzęcej skórce.

- To narzuta.

- Nie powinna pani na niej siadać - przekonywał Monk. - Powinna ją pani jak najszybciej pogrzebać.

Początek rozmowy poszedł nam fatalnie i wciąż nie dowiedzieliśmy się niczego, co posunęłoby śledztwo naprzód. W każdym razie tak mi się wydawa-

ło. Może gdzieś leżał jakiś włoszek pochodzący ze zwierzęcej sierści, który stanowił dowód. Niemniej jednak uznałam, że najlepiej będzie, jeśli zrobię wszystko, aby nie pogarszać sytuacji.

- Skoro nie możemy prowadzić rozmowy w jednym pokoju, to proponuję, aby pan Monk pozostał na korytarzu, a pani w gabinecie, w ten sposób będziemy mogli wreszcie porozmawiać o zabójstwie. W końcu schwytanie mordercy pani męża jest wspólnym celem nas wszystkich.

- To nic trudnego — powiedziała Victoria. — Aresztujcie Andrew Cahilla.

- Dlaczego pani uważa, że to on zabił pani męża?

- Brandon odkrył, że Andrew robi jakieś lewe interesy, i zamierzał go w tym tygodniu zdemaskować.

- Dowody zdają się wskazywać, że było wręcz przeciwnie - powiedział Monk.

- Oczywiście - przyznała Victoria. - Andrew jest dyrektorem finansowym i bez trudu mógł fałszować liczby i stworzyć każdą historyjkę. Mówiłam Brandonowi, żeby nic nie mówił Andrew, tylko poszedł prosto do prokuratury. Ale jeśli mojemu mężowi ktoś już się nawinął pod lufę, lubił sam ciągnąć za spust.

- Śmierć pani męża nie przyniosłaby Cahillowi żadnych korzyści - powątpiewał Monk. - Prokuratura już wcześniej przyznała mu immunitet za składanie zeznań. Na śmierci Brandona Lorbera mogła skorzystać wyłącznie pani.

- Przecież straciłam męża.

- Ale zatrzyma pani jego fortunę — dowodził Monk.

- Zapewne też,otrzyma pani resztę majątku

spółki Burgerville po zakończeniu procesu i zaspokojeniu roszczeń odszkodowawczych.

- Pieniądze są dla mnie niczym w porównaniu z tym, co utraciłam - oświadczyła Victoria. - Miłości męża nie da się zmierzyć żadną miarą.

- To dlaczego sypiała pani z Andrew Cahillem? - zapytał Monk.

- Jak pan śmie tak mówić?! - krzyknęła pani Lorber, zrywając się na nogi.

- Bo na to wskazują dowody - stwierdził Monk. - To pani kolekcjonuje motyle, a nie pani mąż. Motyl zatopiony w przycisku do papieru na biurku Cahilla to niezwykle cenny okaz z rodziny paziowatych, dokładnie taki sam jak ten w gablotce na stole obok pani. Jest to tak rzadki gatunek, że nie ma go nawet Narodowe Muzeum Historii Naturalnej. Ale pani podarowała jeden egzemplarz Cahillowi. Nie jest to coś, co się darowuje zniechęconemu mężczyźnie. Wręcz przeciwnie. Jestem pewien, że Cahill nie odważył się położyć go na swoim biurku, dopóki pani mąż nie wyjechał z budynku w foliowym worku. A jeśli ten motyl tak wiele dla niego znaczy, to jego uczucia względem pani muszą być równie silne.

- Jest pan małym, wstrętnym człowieczkiem - syknęła pani Lorber.

- To nie ja siedzę na martwym ciele w pokoju pełnym zwierzęcych łbów - stwierdził Monk. - Mam nadzieję, że chociaż zamierza pani umyć ręce.

- Jeśli ani pani, ani Andrew Cahill nie wynajął zabójcy pani męża, to kto to zrobił? - zapytałam.

- Wszędzie pełno tych małych, wstrętnych świrów od praw zwierząt — rzuciła. - Jest jeszcze ten mały, wstrętny człowieczek, który wylał sobie kawę

na brzuch i winił za to męża. Są jeszcze ci mali, wstrętnei ekolodzy, którzy oskarżają nas o zanieczyszczanie środowiska opakowaniami. Świat jest pełen małych, wstrętnych ludzi.

Słuchając całej tej tyrady, wyobraziłam sobie tłum elfów z zapalonymi pochodniami, maszerujących wolno w kierunku domu Lorberów.

- Jednak nikt z nich nie wynajął zamachowca - powiedział Monk.

- Skąd pan to wie? - prychnęła lekceważąco Veronica.

- Żaden z nich nie miał dostępu do magnetycznego klucza pani męża. Ten, kto wynajął mordercę, miał taki dostęp. Ponadto doskonale wiedział, kiedy strażnik wyjdzie na obchód i oddali się od stanowiska. To ktoś, kto dobrze znał Brandona Lorbera, a nikt nie znał go tak dobrze jak pani.

Dolna warga pani Lorber drżała ze wściekłości. Może to kolagen odpłynął raptem z jej twarzy, co tłumaczyłoby, dlaczego ma dwa podbródki.

- Wyoście się - wycedziła.

- Z największą przyjemnością — odpowiedział Monk. - Nie obrazi się pani, jeśli pobiegniemy?

- Jest już o wiele za późno, aby się zastanawiać, co mnie może obrazić - odparła. - Ty mały, wstrętny człowieczku!

Jestem wysoką kobietą, ale gdy pędziliśmy z Monkiem przez dom strachów Veroniki Lorber, nie mogłam się opędzić od pytania, czy na zawsze już zapamięta mnie jako „małą, wstrętną kobietkę”.

## Monk i iks

Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, zapytałam Mońka o parę rzeczy, które chodziły mi wciąż po głowie.

- Skąd pan wiedział, że kolekcja motyli należy do pani Lorber, a nie jej męża?

- Wydedukowałem — odpowiedział Monk. — Trudno uwierzyć, żeby człowiek, który lubi strzelać do zwierząt, biegając z siatką po łąkach, łapiąc motyle. Gdyby Brandon Lorber chciał podarować Cahillowi jakieś trofeum, byłby to zwierzęcy łeb, a nie wielobarwny owad.

- Skąd pan znał gatunek motyla?

- Ten motyl ma szczególny skład chemiczny. Każde zwierzę, które go połknie, natychmiast zwraca swoją zdobycz - wyjaśnił Monk. — A ja zawsze chcę wiedzieć wszystko o wszystkim, co powoduje zwracanie pokarmu. Wymiotowanie jest jak umieranie przed śmiercią.

- Panie Monk, jakie jest prawdopodobieństwo, że jakiś rzadki okaz motyla zmieni tor lotu i wpadnie panu do ust?

- Nigdy nic nie wiadomo - mruknął Monk, który dopiero teraz zdawał się dostrzec malarzy ze sztalugami.

Gdy mijaliśmy ich w drodze do samochodu, zerknął na nieukończone jeszcze obrazy. Artysta malujący zatokę tworzył lichy kicz, jakich wiele

można znaleźć na objazdowych wystawach, które pojawiają się w weekendy na parkingach wielkich centrów handlowych.

Jednak drugi z malarzy, ten który malował malarza malującego zatokę, przejawiał prawdziwy talent i poczucie humoru. Udało mu się nawet uchwycić całą amatorszczyznę obrazu, nad którym pracował jego model. Również Monk wydawał się zainteresowany jego dziełem. Postanowiłam szybko zadać mu parę pytań, zanim malarz do reszty odwróci jego uwagę.

- Jeśli Veronica Lorber i Andrew Cahill ze sobą sypiają, to dlaczego on obciąża ją, a ona jego za śmierć Brandona Lorbera? - zapytałam. - Czy są aż tak wyzuci z uczuć i egoistyczni, że gotowi są siebie zdradzić?

—Zrobili tak, żeby się nawzajem wyeliminować — wyjaśnił Monk, zaglądając malarzowi przez ramię.

- Wyeliminować? Jak to rozumieć?

- Doszli do wniosku, że jeśli będą się nawzajem oskarżać o zamordowanie Lorbera, nigdy nie będziemy ich podejrzewać o romans i wspólne knowania - wyjaśnił Monk. - Ale to się obróciło przeciwko nim. Pokazali się jako ludzie wyrachowani i chciwi, jakimi są w rzeczywistości.

—Biorąc pod uwagę śmierć Brandona Lorbera i immunitet Cahilla, z finansowego skandalu oboje mogą wyjść z niemal nienaruszonym majątkiem - powiedziałam. - To całkiem dobry powód do zabójstwa.

—Pieniądze i seks to zwykle najlepszy powód — powiedział Monk.

Z pewnością były to rzeczy, które napędzały Arianne Stipe i Veronicę Lorber. Obie były samo-



lubne, chciwe i łase na bogatych mężczyzn. Oczywiście, Arianna właśnie przeszła bolesny rozwód i trudno ją było ganić za to, że zaczęła sypiać ze swoim adwokatem i walczy o należną jej część pieniędzy Conrada Stipe'a. Ale mimo wszystko jej nie lubiłam. Veronica Lorber przynajmniej odegrała przed nami scenę żałoby, ale była to tylko scena. Zdradzała męża jeszcze wtedy, gdy cieszył się życiem, i niewykluczone, że zapłaciła za jego zamordowanie, by przejąć pieniądze. Obie kobiety miały wiele wspólnego. Jestem pewna, że gdybym je sobie przedstawiła, zostałyby serdecznymi przyjaciółkami — w każdym razie do chwili, w której jedna drugiej wbiłaby nóż w plecy z powodu pieniędzy lub mężczyzny.

Kiedy nad tym rozmyślałam, Monk chrząkał głośno, chcąc zwrócić na siebie uwagę artysty.

Malarz był mężczyzną chudym jak szczapa, na mój gust mocno po czterdziestce, o ogorzalej twarzy, jakby każda chwila, którą spędził pod gołym niebem, zostawiła na niej ślad. Miał na sobie upačkany T-shirt, a włosy na jego opalonych rękach posklejane były grudkami zaschniętej farby.

- Przepraszam - zaczął Monk. - Zrobił pan błąd.

Malarz się odwrócił.

- W sztuce nie ma czegoś takiego, jak „źle” czy „dobrze”.

- To również błąd - stwierdził Monk. - Zawsze jest źle lub dobrze. Malarz, którego pan raczy malować, ma na sobie kraciastą koszulę z dwudziestoma czterema kratkami na plecach. Tymczasem na pana obrazie ma ich tylko czternaście. Poza tym domalował mu pan czapczkę żeglarską, a on przecież nie ma nic na głowie. To niecisłość.

- To nie fotografia - odpowiedział malarz. - To interpretacja artystyczna. Maluję tak, jak widzę.

- To chyba są panu potrzebne okulary. Albo ma pan urojenia.

Malarz wziął pędzel i bez słowa ostrzeżenia namalował na ustach Mońka niebieski znak iks.

Monk zachwiał się, zrobił parę kroków do tyłu, prysnął śliną, zaskomlał i zaczął wymachiwać rękami, jakby zaatakował go rój pszczoł. Machał tak przed twarzą, bo w pierwszym odruchu i dzikiej desperacji chciał zetrzeć z ust farbę, ale nie śmiał tego zrobić w obawie, że pomaże sobie ręce i ubranie. Cierpiał w agonii.

Malarze i kilku przechodniów patrzyli na niego osłupiali.

- Spokojnie, panie Monk - powiedziałam, się gając do torebki po chusteczkę. - Jestem przy panu.

Podskakiwał w miejscu, a ja usiłowałam usunąć mu farbę z ust.

- Niechże pan stoi spokojnie, panie Monk, bo całego pana zapaćkam.

Monk w jednej chwili znieruchomiał. Uwijałam się przy nim, a on nic nie mówił i nie poruszył żadnym mięśniem, w strachu, że farba dostanie mu się do ust. Ta cisza była urocza. Dyskretnie ustawiłam go w taki sposób, abym mogła jednocześnie podziwiać widoki.

Wszystko zajęło mi całe dwadzieścia minut i zużyłam przy tym paczkę chusteczek, ale w końcu udało mi się usunąć farbę z twarzy Mońka. Na szczęście nie zaplamiliśmy przy tym ubrania.

Gdy ja przeprowadzałam zabieg, malarz, który namalował Monkowi iksa, zdążył pozbiierać swoje rzeczy i zniknąć. Byłam pewna, że niemożność pod-

jęcia pościgu za sprawcą, który bezczelnie ucieka na oczach ofiary, doprowadzała Mońka do białej gorączki.

Jakoś udało mi się go odwieść od pomysłu wezwania karetki pogotowia, która miała go odwieźć do ambulatorium. Uświadomiłam mu, że niebezpieczeństwa, jakie czyhają na niego w szpitalu, stanowią wielokrotnie większe zagrożenie niż to, które przedstawia farba, w dodatku dokładnie starta.

Pojechaliśmy więc wprost na policję, gdzie Monk chciał postawić na nogi wszystkie siły służb porządkowych, aby, pozwólcie, że zacytuje: „zapolowały na psychopatę jak żarłoczne psy”.

Gdy weszliśmy do komendy, mina Stottlemeyera od razu mi powiedziała, że jest w kiepskim nastroju, choć Monk nie zdążył nawet otworzyć buzi.

- Musimy zorganizować wielką obławę na czło wieka - oznajmił Monk, wchodząc do gabinetu kapitana.

Kapitan westchnął zmęczony.

- Na kogo polujemy?

- Na śliniącego się, usmarowanego farbą psychopatę - powiedział Monk. - Musimy otoczyć miasto i aresztować go jak najszybciej.

Nie pamiętam, żeby malarz się ślinił, ale nic nie powiedziałam.

- Pod jakim zarzutem? - zapytał Stottlemeyer. - Czy chodzi o to ślinienie?

- Zaatakował mnie śmiercionośnym pędzlem.

- Nie wyglądasz na rannego.

- Tylko dlatego, że na miejscu była Natalie i podjęła natychmiastowe działania ratujące życie. — Monk niemal ze łzami w oczach odwrócił się do mnie. -Będę ci dożgonnie wdzięczny.

Podziękowałam Monkowi, a potem zwięźle wyjaśniłam Stottlemeyerowi, co się stało; mam nadzieję, że w sposób obiektywny i nie narzucający sądu. Odniosłam wrażenie, że moja relacja zdecydowanie zmieniła nastrój kapitana. Widziałam, jak z trudem powstrzymuje uśmiech.

- To mógł być Zodiakalny morderca - wyraził przypuszczenie Monk, kiedy skończyłam opowieść.

- Gdyby to był Zodiakalny morderca, musiałby mieć grubo ponad sześćdziesiąt lat - powiedział kapitan.

- Jeśli to nie jest Zodiakalny morderca, to na pewno jakiś inny morderca — upierał się Monk. — Pędzelkowy morderca.

- Kogo zabił?

- Nie wiem. Jeśli jeszcze nikogo nie zabił, to na pewno zabije. Cały jest umazany farbą!

- To malarz - wyjaśnił Stottlemeyer. - To jest wpisane w jego zawód.

- Tam do diabła, jasne, że jest! - Monk zaczął się coraz bardziej denerwować. - To psychopata, a farba tego dowodzi. Umazanie farbą jest obrazem zaburzonego umysłu. Możesz zapytać w Quantico psychologów od sporządzania profilu przestępcy.

- Chcesz, żebym w to wciągnął FBI?

- To sprawa bezpieczeństwa narodowego - oświadczył Monk.

- Nie będę zawiadamiał FBI, Gwardii Narodowej ani CIA, ale postawię w stan pogotowia nasze radiowozy na patrolach. Będą mieli na niego oczy i uszy otwarte, w porządku? - zapewnił go Stottlemeyer. — W międzyczasie może nam powiesz, jak poszła rozmowa z Andrew Cahillem i Veronicą Lorber?

— Jak zawsze — rzekł Monk.

— Tyle to wiem — stwierdził kapitan. — Usłyszałem już to i owo od ich prawników, mojego szefa i doradcy burmistrza. Naprawdę zapytałeś ją, czy głowa jej męża też wisi na ścianie?

— Ta kobieta to patafian. Spojrzałam na Mońka zdumiona.

— Pan powiedział „patafian”?

— Widziałaś pokój, w którym siedziała?

— Nigdy wcześniej nie słyszałam w pana ustach takiego słowa - powiedziałam.

— Nigdy wcześniej nie przebywałem w takim pokoju.

— Ściśle rzecz biorąc, nadal nie przebywał pan w takim pokoju — przypomniałam mu. — Stał pan cały czas na zewnątrz.

— Błagam, powiedz mi lepiej, że to któreś z nich wynajęło zabójcę Brandona Lorbera - żebrał Stottlemeyer.

— Nie mogę. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

— To marnie - westchnął Stottlemeyer. - Łatwiej byłoby mi radzić sobie z naciskami przełożonych, gdybym mógł im powiedzieć, że jedna z narzekających na ciebie osób winna jest morderstwa.

— Jedna z nich to patafian i cudzołożnica, a druga to łgarz i małwersant - powiedział Monk. - Kogo obchodzi ich narzekanie?

Stottlemeyer przytaknął.

— Masz słuszość, Monk.

Do gabinetu wpadł Disher z plikiem jakichś papierów.

— Mam portrety pamięciowe ludzi, którzy podczas zlotu kupowali kostium z serialu *Poza Ziemią*.

Rozłożył część z nich na biurku Stottlemeyera

i wszyscy się nad nimi pochyliliśmy. Żadna z twarzy nie wydała mi się znajoma. Disher zerknął na Mońka.

- Naprawdę powiedział pan zapłakanej wdowie po Lorberze, że siedzi na zwierzęcej skórze, którą powinno się wynieść i pogrzebać?

- Tak.

- Żałuję, że mnie tam nie było i nie widziałem jej reakcji.

- Nie masz czego żałować — zapewniłam go.

Disher wyłożył na biurko resztę szkiców, które trzymał w ręku.

- To portrety klientów, którzy od sprzedawców wskazanych przez Ambrose'a kupili uszy pana Snorka z drugiego sezonu.

Monk postukał palcem w portret któregoś z nabywców gumowych uszu, faceta, który do złudzenia przypominał figurę woskową Jude'a Lawa, i wydobył niemal identyczny portret spośród nabywców kostiumów. Położył je jeden obok drugiego.

- To jeden i ten sam człowiek - oświadczył.

- Też to zauważyłem - powiedział Disher. - Sprawdziłem portret w naszych bazach danych i nic nie znalazłem.

Monk podsunął mi pod oczy oba portrety.

- Przyjrzyj się im uważnie.

- Patrę.

- Teraz wyobraź sobie człowieka umazanego farbą i machającego pędzlem zagłady - polecił Monk. - Nie uważasz, że to on?

- Nie - odparłam. - Nie uważam.

- Jesteś pewna?

- Zdecydowanie. Malarz wyglądał zupełnie inaczej.

- Jaki malarz? - zainteresował się Disher. Stottlemeyer zbył jego pytanie nerwowym machnięciem ręki.
- Może sprytnie się zamaskował - wyraził przypuszczenie Monk. - Wiadomo, że zamachowcy potrafią się świetnie maskować.
- Dlaczego wynajęty morderca, który strzelał do Brandona Lorbera, zabił Conrada Stipe'a i taksówkarza, miałby teraz stać przed domem pani Lorber przebrany za malarza? — zapytałam.
- Nie wiem - odpowiedział Monk. - Ale wszystkie farby świata nie skryją czarnej duszy tego człowieka.
- Co ma z tym wspólnego James Brown? - nie rozumiał Disher.
- Mówimy o malarzu - wyjaśniłam. — Nie o ojcu chrzestnym muzyki soul\*.
- Niekoniecznie - upierał się Monk. - Tu mogą sięgać macki przestępczości zorganizowanej.
- Monk, to był długi dzień — powiedział Stottlemeyer. — Jeśli mogę ci coś poradzić, odpocznij trochę i weź się jutro do roboty ze świeżymi siłami.
- Monk jeszcze raz spojrział na oba portrety.
- Może masz rację. Ale jutro muszę porozmawiać z tym ojcem chrzestnym i wyciągnąć z niego wszystko, co wie.
- Będę miał to na uwadze - obiecał Stottlemeyer.

\* ang. *soul* znaczy „dusza” oraz gatunek muzyki „soul”.

## Monk mija się z prawdą

Zawiozłam Mońka do Ambrose'a. Po drodze myślałam, czy nie przypomnieć mu o ogromnym wkładzie, jaki jego brat wniósł w nasze śledztwo. Ale pamiętałam, że przecież o mały włos nie straciłam pracy, więc tym razem postanowiłam trzymać język za zębami. Monk miał rację, gdy zmył mi głowę — nie płacił mi za to, żebym wściubiała nos w jego prywatne życie.

Monk wszedł bez pukania. Ambrose siedział przy stole w kuchni z dwiema otwartymi puszkami 7-Up i czytał gazetę. Na pierwszej stronie widać było duże zdjęcie pana Snorka mierzącego z pistoletu.

- Witaj, Natalie - powiedział Ambrose. - To wyjątkowa przyjemność widzieć cię znowu w moim domu.

Miło wiedzieć, że jestem pod jakimś względem wyjątkowa.

- Dziękuję, Ambrose.

- Właśnie zjadłem obiad - obwieścił Ambrose. - Ale zostawiłem dla was linguini. Mam osiemdziesiąt osiem wstążek makaronu. Możecie się równo podzielić.

- Bardzo kusząca propozycja, ale obawiam się, że mam dzisiaj inne plany obiadowe — powiedziałam.



Mój plan polegał na tym, aby nie jeść z Mońkami.

- Jeśli o mnie chodzi, to czterdzieści cztery wstążki w zupełności mi wystarczą - powiedział Monk. - Mogę się podzielić.

- Nie, dziękuję, panie Monk. Powinnam już iść. - Ruszyłam w stronę drzwi.

- Jak śledztwo? - zapytał Ambrose.

Zatrzymałam się. Musiałam posłuchać, co Monk ma do powiedzenia. On spojrział na mnie, a potem na brata.

- Dzięki tobie, Ambrose, znakomicie - odpowiedział.

- Dzięki mnie? - zdziwił się Ambrose. - Co takiego zrobiłem?

- Zobaczyłeś to, czego nie dostrzegł nikt inny, a mianowicie, że zabójca popełnił wielki błąd. Mundur miał z pierwszego sezonu, a uszy z drugiego. To pomogło nam ustalić, że morderstwo Stipe'a nie miało nic wspólnego z *Poza Ziemią*. Dotarliśmy do sprzedawców, których nam wskazałeś, i udało nam się sporządzić portret pamięciowy zabójcy bez maski pana Snorka.

- Och, powiedz mi o wszystkim. - Ambrose usiadł prosto na krześle. - Mów wolno i nie opuszczaj żadnego szczegółu.

Teraz już nie mogłam wyjść. Usiadłam więc przy stole, wzięłam dwie puszki 7-Up, które podsunął mi Ambrose, zamieniłam się w słuch, a Monk zaczął relacjonować wydarzenia dnia.

Ambrose słuchał z zajęciem każdego słowa, a nawet robił notatki. Przyglądałam się jego pracy i zdziwiona zobaczyłam, że w swoich zapiskach umieszczał przypisy odnoszące do rozmaitych publikacji,

a ponadto zapisywał dzień i godzinę rozmów na temat śledztwa, które odbył wcześniej z nami. Nie wiem, z jakiego powodu to robił, poza tym, że był Monkem, a Monkowie mają fioła na punkcie odnotowywania szczegółów.

- Przeprowadziłeś zdumiewające dedukcje, Adrianie - powiedział Ambrose, kiedy Monk skończył mówić.

- Doszedłbym do tych wniosków dużo wcześniej, gdybym ciebie słuchał — przyznał Monk. — Jesteś wspaniałym detektywem.

- Nie mam pewności, kim jestem, ale z całą pewnością nie jestem detektywem - zaproponował Ambrose. - Brak mi twojego światowego obycia, awanturniczej natury i nieustraszonego podejścia do życia.

Monk nieustraszony?

Gdzieś mam wręczoną przez niego listę z 222 rzeczami, których się boi. Punkt numer 222 na tej liście brzmi tak: „Lista, która się kończy na 221 lub 223 punkcie”. Uznałam jednak, że nie jest to odpowiednia pora, aby psuć wielkie wrażenie, jakie Monk wywarł na bracie, w każdym razie jeśli chciałam utrzymać posadę.

- Masz takie same zalety. Odkryłbyś je natychmiast, gdybyś wyszedł z domu i ruszył w świat - przekonywał brata Monk.

Ambrose potrząsnął głową.

- Nie jestem tobą, Adrianie. Brak mi twojej siły.

- Wcale nie jestem silny.

- Nie potrafiłbym przejść przez to, przez co ty przechodzisz - powiedział Ambrose i spojrział na mnie. - Albo ty. Mnie by to zabiło.

- Nas zabiło - stwierdził Monk.

- Może w jakiejś części - powiedziałam. - Ale warto, Ambrose. Miłość zawsze jest tego warta.

Ambrose stanowczo pokręcił głową.

- Nie. Wy jesteście niezwykłymi ludźmi. Zwłaszcza ty, Adrianie. Jesteś najlepszym detektywem na świecie i jestem z tego dumny.

Monk wlepił oczy w brata, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

- Jesteś ze mnie dumny?

- Ależ oczywiście. Kto by nie był? Na pewno są tysiące ludzi, którzy cię szanują. Jestem po prostu jednym z nich.

- Nie jesteś „po prostu jednym z nich” — zaprzeczył Monk. - Jesteś moim bratem.

- To chyba nie znaczy, że nie mogę cię podziwiać, prawda?

W tej chwili zerwałam się z krzesła i uściskałam Ambrose'a, a potem uściskałam Monka. Co prawda czułam, jakbym ścisnęła manekiny, ale nie potrafiłam się powstrzymać. Była to dla nich wielka chwila i bardzo chciałam, żeby to odczuli.

Tymczasem obaj popatrzyli na mój wybuch uczuć z lekkim szokiem w oku.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Jestem surogatem waszych uścisków - powiedziałam. — Przekazałam wam uściski, którymi powinniście się nawzajem obdarzyć.

Ambrose spojrzał na Monka.

- Czy ona się dobrze czuje?

- Od rana zachowuje się nieracjonalnie - powiedział Monk z troską w głosie. - Myślę, że jest jej potrzebny wypoczynek.

Ambrose spojrzał na mnie.

- Jesteś w ciąży?

- Nie — odpowiedziałam. — Absolutnie. Skąd taki pomysł?

- Czytałem gdzieś, że kobiety w ciąży zachowują się nieracjonalnie i poddają się emocjom.

- Cóż, nie jestem w ciąży. Ale pan Monk ma rację. Mały odpoczynek dobrze mi zrobi - powiedziałam. - Zobaczymy się jutro. Mam przyjść trochę później niż zwykle?

- Jasne. Wyśpijmy się i wypocznijmy - powiedział Monk. - Przyjedź o dziewiątej zero pięć.

To znaczy u Mońka wyspać się!

- Te pięć minut zmieni moje życie, panie Monk. Dziękuję.

- Nie musisz mi dziękować. Zasłużyłaś sobie.

Monk i Ambrose odprowadzili mnie do drzwi.

- Nie wzięłam ze sobą nic do czytania — powiedział Monk do Ambrose'a. - Poleciałbyś mi którąś ze swoich książek?

- Masz ochotę czytać moje książki? - zapytał Ambrose.

- Dobra lektura to najlepszy sposób na wieczór w domu, prawda? - odrzekł Monk.

Kiedy wychodziłam za próg, odwróciłam jeszcze głowę i zobaczyłam, jak Ambrose podaje Monkowi książkę.

- Instrukcja obsługi wielostandardowego magnetowidu Akita i odtwarzacza DVD z funkcją zdalnego wypalania płyt. Ta książka zdobyła nagrodę Pritikera dla najlepszych opisów technicznych urządzeń elektronicznych i audiowizualnych - mówił Ambrose. — Mówiono mi, że lektura nieprawdopodobnie wciąga, zwłaszcza w niemieckiej wersji językowej.

- Super - ucieszył się Monk. Wziął książkę pod

ramię i uśmiechnął się serdecznie do brata. — Nie wiedziałem, że płytę można piec w tosterze. One są jadalne?

Gdy jechałam do domu, zatelefonował do mnie strażak Joe, mój „więcej niż przyjaciel”. Skończył właśnie dyżur w remizie i chciał wiedzieć, czy mam dzisiaj wieczorem czas na wspólną kolację.

Staralam się, aby moja zgoda nie zabrzmiała zbyt entuzjastycznie, ale myślę, że jednak trochę się zdradziłam, odpowiadając bez namysłu, że będę u niego za pięć minut.

Joe zarezerwował stolik w swojej ulubionej włoskiej restauracji w North Beach, ale nie dotarliśmy tam tego wieczoru. Przeszłam przez próg jego mieszkania wprost w jego ramiona i tam już pozostałam.

Nie będę szczegółowo opisywać, co się działo, powiem tylko, że był to wieczór pełen czaru i czułości i że zanim nastał świt, zaczęłam się poważnie zastanawiać nad zmianą swojego konsekwentnie dotrzymywanego postanowienia, aby nie wiązać się z mężczyzną, który wykonuje niebezpieczny zawód.

Cała ta instytucja „więcej niż przyjaciela” ma bez wątpienia swoje plusy, ale myślę, że na najbardziej fundamentalnym poziomie oboje czuliśmy się nie-usatysfakcjonowani. On na pewno nie, a ja udawałam, że tak. Joe nigdy nie poruszał tego tematu, ale dobrze to wyczuwałam. Wiedziałam też, że mogę go stracić, jeśli pojawi się przy nim kobieta, która wyda mu się równie rozkoszna i miła jak ja, ale znalazłaby dla niego miejsce w swoim życiu.

Gdyby chodziło tylko o moje życie, może podję-

łabym ryzyko. Ale musiałam też myśleć o uczuciach Julie, o tym, co czułaby za każdym razem, gdy Joe Cochran wyjeżdżał na dyżur do strażackiej remizy. Straciła już ojca i nie chciałam, aby przechodziła przez coś podobnego. Ja też nie chciałam przez to przechodzić.

Tak, wiem, przed złamanym sercem nie sposób uchronić ani siebie, ani tych, których kochamy. Chyba że człowiek nie pragnie się cieszyć wszystkimi cudownymi rzeczami, które wynikają z bliskości między dwojgiem ludzi.

Czułam jednak, że unikając związku z osobami, które regularnie i dobrowolnie narażają życie, przynajmniej minimalizuję prawdopodobieństwo tego, że Julie znowu spotka taki okropny ból.

Właśnie takie myślenie sprowadziło mój związek z Joem, który zresztą ukrywałam przed Julie, do zasady „więcej niż przyjaciel”.

Ale tego wieczoru, po doświadczeniach ze Skuterem, widząc, do czego prowadzi samotne życie, które wiodą Monk i Ambrose, i jak daleko posuwają się fani *Poza Ziemią*, by poczuć, że przynależą do jakiejś społeczności, zaczęłam rewidować swój sposób myślenia. Jednego byłam pewna, wspólnym wieczorem z Joem Cochranem cieszyłam się tym razem bardziej niż wszystkimi poprzednimi.

Myślałam o tym, co powiedziałam do Ambrose'a. „Warto... Miłość zawsze jest tego warta”. Może tego potrzebowałam dla siebie najbardziej.

Mimo wszystko brakowało mi odwagi, aby od razu zmienić zasady związku z Joem, ale miałam właśnie okazać mu, jak bardzo sobie cenię, że przy mnie jest, gdy nagle, bladym świtem, zadzwonił mój telefon.

Obróciłam się na łóżku i sięgając po telefon, strąciłam aparat z szafki nocnej Joego. Szukając go po omacku na podłodze, spadłam z łóżka.

- Halo? - zapytałam w końcu.

Dzwonił kapitan Stottlemeyer.

- Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie, ale muszę się zobaczyć z Monkiem. Zresztą ty też się przygotuj na długi i ciężki dzień.

- Nie pierwszy raz Monk zaczyna dzień od trupa — stwierdziłam. — Ja zresztą też.

- Wydawało mi się, że było we mnie trochę życia - szepnął Joe.

Szturchnęłam go w pierś, omal nie łamiąc sobie łokcia. Cóż, do ułomków nie należał.

- Ten mord to co innego - wyjaśnił Stottlemeyer. - Dowodzi, że wszystko, co Monk wczoraj powiedział o zabójstwach Brandona Lorbera, Conrada Stipe'a i taksówkarza mija się z prawdą.

- Monk nigdy nie mija się z prawdą - powiedziałam z przekonaniem.

- Tym razem się minął - rzekł kapitan.

## Monk i coś dziwnego

Wizyta w hotelu San Francisco Airporter Motor Inn to niewesoły i zaiste przygnębiający sposób na rozpoczęcie dnia, nawet gdyby w grę nie wchodziło oglądanie zwłok.

Trudno mi sobie wyobrazić, jak można tu spędzić choćby jedną noc. Dotychczas to mi się nie przydarzyło, ale z tego, co słyszałam od przyjaciół, nieszczęściem jest już obudzić się *vi* boku kogoś, o kim chciałoby się jak najszybciej zapomnieć, a co dopiero w miejscu, do którego nie chciałoby *się* nigdy trafić.

Rzecz jasna przeorane kulami ciało wcale sytuacji nie poprawia.

Znowu znaleźliśmy się z Monkiem na tyłach centrum konferencyjnego, które znowu się stało miejscem popełnienia zbrodni, gdzie znowu zobaczyliśmy samochód i gdzie znowu zdenerwowany kierowca był właśnie przesłuchiwany przez porucznika Dishera, a dwóch pracowników kostnicy czekało z czarnym workiem, by zapakować do niego ciało i zasunąć zamek błyskawiczny.

Ofiarą, którą ci panowie mieli za chwilę zamknąć w worku, był producent telewizyjny Kingston Mil In. Leżał twarzą do ziemi, z rozłożonymi rękami i nogami, na parkingu za czarnym lincolnem limuzyn;), którą prawdopodobnie przywieziono go do hotelu



Jego zaplamiona krwią hawajska koszula nie wyglądała już tak imponująco.

Na plecach i na prawej nodze widać było rany postrzałowe, a z otwartych, tylnych drzwi limuzyny, aż do ciała producenta, ciągnęła się krzepnąca struga krwi.

- Coś tu jest nie w porządku. - Monk pokręcił głową.

- Morderstwo nigdy nie jest w porządku - powiedziałam.

Cieszyłam się, że przed wyjściem od Joego nie zjadłam śniadania.

Nieco dalej kłębił się tłumek fanów *Poza Ziemią* utrzymywany w bezpiecznej odległości przez umundurowanych policjantów, którzy rozciągnęli między latarniami policyjną taśmę. Dziwnie było patrzeć na ludzi przebranych za kobiety z czterema piersiami, kosmitów z organami wewnętrznymi na wierzchu lub dziwołagów z trąbą słońca, którzy patrzyli na nas takim wzrokiem, jakbyśmy to my byli czymś nadzwyczajnym.

Stottlemeyer pochylał się do wnętrza limuzyny i rozmawiał z Judsonem Beckiem, który siedział w mundurze konfederackim z nowego serialu, z takimi samymi insygniami na piersi, jak zauważyłam, choć może w nieco bardziej militarnym stylu.

- Musi pan wysiąść z samochodu, panie Beck - mówił kapitan.

Beck pokręcił głową.

- Nie ma mowy.

- Gwarantuję panu, że zabójcy już nie ma - przekonywał go Stottlemeyer.

- Może się ukrywać w krzakach i czekać, aż wyjdę z auta, żeby dokończyć dzieła.

- Nie ma tu żadnych krzaków, a pana otaczają uzbrojeni policjanci — przekonywał Stottlemeyer, rozchylając marynarkę i pokazując mu kaburę pod pachą. - Zapewniam, że jest pan absolutnie bezpieczny.

Beck złożył na piersi ramiona i zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie.

- Limuzyna jest na miejscu przestępstwa i w niej także musimy zebrać dowody.

- Zabójca był tam, a nie tu - stwierdził Beck. -Ja się stąd nie ruszam. Możecie mnie odwieźć na lotnisko i zabrać samochód, gdzie wam się podoba.

Stottlemeyer westchnął ciężko i podszedł do nas.

- Mam wrażenie, że całe wydarzenie było dla niego zbyt autentyczne — powiedział kapitan. -Macie ochotę zgadywać, co tu się stało?

- Nadjechała limuzyna, wysiadł z niej Kingston Mills, zza kontenera na śmieci wyskoczył pan Snork i go zastrzelił — powiedziałam bez wahania.

- Masz naturalny dar. Powinnaś jak najprędzej wstąpić do akademii policyjnej. Potem Beck zamknął się w limuzynie i zadzwonił z komórki na dziewięćset jedenaście - dokończył Stottlemeyer i odwrócił się do Mońka. - To rozbija w puch twoją hipotezę.

- Nie wiem dlaczego - odpowiedział Monk.

- Ponieważ facet przebrany za Snorka zamordował producenta nowego serialu *Poza Ziemią*.

- Przeobrażonego serialu - poprawiłam go.

- Niech będzie - zgodził się kapitan. - Również mamy go na taśmie.

- Nie wątpię. O to przecież chodziło.

- Chyba za tobą nie nadążam. Jak zwykle.

- Istnieją dwa wytłumaczenia tego zabójstwa - zaczął Monk. — Albo zabójca się dowiedział, że ustaliliśmy związek między zabójstwami Stipe'a i Lorbera, i jeszcze raz postanowił zmylić trop. Albo mamy do czynienia z powieleniem poprzedniego morderstwa, dokonanym przez kogoś, kto chce czerpać korzyść z rozgłosu wokół sprawy zabicia Stipe'a.

- Jest i trzecie: pomyliłeś się i nic nie łączy zabójstwa Stipe'a ze zbezczeszczeniem zwłok Lorbera - uzupełnił kapitan. - To, że Conrad Stipe jechał taksówką, której kierowca następnego dnia został zastrzelony, jest tylko dziełem przypadku.

- Według ciebie dziełem przypadku jest również to, że ten sam taksówkarz, tego samego wieczoru, w którym zginął Lorber, wziął pasażera w pobliżu siedziby Burgerville'a, tak?

- Oczywiście. Dlaczego nie? - odparł Stottlemeyer. - Zdarzają się różne dziwne rzeczy.

- Na przykład?

- Jakoś akurat nie mam nic na podorędziu. - Stottlemeyer spojrział na Dishera. - Hej, Randy, słyszałeś ostatnio coś dziwnego?

- Czytałem dzisiaj, że gdzieś urodziła się koza z dwoma nosami - odpowiedział porucznik.

- Proszę bardzo - powiedział Stottlemeyer do Mońka. — To jest coś dziwnego.

- To nie dzieło przypadku — odparł Monk. - To wada wrodzona.

- Dobrze, a co powie pan na to - powiedział Disher, zamykając notes i podchodząc bliżej. - Czytałem też o pewnej kobiecie z San Francisco, która poszukiwała swojej matki biologicznej. Matka oddała ją do adopcji w Bostonie dwadzieścia lat wcze-

śniej, a okazało się, że od trzech lat pracują razem jako kelnerki w jednej i tej samej restauracji.

- Owszem, to dzieło przypadku - przyznał Monk. - Jedno. W naszej sprawie mamy co najmniej trzy. Trudno to nawet porównywać.

- Zaraz, zaraz, Monk - powiedział Stottlemeyer. - Prosiłeś, żebym podał ci przykład czegoś dziwnego, ja ci podałem, a ty zaraz zmieniasz zasady. Nie lepiej od razu się przyznać, że minąłeś się z prawdą?

- Nie minąłem się z prawdą - upierał się Monk. - Mamy gumę i papieraek od cukierka.

- Ja mam zapis wideo, na którym widać, że ten sam gość, który zabił Conrada Stipe'a, w tym samym miejscu zabija kolejnego producenta serialu *Poza Ziemią*. Coś mi się wydaje, że moje dowody biją twoje.

- Nie widzę, w jaki sposób.

- Może dlatego, że nie chcesz zobaczyć - powiedział Stottlemeyer. — Jesteś ślepy na wszystko, co biegnie innym torem, niż t w o i m z d a n i e m powinno biec.

- Tak się akurat składa, że rzeczy moim zdaniem biegną takim torem, jakim powinny biec -odparł Monk. - Więc wszystko się zgadza.

- W takim razie coś ci powiem, Monk. Kawalek zeschniętej gumy i wymięty papieraek po cukierku to za mało, żeby sporządzić akt oskarżenia w sprawie o morderstwo, nie mówiąc już o dwóch sprawach o morderstwo. Nawet dla ciebie za mało.

- Fakty są takie, że ktoś wynajął zawodowego zabójcę do zamordowania Brandona Lorbera - zaczął Monk. - Ale Lorber zmarł, zanim oddano do niego strzały.

- Sam widzisz - powiedział Stottlemeyer. — Znowu coś dziwnego.

Monk puścił tę uwagę mimo uszu i ciągnął dalej.

- Zabójca strzelił więc trzy razy do Lorbera, w sposób właściwy dla zawodowych zabójców, chcąc odebrać całość zapłaty.

- Śmiercionośny trójkąt — dodał Disher.

- Następnie morderca odjechał na lotnisko taksówką, tą samą, do której wsiadł zaraz Conrad Stipe. Jednak zabójca zostawił w samochodzie coś obciążającego, więc zabił Stipe'a i postarał się, aby wyglądało to tak, jakby zabił go jeden z fanów *Poza Ziemią*, a potem zamordował taksówkarza i zadbał, aby wyglądało to na napad rabunkowy.

Stottlemeyer westchnął.

- Owszem, to już mówiłeś. Wiesz, teraz, gdy musiałem jeszcze raz tego wysłuchać, zastanawiam się, jakim cudem kupiłem tę historyjkę. Naprawdę uważasz za wiarygodne to, że ktoś zabija dwoje ludzi tylko dlatego, że być może komuś przyjdzie do głowy ścigać go za strzelanie do zwłok?

- Uczynił tak, aby nie stracić pieniędzy, które miał zarobić za zabójstwo - mówił Monk. - Kierował się chciwością.

- Takie wyjaśnienie ani trochę nie uwiarygodnia twojej hipotezy, Monk.

- To nie hipoteza, mogę to udowodnić - oświadczył Monk. - Moglibyście obrócić ciało o pół obrotu?

- Jasne - powiedział Stottlemeyer i spojrzął na Disher. - Obróć go, Randy.

- Dlaczego ja?

- Ponieważ ja jestem kapitanem i mam nowiutkie buty - odpowiedział Stottlemeyer. - Nie chciałbym pomazać ich krwią.

Disher nałożył gumowe rękawiczki, pochylił się i delikatnie unióś Millsa, by Monk mógł zobaczyć przód jego ciała.

Monk przykucnął obok porucznika.

- Jak widzicie, Kingston Mills został trafiony w ramię, w plecy i w nogę.

- I co z tego? - zapytał Stottlemeyer.

Monk wstał.

- Oto, co się stało. Kiedy Mills wysiadł z limuzyny, napastnik wyskoczył zza kontenera na śmieci i strzelił mu w ramię. Mills odwrócił się i zaczął uciekać w kierunku hotelu. Zanim jednak zdążył dobiec do centrum konferencyjnego i wmieszać się w tłum, zabójca trafił go najpierw w nogę, a potem jeszcze w plecy.

- Wiem - potwierdził kapitan. - Słyszałem to od tuzina świadków i widziałem na własne oczy na nagraniu z kamery przemysłowej.

- Tymczasem Stipe został trafiony tylko raz, prosto w serce. Do Millsa strzelano trzy razy i dopiero ostatnia kula okazała się śmiertelna.

- Cóż z tego?

- Człowiek, który strzelał do Stipe'a, był wytrawnym strzelcem, a ten, kto zabił Millsa, nie.

- Albo za pierwszym razem zabójca miał cholerne szczęście - stwierdził Disher, podnosząc się.

- Albo zabójca chce nam wmówić, że to powielenie morderstwa, albo rzeczywiście jest to tylko powielenie - powiedział Monk. - Tak czy siak, niewiele to zmienia.

- Dla Kingstona Millsa zmienia - rzuciłam.

- Mnie trzeba dowodów, Monk - powiedział Stottlemeyer.

- Cieszę się, że przynajmniej dostrzegasz w tym

logikę. Zatem wracamy do punktu, w którym szukaliśmy najemnego zabójcy i człowieka, który go zatrudnił.

- Wracamy do punktu wyjścia. Stipe'a zabił ktoś spośród fanów *Poza Ziemią* - oświadczył kapitan. - Założę się, że ten, kto zabił Stipe'a, zabił też Mill-sa. To najprostsze wyjaśnienie.

- Nie zawsze to, co najprostsze, jest słuszne.

- Dziewięć razy na dziesięć jest. Dzięki temu dziesiątemu razowi masz wciąż robotę, Monk.

- Czy to znaczy, że moja Jednostka specjalna do spraw bezczeszczenia" znowu przejmuje śledztwo w sprawie Lorbera? - zapytał Disher Stottlemeyera.

- Jak najbardziej, Randy. Możesz zacząć od wyciążnięcia pana Becka z limuzyny.

- Co on ma wspólnego ze sprawą Lorbera?

- Nic.

- Nie ma sprawy. Mogę się tym zająć - zgodził się Disher. - Wystarczy trochę finezji.

- Właśnie dlatego pomyślałem o tobie, Randy. Jesteś taki subtelny - stwierdził Stottlemeyer.

Disher wziął głęboki oddech i ruszył w kierunku limuzyny.

- Mógłbym dostać kopię nagrania z kamery przemysłowej? - poprosił Monk. - Chciałbym je obejrzeć.

- Miło mi to słyszeć. Już się bałem, że z tego nadęcia rzucisz pracę.

Stottlemeyer sięgnął do kieszeni i podał mi płytę DVD.

- Nigdy się nie nadymam ani nie fukam. Nigdy w życiu nie fukałem. Zdecydowanie się opowiadam przeciwko fukaniu.

—Dobrze wiedzieć — ucieszył się kapitan. — Będziesz mi jeszcze potrzebny, Monk. Wciąż próbuje my znaleźć właściwą igłę w pudełku pełnym igieł, a ty w tej sztuce jesteś najlepszy.

Naszych uszu doszedł nagle rozziewający wrzask. Obejrzelśmy się i zobaczyliśmy, jak Disher chwytając Becka za kołnierzyk koszuli, wywleka go z tylnego siedzenia limuzyny i ciągnie do radiowozu.

—Finezja zawsze przynosi efekty - uśmiechnął się Stottlemeyer.

Monk odwrócił się i ruszył w kierunku samochodu. Pobiegnęłam szybko za nim.

—Dokąd jedziemy?

—Do domu - odpowiedział.

—Niech mi pan nie mówi, że się pan poddaje. Kapitan przed chwilą powiedział, jak bardzo jest mu pan potrzebny.

—Oczywiście, że jestem — odpowiedział Monk. - Zmierza przecież w złym kierunku.

—To dlaczego jedziemy do domu?

—Muszę się skonsultować z ekspertem.



## Monk i ekspert

Usiedliśmy z Ambrose'em na kanapie i obejrzeliliśmy zabójstwo Kingstona Millsa zarejestrowane przez kamerę przemysłową. W jakiś dziwny sposób oglądanie filmu przywiodło mi na myśl przemianę *Poza Ziemią*. Morderstwo Kingstona Millsa wyglądało podobnie jak morderstwo Conrada Stipe'a, tyle że było przeobrażone i bardziej autentyczne.

Podobnie jak w poprzednim nagraniu, ekran był podzielony na cztery części; każda z nich z innej perspektywy pokazywała rampę załadunkową centrum konferencyjnego. Na tyły centrum zajechała limuzyna. Otworzyły się tylne drzwi i z samochodu wysiadł Kingston Mills. Niemal w tej samej chwili zza kontenera wyskoczył pan Snork i kaszląc, strzelił Millsowi w ramię.

Ambrose się skrzywił i odnotował coś w żółtym notatniku. Nie sądzę, by rzeczywiście musiał coś sobie zapisywać. Po prostu na film nie można było spokojnie patrzeć.

Nie mogłam mieć do niego pretensji, że odwrócił głowę. Niełatwo jest patrzeć na prawdziwą przemoc, ból i przelaną krew. Widoku twarzy Kingstona Millsa w momencie, gdy w ramię trafia go kula, nie zapomnę do końca życia. Dziki, nieopanowany

strach. Mills wiedział z całą pewnością, że za chwilę w straszny sposób straci życie. Kiedy człowiek patrzy na coś takiego, mimowolnie widzi siebie samego w takiej sytuacji i doskonale sobie wyobraża, jak by się czuł. Przeszedł mnie dreszcz.

Wypadki na ekranie rozgrywały się dokładnie tak, jak opisał to Monk na miejscu przestępstwa. Mills próbował uciekać, a pan Snork postępował za nim krok w krok, wciąż strzelając, choć kaszel utrudniał mu celowanie.

Druga kula trafiła Millsa w nogę i powaliła na ziemię. Próbował się jeszcze odczołgać, ale pan Snork podszedł do niego i wpakował mu kulę w plecy.

Egzekucja.

Musiałam się zmuszać do tego, by dalej patrzeć. Przebywać na miejscu popełnienia zbrodni to jedno, a patrzeć, jak człowiek traci życie, to drugie.

Pan Snork znowu kaszlnął i wbiegł z powrotem do centrum konferencyjnego. Na tym kończyło się nagranie na płycie DVD.

Monk poruszył niezgrabnie ramionami, przekręcił dziwnie głowę to w jedną, to w drugą stronę, a potem odwrócił się w naszą stronę. Znałam to spojrzenie i wiedziałam, że Monk zaraz nam powie, kto to zrobił.

- Jakie jest wasze zdanie? — zapytał.

Moje zdanie było takie, że Monk wie, kto zabił. Zanim jednak odpowiedziałam na pytanie, odezwał się Ambrose.

- To potworne - powiedział. - Conrad Stipe przynajmniej zginął natychmiast. Dla Millsa to była tortura.

- Może zabójca lepiej by celował, gdyby nie miał kaszlu - zauważyłam.

- Liczba strzałów, jakie dosięgły ofiarę, to nie jedyna różnica między zabójstwami — stwierdził Monk.  
- W pierwszym wypadku pan Snork ustawiał się w polu widzenia wszystkich czterech kamer. Tutaj zdarzało się, że zabójca był częściowo lub nawet cały zasłonięty przez inne obiekty.

- Nie wydaje mi się, żeby unikał kamer - powiedziałam.

- Nie unikał. Ale też nie zwracał uwagi na to, w jaki sposób jest przez nie filmowany. Ta napaść nie została jakoś szczególnie zaplanowana czy zorganizowana. Poza tym mrugał powiekami.

- Mrugał powiekami?

- Podrywał go huk wystrzałów — wyjaśnił Monk. Tamten zabójca w ogóle nie reagował.

- Tamten zabójca? — zdziwił się Ambrose. - To nie jest ten sam człowiek?

- Nie sądzę — odpowiedział Monk.

W takim momencie Monk zwykle ujawniał nazwisko zabójcy, ale tym razem milczał. Ambrose zagryzł dolną wargę.

- Mogę jeszcze raz zobaczyć film? - zapytał.

- Oczywiście — odparł Monk i jeszcze raz odtworzył nagranie z płyty.

Zastanawiałam się, dlaczego Monk jest taki powściągliwy w podawaniu nam swoich konkluzji. Czyżbym źle rozumiała jego język ciała?

Jeszcze raz obejrzałam nagranie. Tym razem również zauważyłam mruganie oczami. Ale poza tym ten dzisiejszy pan Snork wyglądał w moich oczach dokładnie tak samo jak poprzedni; ta sama budowa ciała, ten sam kolor oczu, ten sam mundur i oczywiście ta sama trąba słoniowa oraz spiczaste uszy elfa.

- Masz rację, Adrianie - powiedział Ambrose. - To nie jest ten sam człowiek.

- Skąd pan wie? - zapytałam.

To pytanie, które ludzie rozgarnięci, jak Mon-kowie, często słyszą z ust ludzi mniej rozgarniętych, jak na przykład ja.

- Ma na sobie taki sam kostium jak pierwszy zabójca, ale uszy ma z pierwszego sezonu - oświadczył Ambrose. - Maskę ze sztucznym nosem to fason z pilota, a nie wyrafinowany model z mniejszym owłosieniem używany w kolejnych odcinkach. Ten człowiek to prawdziwy purysta *Poza Ziemią*, który zwraca szczególną uwagę na każdy detal. Zauważcie zresztą, jak trzyma broń. Zaciska na niej rękę, jakby nie strzelał z broni konwencjonalnej, lecz z konfederackiego miotacza energii.

- Więc nie tylko kaszel utrudniał mu mierzenie do celu - powiedziałam.

- On wcale nie kaszle - stwierdził Ambrose.

- A co robi, jeśli nie kaszle?

- Mówi w języku Dratchów.

Gdy tylko Ambrose to powiedział, natychmiast sobie uświadomiłam, że to, co brałam za dokuczliwy kaszel, w istocie rzeczy było gardłową, Snor-kową gadaniną, którą słyszeliśmy, kiedy próbowaliśmy porozmawiać z przywódcą galaktycznego powstania.

- Moje gratulacje, Ambrose - powiedział Monk. - Właśnie rozwiązałeś zagadkę zabójstwa Kingstona Millsa.

- Ja? Z a n i m ty to zrobiłeś? - W głosie Ambrose<sup>^</sup> brzmiało niedowierzenie.

Miał pełne prawo nie dowierzać.

- Doszedłeś do tego, że mordercą jest Ernest

Pinchuk - powiedział Monk. - Bez ciebie nigdy bym się nie zorientował, że mówi w języku Dratchów.

Ja nie, ale Monk na pewno by się zorientował. Prawdę mówiąc, dam sobie rękę uciąć, że nazwisko zabójcy znał już po pierwszym obejrzeniu nagrania z kamer przemysłowych. Cała ta maskarada mogła oznaczać tylko jedno: Monk robi swojemu bratu prezent.

Nie miałam pojęcia, czy robi to z poczucia winy, że wcześniej tak ostentacyjnie lekceważył wysiłki Ambrose'a, który chciał nam pomóc, czy po to, aby dać bratu do zrozumienia, że wreszcie pojął, jaką rolę odgrywa w jego życiu serial *Poza Ziemią*. Tak czy owak, nie miało wielkiego znaczenia, czym się rzeczywiście kierował.

Był to najmniej egoistyczny gest, a być może w ogóle jedyny nieegoistyczny gest, jaki widziałam u Mońka.

Ambrose aż promieniał z dumy.

- Chcielibyście wiedzieć, co mówi?
- Potrafi pan czytać z ruchu warg? - zapytałam.
- Oczywiście.
- Nawet język Dratchów?
- Język Dratchów i siedem innych języków - odpowiedział Ambrose. — Jeśli liczyć świńską łacinę.
- Niesamowite - powiedział Monk.

I beużyteczne. Ciekawe, ile razy Ambrose miał sposobność porozmawiać z kimś w świńskiej łacinie, sztucznym języku wymyślonym dla zabawy, nie mówiąc już o czytaniu z ruchu warg. Monk przesadził tym razem, ale Ambrose był zbyt rozanielony pochlebstwami, aby to zauważyć.

Jeszcze raz obejrzeliliśmy nagranie, zatrzymując

płyte raz po raz, aby Ambrose mógł szybko notować, co mówi Pinchuk. Kiedy film dobiegł końca, Ambrose przedstawił nam pełne tłumaczenie.

- Mówi tak: „Poczuj gorący pocałunek moich pocisków sprawiedliwości, ty żaloszny, chciwy nędzniku. Cięży na tobie brzemie winy za potworne i haniebne zbrodnie przeciw ludzkości, Konfederacji, *Poza Ziemią* i społeczności fanów. Za transgresję nie do wybaczenia musisz zginąć”.

Potwornie wymęczona ta przemowa, muszę przyznać, nawet jak na język Dratchów.

Monk wyłączył telewizor i uśmiechnął się.

- Dla mnie to jest przyznanie się do winy.

Monk zadzwonił do kapitana Stottlemeyera z telefonu Ambrose'a, przełączając aparat na rozmowę konferencyjną. Powiedział, że zabójcą jest Ernest Pinchuk i że zidentyfikował go na podstawie zapisu z kamer przemysłowych dzięki obserwacjom Ambrose'a.

Parę faktów zdecydowanie ułatwiło kapitanowi zaaprobowanie wniosków Monka: to, że Pinchuk miał silny motyw, by Kingston Mills zginąć, że łatwo było go sobie wyobrazić na miejscu zbrodni i że został właśnie zidentyfikowany jako jedna z osób, które niedawno kupiły mundur Konfederacji z pierwszego sezonu. A również to, że dotąd Monk nigdy się nie mylił w sprawach zabójstw.

Stottlemeyer wciąż jednak nie aprobował tezy Monka, że było to powielenie pierwszego zabójstwa przez inną osobę. Uważał, że Pinchuk odpowiada za oba morderstwa.

- Ten sam motyw, taka sama napaść, to samo

miejsce - argumentował kapitan. - Wniosek sam się nasuwa: ten sam zabójca.

- Tyle tylko, że jest zbyt wiele różnic - upierał się Monk. - Choćby uszy.

- I nos — dodał Ambrose.

- I sposób, w jaki trzyma pistolet - powiedziałam.

- Może Pinchuk zrobił to wszystko tylko po to, aby zamydlić nam oczy — stwierdził Stottlemeyer. — Żebyśmy myśleli, że to dwie różne sprawy, podczas gdy w rzeczywistości chodzi o jednego zabójcę.

- Ale to są różnice, których nie zauważyłbyś ani ty, ani ja - powiedział Monk. - Te różnice to niedostrzegalne detale, które mogą wpaść w oko wyłącznie najbardziej zagorzałym fanom *Poza Ziemią*.

- I właśnie dlatego uciekł się do takiego wybiegu - powiedział Stottlemeyer. - Wiedział, że również ten zapis z kamer przemysłowych trafi do telewizji. Gdyby przy drugim zabójstwie miał na sobie czapkę baseballową czy coś w tym rodzaju, różnica byłaby tak oczywista, że nikt nie dałby się nabrać.

- Nie sądzę, aby Pinchuk był aż tak sprytny - powątpiewał Monk.

- Zresztą w tej chwili nie ma znaczenia, czy Pinchuk zabił jedną osobę czy dwie. Zgadzą się co do tego, że zabił Kingstona Millsa. To wystarczy, żeby go aresztować - zdecydował kapitan.

Stottlemeyer odłożył słuchawkę i wysłał porucznika Dishera do Airporter Motor Inn, aby aresztował Ernesta Pinchuka. Ale Pinchuka tam nie było. Jak wyjaśniła policjantom jego dziewczyna, Ernest powiedział, że złapał gorączkę z Alfa Centaury, i wrócił do swojego domu w Berkeley. Dodała, że gorącz-

ka z Alfa Centaury to u Snorków grypa żołądkowa.

Ponieważ miasto po wschodniej stronie zatoki nie wchodzi w jurysdykcję kapitana, Stottlemeyer skontaktował się z policją w Berkeley i umówił się na spotkanie przed domem Pinchuka, aby dokonać aresztowania.

My również tam pojechaliśmy.

W drodze do Berkeley nie mogłam się oprzeć i zapytałam Monka, dlaczego dał Ambrose'owi odczuć, że to on rozwikłał sprawę zabójstwa Kingstona Millsa.

- Ponieważ ją rozwikłał - odpowiedział.

-Po tym, kiedy pan już to zrobił. Tyle tylko, że pan milczał jak zakłęty.

- Sądzisz, że się domyślił? — zapytał Monk.

- Nigdy wcześniej nie widział, jak pan rozwiązuje zagadki kryminalne, więc nie mógł rozpoznać pańskich odruchów - uspokoiliam go. - Ale ja je zauważyłam. Więc dlaczego pan to zrobił?

- Chciałem, żeby wreszcie zaczął dobrze o sobie myśleć.

- Dlaczego pan uważa, że Ambrose źle o sobie myśli?

- Bo jest Monkiem - powiedział Monk smutnym głosem.

Jeśli miał na myśli to, że Ambrose jest również mnichem, to zapewne powiedział to bez zastanowienia, ale to podwójne znaczenie nie uszło mojej uwagi\*.

- Pan przecież też jest Monkiem, a dobrze pan o sobie myśli - zauważyłam.

\* ang. *monk* znaczy również „mnich” (przyp. tłum.).



- Bardzo rzadko.
- Więc kiedy pan dobrze o sobie myśli?
- Kiedy rozwikłałam jakąś sprawę.
- To się zdarza bardzo często.
- Nie na tyle często, żebym przez większość swojego życia poza snem przestał się pograżać w czarnej rozpacz — powiedział Monk. - Myślę, że dopiero tuzin morderstw tygodniowo sprawiłby, że naprawdę mógłbym zacząć dobrze o sobie myśleć i dobrze się poczuć.
- Chyba widzi pan sprzeczność w tym, co pan mówi?
- Chodzi ci o to, że setki ludzi musiałoby stracić życie, abym mógł poznać pełnię swojego szczęścia i spełnienia?
- Owszem.
- Sama więc widzisz, dlaczego się pograżam w czarnej rozpacz.

Cały front starego, zniszczonego domu Ernesta Pinchuka był zarośnięty chwastami i zarzucony śmieciami. Dla Mońka było to tak, jakby dom był otoczony fosą. Nie było mowy, żeby przeszedł z chodnika pod zrujnowany ganek.

Zostaliśmy więc na ulicy i patrzyliśmy, jak kapitan Stottlemeyer z około trzydziestoletnim detektywem policji w Berkeley podchodzą do drzwi wejściowych, a porucznik Disher z paroma miejscowymi mundurowymi zachodzą dom od tyłu.

Policjant z Berkeley zapukał do drzwi, a kapitan Stottlemeyer stanął dwa kroki z boku, trzymając w ręce broń gotową do strzału.

- Ernest Pinchuk? Tu detektyw Hidalgo Rhine-

hart z departamentu policji Berkeley. Chcemy z panem porozmawiać.

Hidalgo Rhinehart? Z takim nazwiskiem musiał spaść z gałęzi bardzo nobliwego drzewa genealogicznego.

Nikt nie odpowiadał. Rhinehart zapukał jeszcze raz.

- Otwierać! - krzyknął.

W tej chwili zza budynku doszedł nas krzyk Dishera: „Stać!”, a zaraz potem głośne krzyki, kasła-nie i bulgotanie.

Stottlemeyer zszedł z ganku.

- Co to jest, do diabła? — zapytał.

- To Pinchuk — odpowiedziałam. - Wypluwa trochę Dratcha.

- Przecież żeby przełknąć, trzeba pogryźć, on o tym nie wie? - powiedział kapitan, wkładając pistolet z powrotem do kabury.

- Ale to język - wyjaśniłam.

- Fikcyjny - dorzucił Monk.

Porucznik Disher wyprowadził Pinchuka zza domu. Mężczyzna wciąż miał na sobie kostium pana Snorka razem z maską. Ręce miał skute na plecach.

- Ma pan prawo zachować milczenie. Wszystko, co pan powie, może zostać w imię prawa użyte przeciwko panu - powiedział porucznik i dodał: — Nieważne, czy będzie pan mówił w prawdziwym języku czy w telewizyjnym.

Pinchuk wściekle zarżał, zaświstał i zaparskał, a porucznik Disher spokojnie dokończył odczytywanie praw i wsadził go na tylne siedzenie radiowoza.

- Dziwne sprawy trafiają się wam we Frisco - mruknął Hidalgo.

- Dlatego mamy Mońka - powiedział Stottlemeyer, wyciągając do niego dłoń. — Dzięki za współpracę.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Każdego cymbała z chęcią odpalę na drugą stronę zatoki. Dla mnie to tylko mniej roboty.

Podszedł do nas Disher.

- Kiedy wyskoczył z tyłu, zająłem do jego mieszkania. Musicie to zobaczyć.

- Zatem chodźmy. - Stottlemeyer ruszył wolnym krokiem alejką w kierunku domu. — Ale z góry mówię, że nie będę naśladował u siebie wystroju wnętrza domu faceta, który chodzi z trąbą słonia przyklejoną do nosa.

Poszliśmy za kapitanem. Po drodze Monk patrzył wyłącznie pod nogi, żeby nie wdepnąć w śmieci. Ogródek za domem był równie zachwaszczony jak od przodu, ale wzdłuż domu, od alejki przed garażem aż po tylne drzwi, prowadził betonowy chodniczek. Monk trzymał się tej ścieżki, uważnie utrzymując równowagę, jakby przechodził po kładce nad przepaścią.

Drzwi były lekko uchylone. Stottlemeyer otworzył je na oścież i w tej samej chwili wkroczyliśmy do innego świata, wybiegającego kilka stuleci w przyszłość.

Salon był dokładną repliką centrum dowodzenia z pokładu statku międzygwiezdnego *Discovery*; był tam nawet mostek kapitański, dźwignie konsoli nawigacyjnej i długi panel migających nieustannie, wielokolorowych kontrolki głównego komputera, które w filmie zdawały się tryskać fajerwerkami za każdym razem, gdy statek wpadał w deszcz meteorytów lub atakowali go kosmici.

Po bliższych oględzinach okazało się jednak, że były tam również rzeczy, które w żaden sposób nie pasowały do filmowej scenografii, jak stos bezużytecznych przesyłek pocztowych na konsoli komunikacyjnej, trampki bez sznurowadeł na podłodze, niedojedzone opakowanie chrupek Doritos na mostku kapitańskim czy...

.. .pistolet na fotelu kapitana.

- Teleportuj mnie, Scotty - mruknął Stottle-  
meyer.

## Monk odnajduje siebie

Ernest Pinchuk siedział przy stole w pokoju przesłuchań z założonymi rękami i patrzył buńczucznie w lustro weneckie - wiedział, że za nim kryje się nasza czwórka.

Monk lustrował go takim wzrokiem, jakby mężczyzna był dziwadłem wystawionym w ogrodzie zoologicznym na widok publiczny.

- Nie powiedział ani słowa — odezwał się Stottlemeyer. - Jedynie bulgocze.

- To język Dratchów — powiedziałam. — Słyszałam, że niezwykle trudno mówić tym językiem, mając tylko jeden język.

- Dlaczego nie mówi po angielsku? — zapytał Disher.

- Jego dziewczyna powiedziała nam, że to forma protestu przeciwko zmianom w *Poza Ziemią* - wyjaśniłam. - Pinchuk ślubował mówić językiem Dratchów, dopóki nie zrezygnują z nowego serialu i nie zgodzą się na emisję wersji zgodnej z oryginałem.

- Jeśli zważyć na to, że Stipe i Mills nie żyją, to można pomyśleć, że facet dopiął swego.

- Czy sieć telewizyjna wydała oświadczenie, że rezygnuje z serialu lub wraca do oryginalnej wersji? - zapytałam.

- Nic mi o tym nie wiadomo. - Stottlemeyer wzruszył ramionami.

- Jeśli nie, to obawiam się, że Pinchuk nie będzie z nami rozmawiał. W każdym razie nie po angielsku.

- Będzie śpiewał - obiecał kapitan. - Jak się do niego wezmę, przyzna się do wszystkiego i zaoszczędzi nam całego ambarasu w sądzie.

- Dlaczego miałby to zrobić? - zapytał Monk.

- Być może nie mówi po angielsku, ale z pewnością rozumie. Kiedy zobaczy ogrom dowodów świadczących niezbitnie przeciw niemu, ugnie się i pójdzie na układ.

- Co ma pan zamiar mu zaproponować? - spytałam.

Stottlemeyer uśmiechnął się do nas.

- Patrzcie i ucicie się.

Parę chwil później kapitan wepchnął do pokoju przesłuchań wózek z odtwarzaczem DVD i telewizorem i zamknął za sobą drzwi. Monk, Disher i ja patrzyliśmy na niego w skupieniu.

Kapitan uśmiechnął się szeroko do Pinchuka.

- Ernie, patrzysz właśnie na bardzo szczęśliwego człowieka - powiedział. - Wiesz dlaczego? To dla mnie wymarzona sprawa. Bez wysiłku posta ram się dla ciebie o wyrok i śmiertelny zastrzyk.

Pinchuk zagulgotał, pryskając śliną.

- Co tam mówisz, mój drogi? Jakoś trudno mi cię zrozumieć, kiedy masz tę zabawkę na nosie. Ale mam pomysł.

Jednym gwałtownym ruchem Stottlemeyer zerwał maskę z twarzy Pinchuka i cisnął ją w kąt pokoju.

Ernie Pinchuk zapiszczał. Nie z bólu, ale jak ktoś, kogo siłą obnażono publicznie. Zakrył dłońmi odkryty nos, jakby była to najbardziej intymna część jego ciała.

Byłam wstrząśnięta tym, co zrobił kapitan. Wiedziałam, że to tylko gumowy nos, ale pamiętając, za kogo się Pinchuk uważa i co dla niego znaczy ta trąba, wyglądało to na nadzwyczaj brutalne działanie. Jestem pewna, że taki zresztą był zamiar Stottlemeyera.

- Teraz lepiej? - zapytał kapitan. - Lżej ci od dychać?

Pinchuk zasyczał, zakaszłał i zabulgotał.

- Widzę, że nie. Ale nie szkodzi. Nic nie musisz mówić. Dowody mówią wszystko.

Stottlemeyer włączył telewizor. Na ekranie pojawiło się nagranie z kamer przemysłowych przedstawiające zabójstwo Kingstona Millsa.

- Widzisz, Ernie? To ty, na żywo i w kolorze, mordujesz Kingstona Millsa za to, że zniszczył ci twój ukochany serial. Eksperti od balistyki po twierdzili, że kule wydobyte z jego ciała pochodziły z broni, którą znaleźliśmy w twoim domu. Sprawa zamknięta. Chciałem ci tylko osobiście po dziękować za ułatwienie mi roboty. Będę dzisiaj wcześniej w domu.

Pinchuk wydał z siebie jakieś opryskliwe prychnania. Stottlemeyer chciał już wyjść, ale raptem jakby zmienił zdanie.

- Ach, zaraz, zapomniałbym jeszcze o czymś. Naprawdę szkoda, że nie wszyscy seryjni mordercy z taką skrupulatnością dostarczają nam dowodów swoich zbrodni. Przecież twoje pierwsze morderstwo również mamy na taśmie.

Stottlemeyer włączył wideo ze śmiercią Stipe'a. Pinchuk w czasie całego nagrania potwornie charczał i pyrkotał, a właściwie pluł na prawo i lewo.

Disher uśmiechnął się szeroko.

- W dechę.

Mnie to jednak nie bawiło. Od momentu, w którym Stottlemeyer zerwał z twarzy Pinchuka maskę z trąbą, całe to wydarzenie budziło we mnie tylko niechęć. Zobaczyłam kapitana od strony, za którą nie przepadałam. Wcale nie miałam zamiaru bronić Pinchuka — w końcu był mordercą. Ale mimo wszystko był też człowiekiem.

- Rany, facet nie żyje, a ty wciąż go nienawidzisz, bo sprzedał twój ukochany serial telewizyjny - mówił Stottlemeyer. - To również zamknięta sprawa, nawet bez analizy balistycznej, a to dzięki temu, że byłeś dość przezorny, by do obu zabójstw ubrać się w ten sam kostium, który kupiłeś sobie w tym tygodniu. Nie powiem, byłoby miło, gdybyś przy piął sobie jeszcze do piersi identyfikator, ale nie krytykuję, więc nie bierz sobie tego do serca.

Pinchuk niczym foka szczekał i prychał z oburzenia, a na jego brwiach pojawiły się krople potu.

- Myślę, że ława przysięgłych ustanowi rekord Stanów Zjednoczonych w najszybszym uznaniu oskarżonego winnym. Jak myślisz? Wyjdą z narady po dziesięciu minutach? Pięciu? Może już po trzydziestu sekundach? To pewnie zależy od tego, czy darmowy lunch zechcą zjeść przedtem czy potem, prawda?

Twarz Pinchuka pałała czerwienią. Było jasne, że znalazł się pod wielką presją. Może nawet trafił go wylew.

- Facet zaraz pęknie - powiedział Disher.



Zerknęłam na Mońka, który przekrzywił głowę i przypatrywał się Pinchukowi pod innym kątem. Ciekawe, co widział.

Stottlemeyer pochylił się w stronę Erniego.

- Z takimi dowodami czeka cię strzykawka, co do tego nie ma wątpliwości. Jeśli jednak zechcesz złożyć zeznania i przyznać się do winy, może będziesz miał szansę postawić się łajdakom z sieci, którzy zniszczyli twój serial, i resztę życia spędzisz w celi, oglądając sobie co dzień powtórki oryginalnej wersji *Poza Ziemią*. To dopiero raj, co? Wybór należy do ciebie. Dla mnie nie ma znaczenia. Ja i tak jestem górą.

Pinchuk zaniósł się rozpaczliwym, nieprzerwanym spazmem kasłania, zachłystywania, gulgotania, szczekania i kwilenia. Coś mówił. I mówił to z pełnym przekonaniem.

Monk odwrócił się do mnie.

- Zadzwoń do Ambrose'a.

Jednym przyciskiem wybrałam z pamięci telefonu numer i ruszyłam za Monkiem, który wyszedł z pomieszczenia obserwacyjnego i skierował się prosto do pokoju przesłuchań.

Stottlemeyer poderwał głowę, najwyraźniej zaskoczony naszym wejściem, tym bardziej że przecież tak dobrze mu szło.

- To nieodpowiedni moment, Monk - powiedział.

Monk podszedł do telewizora, zatrzymał film w chwili, gdy pan Snork strzela do Stipe'a, i spojrzał na mnie.

- Masz Ambrose'a?

W tym samym momencie Ambrose podniósł słuchawkę.

- Witaj, dodzwoniłeś się do miejsca zamiesz-

kania Ambrose'a Mońka. Przy telefonie Ambrose Monk.

- To ja, Natalie. Niech pan chwilkę poczeka.

Dałam znak Monkowi, wcisnęłam przycisk roz mowy konferencyjnej i uniosłam wyżej telefon.

- Jest na linii.

- Ambrose, jesteście z Ernestem Pinchukiem, przywódcą powstania galaktycznego, którego aresztowano pod zarzutem zamordowania Kingstona Millsa.

— Monk stanął przodem do zatrzymanego. - Czy zabiłeś również Conrada Stipe'a? Czy osoba na wideo to ty?

Miałam wrażenie, że Pinchuk dokładnie powtórzył spazmatyczną sekwencję tryskania śliną, której przed chwilą byliśmy świadkami. Monk bacznie uważał, by nie wpaść w pole rażenia.

Monk spojrział na telefon, jakby Ambrose był razem z nami w pokoju.

- Co on powiedział, Ambrose? - zapytał brata.

- Mówi, że człowiek, który strzela, ma na sobie kostium z pierwszego sezonu, a uszy z drugiego, o czym już wiemy. Twierdzi, że to bezprawie, zniewaga i hańba wobec wszystkiego, czym jest *Poza Ziemią*. Jeśli mogę wtrącić własne zdanie, to muszę przyznać mu rację.

- Ambrose też mówi językiem Dratchów? - zapytał zdziwiony Stottlemeyer.

- Potrafi też zrozumieć tę mowę z ruchu warg - dodałam.

- Jeśli będę kiedyś szukał w słowniku znaczenia słowa „bezsensowny”, to od dzisiaj będzie to pewnie nowa definicja — stwierdził kapitan.

Pinchuk wyglądał i brzmiał, jakby się zachłysnął kołtunem włosów.

Po chwili Ambrose znowu się odezwał.

- Mówi, że wyrażając zgodę, aby ta zmija Kingston Mills zniszczył *Poza Ziemią*, Conrad Stipe zdradził swoje ideały, fanów serialu i samego siebie. Ale dokładnie to samo robi ten, kto ma na sobie źle dopasowany kostium. Pinchuk mówi, że ten człowiek skalał dobre imię Ziemitów, na co on nigdy by sobie nie pozwolił. Twierdzi, że to nie on. Mówi, że jest człowiekiem honoru.

- Dziś rano bez litości strzelałeś na parkingu do człowieka — powiedział Stottlemeyer do Pinchuka. - Nie nazwałbym tego honorowym czynem. Nazwałbym to morderstwem.

Ernest Pinchuk zaczął znowu prychać i parskać, a Ambrose dokonywał szybko symultanicznego tłumaczenia.

- Twierdzi, że to nie było morderstwo, lecz wykonanie wyroku za zbrodnie przeciw ludzkości. Nie przeczy, że strzelał do Kingstona Millsa. Szczerze mówiąc, chętnie strzeliłby również do człowieka, który zhańbił mundur Konfederacji, gdy strzelał do Conrada Stipe'a. Uważa, że jedynym celem tamtego osobnika było znieważenie Ziemitów, zakpienie z nich i okazanie im braku szacunku. Według niego był to akt agresji ze strony fanów *Star Treka* lub *Battlestar Gallactica*, pragnących zwrócić świat przeciwko fanom *Poza Ziemią*.

- Zdenerwował się kostiumem - ironizował Stottlemeyer. - Ale morderstwem nie. To jest właśnie, moim zdaniem, brak s z a c u n k u .

Pinchuk mówił dalej, jeśli można to nazwać mówieniem. Ambrose tłumaczył.

- Pan Pinchuk utrzymuje, że nie zabił Conrada Stipe'a. Oczywiście był na niego dość wściekły, aby

to zrobić, ale niezależnie od tego, co Stipe ostatnio uczynił, był jednak twórcą *Poza Ziemią* i pan Pin-chuk to szanuje.

- Proszę bardzo - stwierdził Monk. - Zamordował Millsa, ale Stipe'a nie.

- Wyjdźmy na chwilę - powiedział Stottlemeyer, pokazując nam drzwi.

Wyprowadził nas z pokoju przesłuchań na korytarz, gdzie po chwili dołączył do nas porucznik Disher.

- To było fascynujące - powiedział. - Nigdy dotąd nie widziałem takiego przesłuchania.

- Ja też nie - powiedział Stottlemeyer i wskazał mój telefon komórkowy. — Mogłabyś powiedzieć Ambrose'owi, że zaraz do niego zadzwonisz?

Kiedy się rozłączyłam z Ambrose'em, Stottlemeyer odwrócił się do Mońka.

- Nie chciałem o tym rozmawiać przy mordercy ani przy twoim bracie, Monk. Robisz z siebie pośmiewisko i ciężko mi na to patrzeć.

- Robię to, co zawsze - odpowiedział Monk.

- Tak... W tym właśnie problem. Nie chcesz przyjąć do wiadomości niczego, co ci nie pasuje do twoich teorii.

- Właśnie tak rozwiązuję zagadki morderstw.

- Nie tym razem — stwierdził kapitan. - Facet, który siedzi w tym pokoju, to świr. To, co mówi, w jakimś wydumany niby-języku, odbierasz jak ewangelię. Ale to nie jest ewangelia. To bełkot idioty.

- Ja mu wierzę - stwierdził Monk.

- Bo on tobą manipuluje, Monk. Mówi ci to, co chcesz usłyszeć.

- Znam tego człowieka.

- Poznał go pan ledwie dwa dni temu - zauważył Dishar.

- Ten człowiek to ja.

Spojrzeliśmy w zdumieniu na Mońka. Jak dobrze wiecie, nie pierwszy raz, ale tym razem oznajmił nam coś naprawdę niebywałego.

Jeszcze dwa dni temu nazywał fanów serialu *Poza Ziemią* zaćpanymi świrusami. Był gotowy wyrzec się brata i zamknąć go w szpitalu dla psychicznie chorych za to, że się z nimi zadaje. Teraz sam wstępuje w ich szeregi?

Coś nie tak działo się z Monkiem. Czyżby się wreszcie zламаł?

- W niczym nie jest do ciebie podobny - powiedział Stottlemeyer.

- Jest mną - powtórzył Monk. - Jest moim bratem.

Stottlemeyer wskazał palcem drzwi do pokoju przesłuchań.

- On ma trąbę i spiczaste uszy!

- Ernie miał trąbę, dopóki mu jej pan brutalnie nie zerwał jak byle posterunkowy — powiedziałam.

Stottlemeyer zmiądzzył mnie ciężkim spojrzeniem.

- To kawałek gumy. Nie pobiłem go nią, lecz zdjąłem mu ją z nosa.

- Równie dobrze mógł go pan nią pobić.

Stottlemeyer, lekceważąc moje zastrzeżenia, odwrócił się z powrotem do Mońka i pokazał mi jedynie tył głowy.

- Mieszka w domu, którego przebudowane wnętrze ma przypominać statek kosmiczny - powie dział Stottlemeyer. - Komunikuje się zmyślonym językiem. On nie jest tobą ani Ambrose'em.

- Ambrose też mówi tym językiem, a serial zna na wylot — wtrącił się Disher. — Pinchuk nie jest Monkiem, ale może trochę jest Ambrose'em?

Stottlemeyer obdarzył Dishera tym samym ciężkim spojrzeniem, którym przed chwilą mnie miażdżył, ale zanim zdążył gołymi rękami zerwać porucznikowi głowę z karku, odezwał się Monk.

- Ernest Pinchuk to pokrecony świrus, może nawet zaćpany, co do tego nie mam wątpliwości -stwierdził. - Ale w swoim obłąkanym umyśle żyje według praw własnego wszechświata. Jego życie wpasowuje się w ten wszechświat. Pinchuk dba o każdy szczegół. Nigdy nie włożyłby kostiumu z pierwszego sezonu, mając uszy z drugiego sezonu. Tak jak ja nie wyszedłbym na ulicę w niedopasowanych skarpetkach.

- Prędeż by się pan zabił - stwierdziłam.

- Najpierw prosiłbym ciebie o zmianę skarpetek, a dopiero potem bym się zabił — odpowiedział Monk. - Za nic w świecie nie chciałbym, aby ktoś zobaczył mnie martwego w niedopasowanych skarpetkach.

- Gdyby pochowano pana w niedopasowanych skarpetkach, mielibyśmy do czynienia z aktem zbezczeszczenia - powiedział Disher. - Daję panu osobiste słowo honoru, że Jednostka specjalna do spraw bezczeszczenia" nie spoczęłaby, dopóki nie ujęłaby sprawcy.

- Gdzie tu jest jakiś sens!?! - przerwał im Stottlemeyer.

- Ernest Pinchuk to wariat, ale człowiek z zasadami - ciągnął Monk. — Spójrzcie, co robi. Uparcie trwa przy postanowieniu posługiwania się językiem Dratchów, nawet gdy idzie o jego życie, po-

nieważ uważa, że to konieczny krok do tego, by jego światu przywrócić naturalny ład. Rozumiem go, bo jesteśmy tacy sami. Tyle tylko, że ja nie jestem obłąkany.

To był dla Adriana Mońka wielki moment, który zmieniał jego życie. W tym tkwił cały sens, o który pytał kapitan Stottlemeyer. Monk zrobił potężny krok naprzód w rozumieniu siebie i innych ludzi. Doktor Kroger zapewne nazwałby coś takiego przełomem. Porównując się z Ernestem Pinchukiem, Monk czuł się w kogoś, kogo ideały i styl życia zasadniczo się różniły od jego własnych. Niesamowite!

Właśnie do tego próbowałam od dawna przekonać Mońka, a szczególnie intensywnie od chwili, gdy ruszyło to śledztwo. Chciałam, aby dostrzegł, jak bardzo jest podobny do Ambrose'a, Ziemitów i innych ludzi, których krytykował za to, że nie są tacy jak on.

Teraz to pojął. W każdym razie zdawał się pojmować.

Miałam nadzieję, że od tej chwili będzie tak pojmował świat. Choć jego argumentacja przytaczana na okoliczność śledztwa w ogóle mnie nie przekonywała.

- Mówię, Monk, że on tobą manipuluje - powtórzył Stottlemeyer. — Facet wszystko o tobie wie i stara się to wykorzystać.

- Nawet jeśli to prawda, to przecież przyznał się do jednego morderstwa. Co by mu szkodziło przyznać się do drugiego, gdyby rzeczywiście je popełnił? Już to powinno ci podpowiadać, że twojemu scenariuszowi brakuje logiki.

- Mojemu? Gdybym wystawił swoje dowody

przeciwko twojej gumie, papierkowi od cukierka i jakaninie tego bęcwała, z góry byłoby oczywiste, które z nich czynią sprawę bez porównania bardziej wiarygodną. Każda rozsądnie myśląca osoba, a co ważniejsze, każda ława przysięgłych, zgodziłaby się, że mamy człowieka winnego dwóch zabójstw.

- Myliliby się - upierał się Monk. - Conrad Stipe zginął od strzału zawodowca.

- Który twoim zdaniem zamordował dwóch ludzi tylko po to, żeby policja nie mogła go przyskrzynić za parę strzałów do martwego faceta - powiedział Stottlemeyer.

- Właśnie - odpowiedział Monk.

- Zbezczeszczenie to bardzo poważne przestępstwo - uniósł się Dishar. - Dlatego wyszkoliliśmy specjalną jednostkę do jego zwalczania. Zabójca drżał ze strachu, że zostanie schwytyany.

- Kiedy strzelano do Lorbera, twoja jednostka nie istniała - zauważyłam.

Nie miałam nic przeciwko temu, żeby się po-  
sprzeczać z Disharem. Nie był moim pracodawcą.

- Ale zabójca dobrze wiedział, że kiedy zobaczymy, jakiej się dopuścił zbrodni, natychmiast taką jednostkę powołamy - przekonywał porucznik. - Oto, jaki jest przebiegły i dlatego ma we mnie godnego przeciwnika.

- Zawodowy zabójca wciąż przebywa na wolności, gotów znowu zabić - powiedział Monk. - Zrobi to za odpowiednią kwotę. Musimy go znaleźć, zanim znowu uderzy.

Stottlemeyer potarł skronie.

- Zamykamy sprawę, Monk - powiedział. - Śledztwo zostaje zakończone, a twoje usługi nie będą nam już potrzebne.



- Wyrzucasz mnie? - zapytał Monk.
- Nie. Mówię tylko, że to konkretne śledztwo dobiegło końca i schwytailiśmy sprawcę.
- Macie sprawcę jednego morderstwa, a nie dwóch.
- Daj spokój, Monk. To koniec. Tym razem poszedłeś złym tropem. Było oczywiście, że kiedyś do tego dojdzie - mówił Stottlemeyer. - Ale to nie szkodzi. Wciąż uważam, że jesteś najlepszym detektywem. Jak tylko wypłynie jakaś nowa trudna sprawa, natychmiast do ciebie dzwonię.
- Popelniasz wielki błąd - oznajmił Monk i odszedł wolnym krokiem.

Stottlemeyer spojrzał na mnie.

- Musisz mu pomóc - powiedział. - Przekonaj go, że śledztwo jest zamknięte. Jeśli wpadnie znowu w jakąś obsesję, pogorszy tylko sytuację każde go z nas.

Nie powiedziałam ani słowa. Odwróciłam się i poszłam za Monkiem. Wierzyłam w mojego pracodawcę i bardzo chciałam go wesprzeć, ale nie mogłam się opędzić od myśli, że tym razem Stottlemeyer może ma rację.

## Monk przekazuje wiadomość

Kiedy wyszłam na zewnątrz, zobaczyłam, że Monk przechadza się nerwowo przed moim samochodem.

- Jedźmy już — ponaglił mnie niecierpliwie.
- Dokąd? - zapytałam.
- Jak to dokąd, do Burgerville'a - odpowiedział

Monk.

Westchnęłam ciężko.

- Panie Monk, śledztwo zostało zakończone.
- Nie dla mnie. Będzie trwało dopóty, dopóki morderca chodzi na wolności.

Pomyślałam o tym, co powiedział mi przed chwilą Stottlemeyer.

- Może jednak weźmie pan czas?
- Co to znaczy wziąć czas?
- Niech pan odpocznie trochę, pozbiera myśli, zapomni o sprawie na dzień lub dwa. Może zobaczy pan wszystko innymi oczami.

- Myśli mam już pozbierane - poinformował mnie. - Są posegregowane i oznakowane kolorowymi kodami.

- Kolorowymi kodami?
- To integralna część mojej metody archiwizowania myśli.

- Pan ma metodę archiwizowania myśli? - zdziwiłam się.

- A ty nie? - Monk także się zdziwił.

Pokręciłam głową.

Pokiwał głową z politowaniem i zrozumieniem, jakby wreszcie odgadł wielką tajemnicę.

- To wiele wyjaśnia - powiedział. - Dzisiaj przeszedłem prawdziwy przełom.

- Ja też tak myślę. Teraz jak nigdy dotąd potrafi pan zrozumieć innych ludzi.

- Szczera prawda - przyznał. - Nie pojmuję, jak można iść przez życie, mając takie rozsypane myśli. Zobaczyłem ciebie w zupełnie nowym świetle, Natalie. Twój umysł to jeden wielki bałagan. Przecież człowiek nie jest w stanie uchwycić się myśli, jeśli przedtem nie potrafi jej odnaleźć.

- Mówiłam o Pinchuku i o tym, że właściwie niewiele się od pana różni.

- Pinchuk to wariat, ale myśli ma poukładane. Cieszę się, że to dostrzegasz. To pierwszy krok na drodze twojej rekonwalescencji. Jeśli poukładasz sobie myślenie, wreszcie staniesz się bardziej racjonalna - perorował Monk. - Ale nie mamy teraz czasu na zajmowanie się twoim życiem. Musimy ustrzec kapitana przed błędem, który może go kosztować karierę.

- A jeśli kapitan ma rację? Skłóci go pan tylko z przełożonymi, którzy mogą go zwolnić z pracy, a bez Stottlemeyera straci pan jedyne go protektora w departamencie policji.

- Kapitan nie ma racji - odpowiedział Monk. — Mogę to udowodnić.

- Gumą do żucia i papierkiem od cukierka?

- Zawodowym zabójcą we własnej osobie - od powiedział Monk.

- Naprawdę?
- Naprawdę.

Archie Applebaum zobaczył nas z daleka, więc wyszedł ze swojego stanowiska w holu Burgerville'a i otworzył nam boczne drzwi.

- Powinien pan spróbować przejść przez drzwi obrotowe, panie Monk. To frajda - powiedział.

- O spadochroniarstwie też ludzie mówią, że to frajda.

- Dla niektórych to frajda - powiedział Archie, prowadząc nas do swojego biurka w kształcie rogala.

Ernest Pinchuk czułby się szczęśliwy, siedząc w fotelu Applebauma. Nie było to co prawda centrum dowodzenia kapitana Strykera, ale pulpit przypominał stację nawigacyjną na mostku kapitańskiego statku *Discovery*. Było tu mnóstwo przycisków, kontrolki i kilka monitorów, na których widać było obrazy z różnych kamer przemysłowych umieszczonych w korytarzach i na klatkach schodowych.

- Być może są również ludzie, których bawi podpalanie się, połykanie trutki na szczury albo wpychanie sobie w serce rzeźnickiego noża.

- To byłoby samobójstwo.

- Podobnie jak skok z lecącego samolotu lub przejście przez obrotowe drzwi.

- To tylko drzwi - powiedział Archie. - Nie piła tarczowa.

Wiedziałałam, jak daremne są próby spierania się z Monkiem o taką sprawę, podobnie zresztą jak o każdą inną, ale trudno winić Archiego, że chciał jednak spróbować. Taka jest ludzka natura, jak sądzę.

- Chcielibyśmy się zobaczyć z panem Andrew Cahillem - oznajmił Monk.

- Zaraz zadzwonimy i zobaczymy, czy jest u siebie w biurze.

Archie sięgnął po telefon, powiedział sekretarce, że przyszedł pan Monk, i czekał dłuższą chwilę na odpowiedź. Po jego tężejącej twarzy odgadłam, że nie będzie miał dla nas miłych wiadomości.

Archie odłożył słuchawkę i spojrzał na Mońka.

- Pan Cahill nie chce się z wami widzieć. Przykro mi to mówić, ale powiedział, żebym wyprowadził was z budynku i nigdy więcej nie wpuszczał.

- Rozumiem - stwierdził Monk. - Czy w takim razie mógłby pan przekazać mu wiadomość?

- Jasne - odparł Archie i wyjął długopis.

- Niech pan ją przekaże również pani Lorber - poprosił Monk. - Otóż lekarz sądowy ustalił, że Brandon Lorber nie został zamordowany. Zmarł z przyczyn naturalnych.

Archie podniósł głowę znad notatnika.

- Przecież ten facet dostał trzy kulki.

- To prawda - przyznał Monk.

- Dwie w klatkę piersiową i jedną w głowę. To raczej nie wygląda na przyczyny naturalne. Nawet gdybym nie był kiedyś policjantem, wiedziałbym, że takie strzały są śmiertelne.

- Byłyby śmiertelne, gdyby pan Lorber żył - oświadczył Monk. - Jednak tuż przed strzałami zmarł na atak serca.

- Po co ktoś miałby strzelać do martwego człowieka? - zdziwił się Archie.

- Tego nie wiem, ale niech pan przekaże panu Cahillowi i pani Lorber, że nie jest to już śledztwo

w sprawie zabójstwa - powiedział Monk. — To śledztwo w sprawie zbezczeszczenia zwłok.

- To na pewno ucieszy pana Cahilla i panią Lorber.  
- Archie zrobił parę krótkich notatek. - Nie wiedziałem, że policja się zajmuje sprawą strzelania do zwłok.

- To kompetencje jednostki specjalnej do spraw bezczeszczenia" - powiedziałam.

Archie podniósł brwi.

- Istnieje specjalna jednostka do takich spraw?
- Istnieje.
- Do licha...

Wróciliśmy do samochodu. Po drodze Monk dotykał mijanych parkometrów i liczył je w milczeniu. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego to robi. To znaczy rozumie liczenie, ale nie dotykanie. Nie zdawał sobie sprawy, ile setek ludzi dotyka parkometrów? Ile ptaków brudzi je swoimi odchodami?

Ale nic nie mówiłam. Brakowało mi cierpliwości, tabletek od bólu głowy i kropli miętowych, żeby podjąć taką rozmowę.

- Dokąd teraz? - zapytałam.
- Donikąd - odpowiedział Monk.

Nie bardzo wiedziałam, co to ma znaczyć.

- Jedziemy do pańskiego domu, żeby sprawdzić, czy wymienili wykładzinę? Czy wracamy do Ambrose'a?

- Wracamy do samochodu i siedzimy w nim, dopóki coś się nie wydarzy.

Zerknęłam za siebie na budynek Burgerville'a.

- Zostajemy na czatach?
- Tak.

Wsiadliśmy do samochodu, który stał na rogu jednej z bocznych ulic. Mieliśmy stamtąd doskonały widok na wejście, główny hol i wjazd na podziemny parking.

- Kogo mamy wypatrywać? - zapytałam.
- Zawodowego zabójcy - odpowiedział Monk. - Ten, kto go zatrudnił, będzie teraz wściekły, że zapłacił za nic, i będzie chciał odzyskać pieniądze.
- Uważa pan, że zawodowy zabójca chętnie dokona zwrotu gotówki?
- Zobaczymy.

Boże, dzięki Ci za radio publiczne NPR i Starbucksa.

Gdyby nie audycja „Biorąc wszystko pod uwagę”, następnych kilka godzin musiałabym spędzić na rozmowach z Monkiem, a nie słuchaniu ciekawych lewicowych wiadomości i liberalnych komentarzy, choć obyłabym się bez nieustannych apeli o dotacje dla rozgłośni. Powinni po prostu instalować przy każdym odbiorniku automat na monety i problem byłby z głowy.

Gdyby nie Starbucks dwa domy dalej, nie miałabym nic do jedzenia, nic do picia i brakowałoby mi przyzwoitej toalety. Wypiłam za to ogromne ilości kawy i jeszcze o zmroku czułam takie napięcie, że włosy chyba stały mi dęba, a audycje NPR mogłabym odbierać, nie włączając radia.

Mimo to godziny wlokły się niemiłosiernie, a przez cały czas musiałam przecież natężyć uwagę. Nie tylko dlatego, że miałam baczenie obserwować budynek, ale dlatego, że musiałam jeszcze pilnować

Mońka. Musiałam go powstrzymać przed wychodzeniem z samochodu i strofowaniem kierowców za to, że źle parkują. Musiałam go powstrzymać przed udzieleniem lekcji chłopcom myjącym okna na temat poprawnej techniki mycia szyb okiennych. Musiałam go powstrzymać przed wrzucaniem monet do innych parkometrów, gdyż nie chciał, aby wskazywały nieparzyste liczby minut pozostałych do końca parkowania.

Musiałam go też powstrzymać przed aresztowaniem pewnej staruszki, której piesek obsikał hydrant pożarowy naprzeciw wejścia do Burgerville'a.

- Spali pan naszą czujkę —argumentowałam.
- A jeśli wybuchnie pożar?
- Przyjedzie straż pożarna i go ugasi.
- Czym?
- Wodą.
- Chyba nie z tego hydrantu - wystraszył się Monk.
- Ten hydrant jest już nie do użytku.
- Jak najbardziej jest - powiedziałam. - Nadal można z niego czerpać wodę.
- Przecież cały się klei od psiego moczu — powiedział Monk. - Żaden strażak nie odważy się go dotknąć, w ogóle żaden człowiek.
- Strażak potrafi wbiec do płonącego budynku i na pewno nie będzie zwracał uwagi na to, czy hydrant jest obsikany przez kundla.
- Zwracałby uwagę, gdyby wiedział. Powinniśmy zadzwonić i ostrzec straż pożarną. Zadzwoń natychmiast do Joego. On szybciej od nas wszystkich zawiadomi.
- Panie Monk, jestem pewna, że nie ma w tym



mieście ulicznego hydrantu, który nie byłby obsi-kany. W ten sposób psy znaczą swoje terytorium. Gwarantuję panu, że każdy pies, który przechodził obok tego hydrantu, nie omieszkał go podlać.

Monk spojrział na mnie szeroko otwartymi oczami.

- Nie.

- Psy zawsze to robią. Strażacy są tego świadomi.

Monk przełknął głośno ślinę.

- Wiedzą, a mimo to korzystają z ulicznych hydrantów?

- Oczywiście.

- To najodważniejsi ludzie na ziemi - powiedział ponuro Monk.

- Pewnie ma pan rację.

- Jeśli jednak zapali się kiedyś mój dom, proszę cię o jedno, nie wzywaj straży pożarnej.

- Dlaczego?

- Wolę, aby oczyściły mnie płomienie niż strażackie węże zlały psimi sikami.

Dopiero kilka minut po ósmej wieczorem wydarzyło się coś, co zwróciło naszą uwagę. Z parkingu wyjechał Andrew Cahill swoim czarnym mayba-chem — samochodem, który Mercedes produkuje tylko po to, aby inne jego samochody wydawały się tanie jak barszcz.

Uruchomiłam swojego nędznego jeepa.

- Co robisz? - zapytał Monk.

- Szykuję się do jazdy za Andrew Cahillem - odpowiedziałam.

- Dlaczego chcesz za nim jechać?

- Ponieważ zaprowadzi nas do zawodowego zabójcy.
- Ależ to nie on wynajął zawodowca.
- Jeśli nie on, to dlaczego nie stoimy przed domem Veroniki Lorber? — zapytałam zdziwiona.
- Bo ona również go nie wynajęła - odparł Monk. - Zrobił to Archie Applebaum.

## Monk i drzwi obrotowe

Obejrzałam się na siedzibę Burgerville'a, gdzie Arenie siedział za biurkiem i czytał spokojnie „San Francisco Chronicle”.

- Strażnik? - zapytałam. - Ten człowiek ma chronić Lorbera, a nie go zabijać.

- Właśnie dlatego był w idealnym położeniu, aby morderstwo mogło mu ujsć na sucho - stwierdził Monk.

- Nie tylko wiedział, kiedy Lorber przychodzi i wychodzi z pracy, ale miał dostęp do systemu bezpieczeństwa. Nie musiał kraść karty Lorbera, wystarczyło, że dorobił dla zabójcy kartę z takim samym kodem. Zabójca nie musiał obserwować, kiedy strażnik odejdzie od biurka, bo on sam mu to powiedział. Nie musiał się też domyślać, gdzie są zamontowane kamery przemysłowe, ponieważ Archie przekazał mu ich dokładne rozmieszczenie.

- Co skierowało pana podejrzenia na Archiego?

- Wiedziałem, że trzeba szukać kogoś wewnątrz firmy. Archie to jedyna osoba, która ma do wszystkiego dostęp, od systemu alarmowego począwszy, a na poszatkowanych dokumentach skończywszy — wyjaśnił Monk. - Poza tym, jako byłemu policjantowi, łatwiej było mu wejść w kręgi, które zorganizowały kontakt z zawodowym zabójcą.

- Ale dlaczego Archie miałby wynajmować zamachowca do zabicia swojego szefa?

- Nie chodziło mu tylko o pracę. Chodziło o przyszłość. Na planie emerytalnym Burgerville'a opierał całą swoją starość - tłumaczył Monk. - W jakiś sposób się dowiedział, że Brandon Lorber mataczy z emeryturami pracowników. Tak go to rozwścieczyło, że postanowił szukać odwetu.

Logiczne. Jednak z drugiej strony również logiczne byłoby, gdyby zabójcę wynajęli Andrew Cahill lub Veronica Lorber.

- Ma pan dowód, że to Archie Applebaum?

- Żadnego.

Spojrzałam na niego zdziwiona.

- Żadnego?

- Nawet papierka od cukierka - odpowiedział Monk.

- Jak więc pan udowodni swoją hipotezę?

- Nie będę musiał — odparł Monk. - Dowody dostarczy mi sam Applebaum. Dlatego tu jesteśmy.

- Skąd ma pan pewność, że to się stanie dziś wieczór?

- Nie mam. Ale prędzej czy później dojdzie do spotkania Archiego i zabójcy.

- Prędzej czy później?!

- Masz dzisiaj coś innego do roboty? - zapytał Monk.

- „Prędzej czy później” to może być bardzo, bardzo długo, panie Monk.

Wzruszył ramionami.

- Nie szkodzi. Nie miałem na dzisiaj żadnych planów.

Kiedy wybiła dwudziesta druga, nic już nie pozostało z mojego kofeinowego uniesienia i rozpaczliwie walczyłam z ciężkimi jak ołów powiekami. Niestety pomysł Mońka, aby zabić czas, śpiewając piosenkę *Tysiąc butelek Windexu na ścianie*, nie pomógł mi w zachowaniu czujności. Wręcz przeciwnie.

Z wolna drzemka zaczynała wygrywać bitwę o moje ciało i duszę, gdy nagle Monk trącił mnie łokciem.

- Arenalnie idzie na obchód — powiedział.

Zebrałam w sobie całą energię i z wysiłkiem godnym ciężarowca dźwigającego sztangę uniosłam jedną powiekę. Zobaczyłam, jak Archie idzie w kierunku windy.

- Ten to ma dobrze — powiedziałam i natychmiast opuściłam powiekę.

W tej samej chwili znalazłam się nad jeziorem Como we Włoszech, gdzie jeździłam z George'em Clooneyem na nartach wodnych przed jego willą. Mknęłam za jego motorówką, delikatnie muskając spieniony kilwater i chociaż George stał daleko za sterem, to doskonale widziałam jego błyszczące oczy i świetnie słyszałam go wśród wycia silnika.

- Wiesz, co najbardziej w tobie kocham? - zapytał z tym swoim seksownym, pewnym siebie uśmiechem.

- Moje ciało?

- Och, oczywiście przepadam za nim - odpowiedział. — Ale najbardziej uwielbiam twoje potrzeby. Nie potrafię się oprzeć kobietom z potrzebami. Lubię być potrzebny. Zwłaszcza tobie.

- Będziesz mi potrzebny, George - powiedziałam.

I wówczas nagle, dzięki magii snu, znalazłam się na łodzi, w jego ramionach, a on pochylał nade

mną usta, szukając pocałunku, który odmieni moje życie.

- Koniec czekania - wyszeptał George.

- Och, tak... - odparłam cicho.

Jednak nie wypowiedział tych słów swoim namiętym, aksamitnym głosem, lecz głosem Mońka.

Poczułam bolesne dźgnięcie. Ktoś trącał mnie w bok łokciem. Nagle motorówka zamieniła się w jeepa, a George stał się Monkiem. Jaka szkoda!

Jak w malignie zapytałam Mońka, co się stało, ale myślę, że zabrzmiało to jakoś tak: „woziechało”. Może mówiłam w języku Dratchów.

Monk wskazał na siedzibę Burgerville'a. Przed bocznym wejściem dla pracowników stał mężczyzna i przeciągał przez czytnik kartę otwierającą drzwi. Miał na sobie długi, szyty na miarę, czarny płaszcz i kapelusz z szerokim rondem, nasunięty nisko na czoło, by zakrywał twarz przed obiektywem kamery przemysłowej nad wejściem.

Na większości ludzi taki strój wyglądałby równie śmiesznie jak mundur konfederacki. Ale na tym człowieku wyglądał rewelacyjnie i groźnie. Mógłby to być sam George Clooney. Chyba że wciąż trwałam w lekkim półśnie.

Zanim zdążyłam coś powiedzieć, Monk wyskoczył z samochodu i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Wybiegłam pośpiesznie za nim, próbując otrząsnąć się z resztek snu.

- Co robimy? - zapytałam szeptem.

Nie wiem, dlaczego szeptałam. Czułam, że powinienam. Świeże powietrze, nagły chłód i świadomość, że biegniemy w kierunku zawodowego zabójcy, a nie uciekamy od niego, rozbudziły mnie błyskawicznie.

- Czy masz aparat w swoim telefonie komórkowym? - zapytał Monk.

- Mam. Ale takimi zdjęciami nie wygra pan żadnej nagrody.

- Chcę tylko wygrać proces.

Mniej więcej w momencie, w którym dotarliśmy do bocznego wejścia, zabójca zniknął za drzwiami klatki schodowej. Nie widział nas. W każdym razie taką miałam nadzieję.

- Może powinniśmy zadzwonić do kapitana? - zasugerowałam.

- Nic jeszcze dla niego nie mamy — odrzekł Monk.

- Popatrz, na szczęście zabójca zablokował drzwi kamieniem, żeby się nie zamknęły.

- Pan to nazywa szczęściem? Chyba nie zamierza pan za nim iść?

W odpowiedzi Monk ruszył śladem mężczyzny w czarnym płaszczu. Poszłam za nim jak głupia, a po drodze przez przypadek potraściłam nogą kamień. Drzwi się zamknęły z cichym, nieodwracalnym trzaskiem więziennej celi.

Monk nic nie zauważył. Stał przy stanowisku ochrony budynku i patrzył w monitory na pulpicie.

Na jednym z ekranów zobaczyłam Archiego, który siedł korytarzem na czwartym piętrze i sprawdzał drzwi.

- Szczęście nas nie opuszcza. Te ujęcia są nagrywane na taśmę - stwierdził Monk.

- Nie wiem, gdzie tu szczęście - odpowiedziałam.

- Będziemy mieli na taśmie spotkanie Archiego z zawodowym zabójcą - wyjaśnił Monk. — To dowód.

Mężczyzna w płaszczu szedł wolno schodami,

zrećnie przy tym nie pokazując twarzy, gdy przechodził pod obiektywami kamer.

- Zabójcy znakomicie udawało się chować twarz przed kamerami, kiedy był tutaj poprzednim razem — powiedziałam. — Mam wrażenie, że dzisiaj jest równie nieśmiały.

- Dlatego właśnie przyda nam się aparat w twoim telefonie. Zrobisz mu zdjęcie, gdy będzie wychodził i przestanie chować twarz.

- Nie zobaczy mnie?

- Będiesz w ukryciu.

- W ukryciu? Gdzie?

Rozejrzałam się po pustym holu. W jednym z rogów stała w donicy jakaś palma, ale była za mała, abym mogła się za nią schować.

- Na zewnątrz - wyjaśnił Monk. - Za jednym z samochodów na ulicy. Nie przyjdzie mu do głowy, że ktoś może się tam chować.

- Jest tylko mały problem. Jesteśmy zamknięci. Przypadkowo potrąciłam kamień i drzwi się zatrzasnęły.

Monk spojrzął na biurko i zauważył pęk kluczy.

- To żaden problem. - Przejrzał szybko klucze i spośród dwudziestu zawieszonych na kółku wybrał jeden. - Ten klucz otwiera obrotowe drzwi - oświadczył.

Przyjrzałam się kluczowi.

- Skąd pan wie?

- Potrafię go odróżnić.

- Jak?

- Po prostu pamiętam. Widziałem, jak Archie otwierał nim kiedyś drzwi.

- Ale wszystkie klucze wyglądają podobnie.

- Jednak każdy jest inny - odpowiedział Monk. -



Dlatego nazywają się kluczami. Ty wyjdiesz, a ja schowam się w pomieszczeniu ze zniszczonymi dokumentami.

Wzięłam klucz do ręki i spojrzałam na monitory. Zabójca wchodził właśnie na czwarte piętro. Stał przed ostatnim stopniem. Sięgnął pod płaszcz i wyciągnął pistolet.

- To nie wróży nic dobrego - powiedziałam, pokazując Mońkowi ekran.

- Musimy ostrzec Archiego. - Monk zaczął szybko szukać czegoś na pulpicie, aż w końcu znalazł system radiowęzła. - Gdzie mikrofon?

Wskazałam słuchawkę telefonu, która leżała na pulpicie.

- Myślę, że tu.

Zabójca przykręcał tymczasem tłumik do pistoletu. To zdecydowanie nie wróżyło nic dobrego.

Monk podniósł słuchawkę i w chwili, gdy morderca zaczął wychodzić ze schodów na korytarz czwartego piętra, gdzie Archie robił obchód, wcisnął włącznik radiowęzła.

- Archie, tu Adrian Monk!

Na dźwięk głosu Mońka Archie i zabójca poderwali głowy. To instynktowny odruch, gdy człowiek raptem słyszy taki głos w miejscu publicznym, ale jeśli się nad tym zastanowić, zupełnie niezrozumiały. Co chciałby zobaczyć? Boga unoszącego się nad swoją głową? Z drugiej strony, gdyby Archie nie dosłyszał Mońka, pewnie pozostałoby mu już tylko widzenie z Panem Bogiem.

- Jesteś w śmiertelnym niebezpieczeństwie — ostrzegł go Monk. - Przy schodach jest zabójca, który trzyma w ręku pistolet.

Wszystko, co się zdarzyło potem, nastąpiło nie-

spodziewanie szybko. Archie odwrócił się w kierunku schodów w tym samym ułamku sekundy, w którym zabójca stanął na korytarzu. Zanim Archie zdążył zareagować, mężczyzna w płaszczu strzelił do niego dwa razy w pierś z taką samą zimną krwią, z jaką strzelał do Conrada Stipe'a.

Potem spojrział w obiektyw kamery i bezczelnie pokazał nam swoją twarz. Natychmiast rozpoznałam w nim jednego z nabywców munduru konfederackiego, których portrety pamięciowe pokazywał nam Disher. Uśmiechnął się do nas, odwrócił i ruszył z powrotem ku schodom.

Wiedziałam, że z jednego tylko powodu ośmielił się pokazać nam swoją twarz. Miał zamiar nas zabić i zabrać kasety z nagraniem.

- Musimy uciekać, panie Monk. Idzie do nas. — Chwyliłam pęk kluczy, podbiegłam do obrotowych drzwi i szybko je otworzyłam. Kiedy jednak obejrzałam się na Mońka, ten stał jeszcze przy biurku strażnika. Nawet się nie ruszył. - Szybciej, panie Monk! On tu będzie za minutę.

Monk potrząsnął głową.

- Nie przejdę przez te drzwi.

- Raz już pan to zrobił.

- Wtedy byli ze mną ludzie, którzy zajęli puste miejsca, i zadbaliśmy o idealną koordynację czasową. Dzisiaj nie ma tych ludzi. Nawet jeśli spróbuję, nigdy nie uda mi się przejść przez drzwi przed jego nadejściem.

- Jeśli nie przejdzie pan przez te drzwi, zginie pan! - krzyknęłam. - To przecież tylko drzwi. Jakoś to pan przeżyje. Kulki w głowie na pewno pan nie przeżyje.

- Idź, Natalie. Wezwij policję. Zatrzymam go, jak długo się da.

- Nie zostawię pana, panie Monk.

Monk zerknął na monitor. Z miejsca, gdzie stałam, nie widziałam ekranów, ale mogłam sobie wyobrazić, co widział. Zabójca schodził wolnym, spokojnym krokiem i był coraz bliżej holu.

- Ty masz córkę, która cię potrzebuje, Natalie - mówił Monk. - Ja nie.

- Pan ma mnie - powiedziałam. - Potrzebuję pana.

- Uciekaj!

Nie chciałam uciekać, ale Monk miał rację. Musiałam.

- Błagam pana, panie Monk, niech pan ze mną ucieka - powiedziałam jeszcze ze łzami w oczach.

- Nie mogę - odpowiedział. - Taki jestem. Biegnij, Natalie. On zaraz tu będzie.

Pchnęłam obrotowe drzwi i puściłam się biegiem przez ulicę do mojego samochodu, wybierając po drodze numer 911.

Ale nie mogłam się połączyć.

Znowu spróbowałam. I znowu nic. Obejrzałam się jeszcze na budynek Burgerville'a i wskoczyłam do samochodu.

Zabójca wynurzył się z klatki schodowej i podszedł wolno do Mońka, który coś do niego powiedział. Mężczyzna w płaszczu coś odpowiedział.

Nie mogłam siedzieć spokojnie i patrzeć, jak Monk ginie. Musiałam coś zrobić. Uruchomiłam silnik i z piskiem opon ruszyłam z miejsca parkingowego. Zbliżając się do głównego wejścia, zobaczyłam, jak zabójca niespiesznie podnosi broń i mierzy w głowę Mońka.

W tym momencie wjechałam na chodnik i staranowałam ścianę ze szklanych tafli. Monk i mąż-

czynna w płaszczu w ostatniej chwili uskoczyli mi z drogi. Wpadłam z hukiem w stanowisko strażnika, roztrzaskując biurko i posyłając w górę fontannę iskier i drzazg.

Wyjrzałam przez boczne okno. Monk leżał na ziemi, trochę otumaniony, ale żywy.

- Niech pan wsiada! - krzyknęłam.

Monk się zawahał i spojrzał na rozsypane dookoła kawałki szkła.

- Zbiłaś szybę - powiedział. - Na milion kawałków.

- Tb nieważne! - krzyknęłam i spojrzałam w okno po stronie pasażera.

Mężczyzna w czarnym płaszczu też był zamroczony, ale jemu również nic się nie stało. Wstał i zaczął się rozglądać za pistoletem, który podczas upadku musiał mu wypaść z ręki. Broń leżała parę metrów dalej, obok palmy. Zabójca ruszył w jej stronę.

- Niech pan wsiada do samochodu! - krzyknęłam do Mońka.

- Kto to posprząta? Kto to z powrotem poskłada?

Znowu spojrzałam na zabójcę. Schylił się i podniósł pistolet.

- Na miłośćią boską, panie Monk! Niech pan wsiada, bo zaraz zginiemy.

Monk podniósł z podłogi jakiś kawałek papieru i zaczął nim zmiatać na stertę odłamki szkła.

- To zajmie tylko minutkę.

Znowu spojrzałam na zabójcę. Stał przed moim samochodem i mierzył w Mońka.

Najpierw zginie Monk, potem ja. Nie mogłam na to patrzeć, zamknęłam oczy i zaczęłam się żegnać z córką. Była za młoda, by stracić oboje ro-

dziców. Ale wiedziałam, że jest silna i da sobie radę. Była z Teegeerów.

Usłyszałam głośny wystrzał z pistoletu, co wydało mi się dziwne, bo przecież zabójca używał tłumika.

Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że Monk wciąż żyje, zamiata odłamki szkła, a zabójca leży bez tchu, rozciągnięty na masce mojego jeepa.

Kto strzelił?

Odwróciłam głowę w prawo i zobaczyłam Archiego Applebauma. Stał przy schodach, trzymając wciąż pistolet w obu dłoniach. Dwie dziury po pociskach na koszuli Archiego nie były zbroczone krwią, a pod koszulą mogłam teraz dostrzec niebieski kolor kamizelki kuloodpornej.

Archie opuścił broń i chwiejnym krokiem podszedł do samochodu.

- Nic pani nie jest? — zapytał.

- To zależy - odpowiedziałam. - Czy teraz nas pan zabije?

Pokręcił głową.

- Nie jestem mordercą. Tylko raz wynająłem płatnego zabójcę.

- W takim razie nic mi nie jest - odpowiedziałam.

Monk spojrzał na Archiego.

- Znajdzie się jakaś miotła i szufelka?

Monk skończył zmiatać szkło na trzymaną przeze mnie szufelkę dokładnie w chwili, gdy pracownicy kostnicy zapinali worek z trupem zabójcy i wywozili go z budynku. Doskonała koordynacja czasowa.

Monk się uśmiechnął, zadowolony z siebie.

- Posprzątane - oznajmił.

- Posprzątane trzy morderstwa i jedno zbez-

czeszczenie - powiedział Stottlemeyer, podchodząc do nas z porucznikiem Disharem spokojnym krokiem.

Przez prawie godzinę przesłuchiwali Archiego Applebauma.

- Miałeś rację, Monk - przyznał.

- Oczywiście. Powinieneś to wiedzieć wcześniej.

Stottlemeyer wzruszył ramionami.

- Kieruję się tam, dokąd prowadzą dowody. Tak zwykłem rozwiązywać swoje sprawy. Nie ufam ślepej wierze.

- Co zeznał Archie? - zapytałam.

- Powiedział, że tak naprawdę nigdy nie przestał się czuć policjantem. W nocy, kiedy cały budynek należał do niego, lubił sprawdzać, co leży na biurkach. Pewnej nocy natknął się na raport, który jednoznacznie wskazywał, że Lorber obdziera firmę ze skóry, a jej pracowników pozbawia emerytur, na które zasłużyli - mówił kapitan. - Archie dobrze wiedział, że takiemu krezusowi jak Lorber włos z głowy nie spadnie i uda mu się wymknąć z pokaźną fortuną. Tymczasem niewinne ofiary, jak Archie, stracą wszystko.

- Zatem postanowił, że Lorber dostanie to, na co zasłużył.

- Postanowił wymierzyć sprawiedliwość - przyznał Stottlemeyer. - Ale oczywiście sam złamał prawo.

- Przynajmniej ma serce - powiedziałam i odwróciłam się do Mońka. - Zanim wjechałam samochodem w budynek, zobaczyłam, że wymienił pan parę zdań z zabójcą. Co mu pan powiedział?

- Zapytałem, czy może mi powiedzieć, co zostawił w taksówce.

- Co odpowiedział? — zapytał Disher.
- Powiedział, że wspaniałomyślnie spełni to moje drugie ostatnie życzenie.
- A jakie było pierwsze ostatnie?
- Żeby pozamiatał stłuczone szkło, kiedy mnie zabije - odrzekł Monk.
- Naturalnie - powiedział Stottlemeyer.
- Więc co obciążającego zostawił w taksówce? — dopytywał się Disher.
- BlackBerry. Palmtop z telefonem. Zsunął mu się z paska, gdy siedział z tyłu taksówki. Zabójca miał tam zapisane listy, które wymieniał pocztą internetową z Archiem, zdjęcia Lorbera i plan budynku. Kiedy się zorientował, że zgubił palmtop, zadzwonił na niego z budki telefonicznej na lotnisku. Odebrał siedzący w taksówce Stipe. W ten sposób morderca się dowiedział, kto znalazł zgubę. Nie mógł wyjechać, wiedząc, że Stipe i taksówkarz mieli możliwość odczytania wszystkich wiadomości. Poprosił taksówkarza, aby zachował przy sobie palmtop, i zabił go, kiedy mężczyzna dostarczył mu zgubę.
- Disher podszedł do Mońka.
- Wykonał pan dzisiaj kawał dobrej roboty - pochwalił go.
- Dziękuję ci, Randy.
- Czy nie zechciałby pan zostać konsultantem Jednostki specjalnej do spraw bezczeszczenia"? -zapytał Disher. - Przydałby nam się ktoś taki jak pan.
- To dla mnie zaszczyt - odpowiedział Monk.

Mój pogruchotany jeep stał się dowodem w sprawie, więc Stottlemeyer polecił któremuś z policjan-

tów, aby odwiózł mnie radiowozem do domu, a potem podrzucił Mońka, dokąd sobie zażyczy. Najpierw pojechaliśmy pod mój dom.

Kiedy wysiadałam z samochodu, Monk dotknął mojego ramienia. Byłam zaskoczona. Monk bardzo rzadko mnie dotykał, chyba jeszcze nigdy się to nie zdarzyło.

- To prawda, co mi dzisiaj powiedziałaś? - zapytał mnie.

- Prawda - odparłam. - Każdy hydrant w tym mieście jest obsikany przez psy.

- Nie o to chodzi. Czy rzeczywiście mnie potrzebujesz?

Spojrzałam na niego i zastanowiłam się nad tym. Uświadomiłam sobie jednak, że nie powinnam o tym wiele myśleć. Powinnam to czuć.

- Tak, panie Monk, to prawda.

- Nie chodzi ci tylko o wypłatę? - zapytał.

Pokręciłam głową.

- Jestem osobą o dużych potrzebach - powiedziałam.

- Ja też. Czasem mi się wydaje, że to wcale nie jest zła rzecz.

- Chyba ma pan rację - stwierdziłam.

- Ja zawsze mam rację.

KONIEC



Pisałem tę książkę w Los Angeles, Nowym Jorku, Londynie, Hay-on-Wye, Berlinie, Kolonii, Monachium, Lohr, a w międzyczasie nad obłokami na niebie. Czasami miałem wrażenie, że sam się znalazłem w kosmosie. Chciałbym złożyć podziękowania mojemu przyjacielowi, Andy'emu Breckmanowi za podzielenie się ze mną Adrianem Monkiem, a także Kristen Weber, Kerry Donovan i Ginie Maccoby za niezamącony entuzjazm, zrozumienie i słowa otuchy.

Czekam na was na [www.leegoldberg.com](http://www.leegoldberg.com)